

# Trzy razy miłość

Palmer Diana



calibre 0.9.43

*Diana Palmer*

**Trzy razy**

**miłość**

*Tłumaczyła*

*Małgorzata Hesko-Kołodzińska*

*a*

**TOM WALKER**

**aa**

# PROLOG

**Chrzcziny były wyjątkowo udane. Wyglądało na**

to, że wszyscy mieszkańcy Jacobsville w Teksasie przyszedli pogratulować doktorowi Jebediahowi Coltrainowi i jego żonie, doktor Louise Coltrain, narodzin syna, Johna Daniela.

Czerwcowy dzień był piękny i ciepły, na przyjęciu szampan lał się strumieniami. Obok wazy z ponczem stał doktor Drew Morris oraz jego przyjaciele – Ted Regan, jego zarządca, Jobe Dodd, a także siostra Teda, Sandy. Patrzyła na Jobe’a ponuro, a on na nią z zainteresowaniem.

Towarzyszył im nowy mieszkaniec miasteczka Tom Walker, który niedawno otworzył tu firmę inwestycyjną.

– Wprzyszłym tygodniu musimy porozmawiać o interesach. – Drew Morris uśmiechnął się do Toma. – Miałem dobry rok, trzeba coś zrobić z nadmiarem gotówki.

– Chętnie coś panu doradzę, doktorze – odparł

6

*Diana Palmer*

Tom, także z uśmiechem na opalonej, przystojnej twarzy.

– Przy okazji, jeśli potrzebuje pan sprzętu komputerowego, radzę porozmawiać z siostrą Teda, to

specjalistka. – Drew wskazał głową Sandy. – Pracuje dla jednej z tych wielkich firm i jest geniuszem komputerowym.

– Jasne, geniuszem – prychnął lekceważąco po-  
tężny blondyn, Jobe Dodd. – Szkoda, że nie umie się utrzymać na końskim grzbiecie.

– Gadasz bzdury! – wypaliła Sandy, a w jej  
błękitnych oczach pojawił się gniewny błysk.

– Dajcie spokój – przerwał im Ted. – Powal-  
czycie gdzie indziej. Przyszliśmy tu na chrzciny.

Oboje popatrzyli na niego krzywo i odeszli,  
każde w swoją stronę.

– O rany – westchnął Ted. – Ostatnio ciągle to  
robią. Coreen i ja mamy ochotę zabrać dziecko  
i poszukać sobie kryjówki. Niech się wreszcie poza-bijają i będzie święty spokój.

– Rzeczywiście, nieprzyjemna sytuacja – przy-  
taknął Drew, sącząc poncz.

– Jak się sprawdza twoja nowa sekretarka?

– spytał go Ted.

– Nie umie się ubrać, nie umie przejść przez  
pomieszczenie, nie wpadając na meble, i próbuje  
pracować bez okularów, bo uważa, że tak ładniej  
wygląda. – Wyrzucił w górę ręce. – Szkoda, że  
zabronili kary chłosty...

– Co za perwersja. Nie znałem cię z tej strony

– mruknął Ted.

# TOM WALKER

7

Drew rzucił mu krzywe spojrzenie i również odszedł.

Ted zachichotał. Jego przedwcześnie posiwiałe

włosy lśniły w słońcu. Popatrzył na Toma, ostatnią osobę, która wciąż jeszcze trwała na posterunku.

– I tak rozpędziłem towarzystwo zgromadzone wokół wazy z ponczem – zauważył i nalał sobie jeszcze jeden kubek ponczu. – Czy i ty zgromisz mnie spojrzeniem i odejdziesz?

Tom serdecznie uśmiechnął się do niego, a jego oczy błysnęły.

– Na razie nie mam powodu. A poza tym ten poncz jest naprawdę znakomity.

– Jak interesy?

– Całkiem nieźle. Przyjazd tutaj był jedną z naj-  
mądrzejszych moich decyzji. Matt Caldwell się nie mylił. Mam tu pole do popisu. Ledwie nadażam ze wszystkim, a przecież dopiero otworzyłem biuro.

– No to świetnie. – Ted patrzył uważnie na Toma Walkera. – Stary Gallagher wspominał, że masz psa.

– Tak, to prawdziwe utrapienie – mruknął Tom z uśmiechem. – Znalazłem go w czasie burzy,

siedział pod skrzynką pocztową w Houston. Wyglądał jak mała futrzana kulka i był śmiertelnie przerażony, więc zabrałem go do domu. – Upił łyk ponczu. – Teraz waży czterdzieści kilo i jest okropnie nieposłuszny i zupełnie niewychowany. W domu zostało mi już chyba tylko jedno całe naczynie.

– Zerknął na Teda. – Na pewno nie potrzebujesz psa pasterskiego?

**8**

*Diana Palmer*

– Nie, dzięki. Jeszcze przed ślubem podarowałem Coreen szczeniaka. Urósł i jest dość bystry, by zagonić do zagrody nasze nieduże stado.

– Tak naprawdę, to wcale nie oddałbym Łosia.

– Tom wzruszył ramionami. – Mieszkam sam, a lepsze towarzystwo psa niż żadne. – Na jego twarzy przez chwilę widniał smutek, ale szybko zniknął. – Ładny ten dzieciak Coltrainów.

– Ładny – zgodził się Ted, wpatrzony w parę lekarzy z dzieckiem. – Ciekawe, czy będzie rudzielcem jak ojciec, czy blondynem jak matka.

– Nie sposób stwierdzić – powiedział Tom.

– A w jakim wieku jest twój syn?

– Ma dopiero osiem miesięcy – westchnął Ted.

– Nigdy nie sądziłem, że w tym wieku zostanę ojcem. Ani że będę miał żonę. – Rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu i popatrzył na Coreen. Trzymała w ramionach ich synka. Nigdy nie zo-

stawiali go w domu, choć opiekunek nie brakowało.

Był ich najcenniejszym skarbem, owocem prawdziwej miłości.

Drew Morris dostrzegł, jak na siebie patrzy, i poczuł ukłucie smutku. Bardzo kochał swoją żonę.

Po jej śmierci nie chciał się wiązać z żadną inną kobietą. Nadal opłakiwał Eve. Spojrzał na Toma, on również wydawał się smutny i samotny. Nieco dalej

Jobe Dodd nie spuszczał wzroku z Sandy Regan, która stała nieopodal Coreen. Doktor Morris wcale nie był pewien, czy pod wrogością Jobe'a i Sandy nie kryje się coś zgoła innego.

Westchnął i uniósł kubek, podchodząc do męż-



czyzn. Ted i Tom też podnieśli swoje naczynia z ponczem, podobnie jak Jobe Dodd, a po chwili reszta osób obecna w tym pokoju.

– Zdrowie! – powiedzieli unisono.

Trzej mężczyźni, zatopieni w myślach, patrzyli na dziecko Coltrainów, zastanawiając się, jak by to było mieć rodzinę. Każdy z nich dałby głowę, że nigdy się tego nie dowie.

### **Rozdział pierwszy**

Wsalonie rozległ się stłumiony łomot, a Tom

Walker westchnął ciężko i odstawił pudło z kilkoma sprzętami kuchennymi, które przywiózł ze sobą z Houston.

– Łoś! – jęknął i poszedł do salonu sprawdzić, co tym razem zmajstrował jego ulubieniec.

Ich wspólne życie rozpoczęło się podczas pewnej burzy, kiedy maleńki szczeniak, śmiertelnie przerażony, kulił się pod metalową skrzynką w centrum

Houston. Ktoś porzucił psa, a Tom nie miał serca tak go zostawić na ruchliwej ulicy. Jednak ta decyzja

okazała się brzemienna w skutki. Z maleńkiego szczeniaka wyrósł uroczy, lecz olbrzymi owczarek niemiecki, a właściwie mieszaniec. Tom najpierw nazwał go Pasterzem, ale później zmienił to imię na Łosia.

Teraz stał i patrzył, jak ogromne zwierzę kręci się wśród skorup – smętnych resztek eleganckiej, zabyt-kowej misy, która wcześniej zdobiła stolik do kawy.

Pomyślał, że to imię wyjątkowo pasuje do psa.

Czasem miał nieodparte wrażenie, że w domu zamieszkał wielki, niezgrabny łoś.

– Kate nigdy ci tego nie daruje – powiedział.

Pamiętał, jak cieszyła się jego siostra, gdy wkrótce po swoim ślubie podarowała Tomowi tę misę.

– Dostałem to naczynie w prezencie na Boże Narodzenie. To ręczna robota słynnego indiańskiego garncarza!

– Grrr – odparł Łoś głębokim, psim głosem i radośnie wyszczerzył zęby.

Weterynarz twierdził, że Łoś nie wszedł jeszcze w okres dojrzewania.

– A kiedykolwiek wejdzie? – spytał żałośnie

Tom. Zaprowadził psa do lekarza po tym, jak Łoś urządził sobie basen w oczku wodnym sąsiadów, pełnym złotych rybek.

– Jasne – zapewnił go lekarz, a kiedy Tom odetchnął z ulgą, weterynarz dodał z uśmiechem:

– Za cztery, pięć lat będzie potulny jak baranek!

Pogodzony z losem Tom zabrał psa do domu w nadziei, że jakoś przywyknie do życia wśród skorup i wypatroszonych mebli.

Jeden z jego sąsiadów zaproponował, że odkupi

Łosia, który, choć tak strasznie rozrabiał, był niezwykle urodziwy. Tom jednak oświadczył, że za bardzo lubi sąsiada, by obarczać go tak kłopotliwym zwierzęciem.

Popatrzył po raz ostatni na stolik, pokręcił głową i poszedł do kuchni zaparzyć kawę. Kiedy uruchomił ekspres, usłyszał chrzęst i odwrócił głowę.

Wtym samym momencie przekonał się, że kiedy on

12

*Diana Palmer*

zajmował się kawą, Łoś przewrócił kosz na śmieci

i wywlókł jego zawartość na linoleum. Teraz radoś-

nie przeżuwał ogryzek jabłka, siedząc wśród fusów, skórek od banana i opakowań po mrożonych da-  
niach obiadowych.

– Boże. – Tom bezradnie spojrział na pobjowis-

ko. Zabrał psu ogryzek, postawił kosz i poszedł po szczotkę. Jak to dobrze, że nie zamierzał się żenić.

Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wy-

trzymałaby z jego psim towarzyszem.

Miał trzydzieści cztery lata. Już od dawna powi-

nien być żonaty, ale w dzieciństwie zarówno on, jak i jego siostra Kate padli ofiarą despotycznego  
ojca, przez którego mieli zahamowania seksualne. Bił ich nawet za niewinny uśmiech do  
przedstawiciela płci

przeciwnej. Wmawiał im, że seks to najcięższy

z grzechów. Był pastorem, więc mu wierzyli.

Nie wiedzieli jednak, że miał guza mózgu. To ten

guz zmienił dobrego niegdyś człowieka w potwora

i w końcu go zabił. Matkę, która zniknęła przed laty, odnalazł Jacob Cade, mąż siostry Toma, Kate.

Spotkała się ze swoimi dziećmi na ślubie Jacoba

i Kate, sześć lat temu. Było to dla nich wyjątkowo bolesne przeżycie, aż do chwili, w której  
dowiedzieli się, że matka wcale ich nie porzuciła. To ojciec

z nimi uciekł, ona zaś przez wiele lat wydawała

wszystkie swoje pieniądze na ich poszukiwanie.

Teraz mieszkała w Missouri, oboje często ją widy-

wali. Odkąd Kate urodziła syna, chętnie udzielała

gościny matce.

Tom westchnął i pomyślał, że zapewne nigdy nie

zdoła znaleźć żony. Wprawdzie Kate wyszła za  
mąż, ale pokochała Jacoba Cade'a wiele lat przed  
chorobą ojca. Zapewne udało się jej przezwyciężyć  
obawy związane z fizyczną stroną małżeństwa.

Miała z Cade'em syna, obecnie pięciolatka, i choć  
usilnie starali się o drugie dziecko, na razie nic z tego nie wychodziło.

Tom też chętnie zostałby ojcem, ale jego jedyne  
seksualne doświadczenie w życiu zakończyło się  
okropnymi wyrzutami sumienia. Na weselu Kate  
poczuł się samotny jak nigdy dotąd. Potem wrócił

do swojej pracy w nowojorskiej agencji reklamowej, a podczas weekendu postanowił utopić smutki  
w miejscowym barze.

Tam właśnie na nią wpadł, uczestniczyła bo-  
wiem w przyjęciu pożegnalnym jednej z dziewcząt  
z agencji. Elysia Craig pracowała jako sekretarka  
Toma już od dwóch lat. Była ładną, zgrabną blon-  
dynką o szarych oczach, którą współpracownicy  
uważali za strasznie poważną i pruderyjną. Tom  
myślał, że tylko tak się z nią drażnią, do głowy mu nie przyszło, że jest równie niedoświadczona jak  
on.

Zorientował się dopiero, kiedy było już za późno.

Wciąż pamiętał, jak Elysia kuli się na jego łóżku, z kołdrą przyciśniętą do piersi, i szlocha niczym

wdowa. Zranił ją, choć wcale tego nie chciał. To

przesądziło sprawę. Nie odezwał się do niej ani

słowem, kiedy włożyła ubranie i zeszła do taksówki, którą jej zamówił. Sam był zbyt pijany, żeby prowadzić.

Nie miał pojęcia, jak przeprosić dziewczynę ani

**14**

*Diana Palmer*

jak wyjaśnić sytuację. Wstyd mu było za siebie.

Następnego ranka nie mógł spojrzeć jej w oczy,

w ogóle z nią nie rozmawiał. Kobiety w agencji były zazwyczaj bardzo pewne siebie i obyte, jednak nie

Elysia. Jego milczenie sprawiło, że tego samego dnia złożyła wypowiedzenie i wyjechała do domu, do

Teksasu. Tom nawet nie próbował jej szukać. Wciąż

nie umiał się pozbyć wstydu i poczucia winy,

pozostałości po okropnym dzieciństwie, mimo że

nieraz brakowało mu Elysi.

Przede wszystkim pociągała go w niej łagodność

i dobry charakter, ale gdyby się wtedy tak strasznie nie upił, zapewne nie usiłowałby jej zdobyć. Ukrywał swoje uczucia, nawet nie marzył o tym, że

kiedyś wylądują razem w łóżku. Było to najbardziej niezwykle doświadczenie w jego życiu, ale poczucie winy wywoływało w nim mdłości, więc odsuwał od

siebie myśli o Elysi i usiłował o niej zapomnieć.

Wkrótce zrezygnował z pracy w agencji reklamowej i zaczął studiować zarządzanie. Po studiach

zaczepił się jako doradca inwestycyjny w dużej

firmie. Potem przeniósł się do Houston w Teksasie, gdzie on i jego przyjaciel, Logan Deverell, otworzyli własne biuro. Kiedy Logan poślubił swoją angielsko

cierpliwą sekretarkę, Tom ponownie postanowił zmienić miejsce zamieszkania.

Przybył do Jacobsville przed trzema tygodniami, za namową kolegi, Matta Caldwell, właściciela stadniny ogierów za miastem. Przyjaciele Matta,

bracia Ballengerowie, Calhoun i Justin, którzy mieli olbrzymie pastwiska, chcieli jakoś zainwestować



pieniądze. Oni z kolei przyjaźnili się z braćmi

Tremayne, posiadaczami olbrzymich połaci ziemi

w całym Teksasie. Jeszcze zanim Tom zdążył do

końca rozpakować swoje rzeczy, miał już pełne ręce roboty.

Miejscowa agentka nieruchomości zajmowała się

również doradztwem inwestycyjnym, ale niedaw-

no ponownie wyszła za swojego byłego męża,

pilota, i oboje zamieszkali w Atlancie. Biuro najbliż-

szego doradcy znajdowało się w Wiktorii, więc Tom

nie miał praktycznie żadnej konkurencji. Nie mogło być lepiej.

I nagle, właśnie wczoraj, całkiem zniecka,

w drzwiach stanął nowy klient – Luke Craig – i Tom stracił grunt pod nogami. Dowiedział się, że Luke

ma siostrę, Elysię, która niedawno straciła męża

i została sama z małą córeczką.

Tom nalał sobie kubek kawy, po czym usiadł na

sofie. Łoś przycupnął obok niego i oparł łeb na nodze pana. Tom z roztargnieniem poklepał psa.

– Tylko nie myśl, że zapomniałem o stłuczonej

misie albo śmieciach – mruknął.

Łoś westchnął i rzucił mu pełne przygnębienia

spojrzenie.

Tom sączył kawę i zastanawiał się, co dalej robić.

Pech chciał, że trafił do jedyne go miasteczka w Ameryce, w którym nie mógł mieszkać. No tak, a miało być jak w bajce. Los spletał mu figła: kobieta, którą

kiedyś uwiódł, mieszkała właśnie tutaj. Po powrocie do domu najwyraźniej wyszła za mąż i urodziła dziecko. Zastanawiał się, czy Elysia jeszcze go

16

*Diana Palmer*

pamięta, po czym skarcił się w duchu za własną

głupotę. Jasne, że go pamiętała. Był jej pierwszym mężczyzną, podobnie jak ona jego pierwszą kobietą.

Tyle że o tym akurat nie miała pojęcia. Na pewno

wciąż sądziła, że uwiódł ją i wykorzystał, jak jakiś wielkomijski playboy bez sumienia. Co za ironia

losu.

Odstawił kubek. Łoś chrapał cicho. Tom pogłas-

kał psa i pomyślał, że faktycznie lepsze takie towarzystwo niż żadne.

Nie wiedział, co ma robić, jednak zdecydowanie

musiał coś wymyślić. Po chwili doszedł do wniosku, że Jacobsville jest małym miastem, ale nie wyjątkowo małym. Być może nigdy nie wpadnie na

Elysię. Nie powinien się martwić na zapas. Musiał

wreszcie rozpakować rzeczy, odwlekał to przez tyle tygodni. Lepiej zabrać się do pracy, niż przejmować czymś, co być może nigdy nie nastąpi. Pewnie

nawet nie rozpoznałby tej kobiety. Wkońcu minęło

tyle lat.

Jednak los postanowił zadziałać już następnego

ranka, gdy Tom zaparkował samochód i ruszył do

pracy. Obok jego biura znajdowała się agencja

ubezpieczeniowa. Właśnie do niej zmierzała uczesa-

na w warkocz blondynka w dżinsach, kowbojskich

butach i flanelowej koszuli narzuconej na pod-

koszulek.

Elysia.

Znieruchomiała, kiedy znalazła się na tyle blisko, by go rozpoznać. Już nie nosiła okularów w grubych

oprawkach, jak kiedyś, i nie była chuda jak patyk.

Nabrała kobiecych kształtów. Nie wypiękniała, ale teraz była zdecydowanie atrakcyjna. Nie mógł ode-  
rwać od niej wzroku.

Po chwili wahania podeszła do Toma. Nie do-  
strzegł na jej twarzy śladu wstydu ani zmieszania, popatrzyła mu prosto w oczy.

– Słyszałam, że prowadzisz tutaj biuro doradz-  
twa inwestycyjnego. Zdaniem mojego brata dziw-  
nie pobladłeś na wzmiankę o mnie. Powiedziałam  
Luke’owi, że kiedyś pracowaliśmy razem, i tyle.

– Roześmiała się gorzko. – Nie musisz się więc  
obawiać samosądu. Ulżyło ci?

Te nieoczekiwane, pełne dystansu słowa ode-  
brały mu mowę. Zupełnie nie wiedział, co od-  
powiedzieć. To nie była ta sama nieśmiała dziew-  
czyna co kiedyś. Zatopił w jej twarzy spojrzenie  
ciemnozielonych oczu.

– Zmieniłaś się, Elysio Craig.

– Nash – poprawiła go.

– Elysio Nash. – Uniósł brwi.

Teraz już wydawała się mniej pewna siebie.

– Mój mąż zmarł w zeszłym roku – szepnęła.

– Na raka.

– Przykro mi.

– Długo chorował – dodała. – To zabrzmiało jak

banal, ale teraz jest mu lepiej.

– Rozumiem.

– A ty się ożeniłeś?

Popatrzył obojętnie na jej delikatną twarz.

– Jakoś się nie złożyło – odparł.

**18**

*Diana Palmer*

– No tak, pamiętam, jesteś zatwardziałym kawalerem. – W jej głosie znowu pojawiła się gorycz.

– Pewnie nadal zmieniasz kobiety jak rękawiczki...

Podszedł nieco bliżej, a jego oczy niebezpiecznie błysnęły.

– Moje życie prywatne to nie twoja sprawa!

– Nigdy nie podnosił głosu, ale ostry ton zawsze przywoływał rozmówcę do porządku. To ją zbiło z tropu.

– Nie... Oczywiście, że nie – wyjąkała.

Zrobiła krok do tyłu, a on zaklął w duchu.

– Przepraszam – powiedział. – Pewnie myślisz, że byłaś jedną z wielu. Dowcip stulecia.

– Słucham? Słucham?

Zakłopotany, spojrział na zegarek.

– Muszę iść do pracy – mruknął.

Jego zachowanie ją zaskoczyło. Przez te wszyst-

kie lata nienawidziła go z całego serca, obwiniała o wszystko. Teraz jednak nie wyglądał jak playboy.

No i co z tego, pomyślała. Większość seryjnych morderców też nie wygląda na zabójców.

Cofnęła się, żeby go przepuścić. Zawahał się,

a wiatr zwał mu czarne włosy na twarz. Doszła do

wniosku, że Tom ma w sobie coś dzikiego. Nadal był

bardzo przystojny, choć przekroczył już trzydziestkę. Sylwetki, szczuplej i wysportowanej, mógł mu pozazdrościć niejeden młodszy mężczyzna.

– Masz przodków wśród Indian, prawda? – Sama nie wiedziała, czemu o to pyta.

– Pradziadek był Siuksem – przytaknął.

– Co słyhać u twojej siostry?

– Wszystko w porządku. Kate i Jacob mają syna.

Niedawno skończył pięć lat.

– Bardzo się cieszę.

– Ja również. Wcale bym się nie dziwił, gdyby

i ona nigdy nie znalazła sobie partnera.

Przyszło jej do głowy, że te słowa mogą mieć

jakieś głębsze znaczenie. Elysia żałowała, że nie

potrafi czytać między wierszami. Patrzyła na Toma

ze zdumieniem. Gdyby tylko nadal mogła go niena-

widzieć!

On również na nią patrzył, spokojnym, nieru-

chomym wzrokiem. Ani razu nie mrugnął.

– Oboje jesteśmy starsi. Cieszę się, że znalazłaś

kogoś, kogo pokochałaś. Mam nadzieję, że był dla

ciebie dobry.

Zaczerwieniła się.

– Bardzo dobry – przytaknęła.

– Wprzeciwieństwie do mnie. – Wyciągnął

szczupłą dłoń, prawie muskając jej włosy, ale zaraz ją cofnął. Roześmiał się bezradnie; widział, że jest chronicznie niezdolny do okazywania czułości.

– Żałuję tego, co się stało, Elysio – powiedział

głucho. – Bałem się. Może wciąż się boję.

Odwrócił się i pomaszerował do biura, a ona

patrzyła za nim ze zdumieniem.

Nienawidziła go, kiedy przyjechała do Jacobsville

po tym, jak ją odrzucił. Nawet nie bardzo miała co wspominać, spędziła w jego ramionach tylko jedną

krótką noc. Nie wątpiła, że wtedy bardzo jej prag-

nał, lecz momentami był niezręczny, wręcz nie-

śmiały. Kiedy w nią wszedł, próbował się wycofać,

**20**

*Diana Palmer*

ale okazało się to ponad jego siły. Nawet po tylu

latach pamiętała chrapliwy jęk, który z siebie wydał, kiedy pożądanie wzięło górę nad rozsądkiem.

Brzmiało to tak, jakby Tom nienawidził sam siebie

za to, że jej pragnie, a przy okazji winił ją. Nie wypowiedział ani słowa przed, w trakcie ani potem.

Wciąż bolało ją wspomnienie tego, jak bardzo go

kochała. Oddając mu się, postawiła wszystko na

jedną kartę. Tamta noc jednak, zamiast ich do siebie zbliżyć, zniszczyła kielkujące uczucie. Elysia wyjechała do domu, a on nigdy nie próbował się z nią

skontaktować. Może tak było najlepiej. Teraz nie

chciała, żeby dowiedział się o Crissy. Niepokoiło ją, że w końcu Tom zauważy, iż dziecko jest do niego

uderzająco podobne, ale na szczęście nie wiedział, jak wyglądał jej zmarły mąż. Prawdopodobieństwo,

że jej sekret wyjdzie na jaw, było niewielkie.

Zastanawiała się, jak zareagowałby na wiado-

mość, że ich intymne zbliżenie zaowocowało takim



cudem. Nie mogła mu powiedzieć. Wszyscy w mias-

teczku sądzili, że to jej zmarły mąż jest ojcem

dziecka, jednak biedny Fred był zbyt chory, by mógł

podjąć współżycie seksualne. Nie stać go było na

żadne intymne zbliżenia, nawet sześć lat temu, gdy wzięli ślub wkrótce po jej powrocie do  
Jacobsville.

Jego choroba trwała bardzo długo, czasem następo-

wały krótkie – coraz krótsze – okresy remisji. Fred był dla niej dobry, a i ona miała dla niego dużo

czułości. Poza tym kochał Crissy. Poprzednia żona

opuściła go, gdy okazało się, że Fred ma raka,

i wyszła za mąż za człowieka znacznie bogatszego.

# TOM WALKER

21

Oboje, Fred i Elysia, zostali zdradzeni przez ludzi, których kochali. Małżeństwo wydawało się sensownym rozwiązaniem. Fred nie musiał umierać w samotności, a dziecko Elysi zyskało ojca.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby wyznać Tomowi prawdę o jego córce. Jego zachowanie po ich intymnym zbliżeniu powiedziało jej wszystko, co pragnęła wiedzieć. Tom jej nie chciał, a już z pewnością nie chciał dziecka.

Nie oglądając się za siebie, weszła do agencji ubezpieczeniowej, żeby zapłacić za polisę. Jej związek z Tomem dobiegł końca, zanim w ogóle miał okazję się rozwinąć. Postanowiła, że Tom nigdy nie pozna prawdy o Crissy. Skoro on mógł tu mieszkać

i znosić jej widok, ona również nie miała powodu przed nim uciekać. Była odnoszącą sukcesy kobietą

interesu, a bogate klientki odwiedzały jej ekskluzywny butik, do którego sprowadzała interesujące kolekcje z całego świata i ubrania miejscowych projektantów. Miała cudowne dziecko, przyszłość stała przed nią otworem. Tom Walker nie był jej potrzebny do

szczęścia, nawet jeśli na jego widok serce wciąż

waliło jej jak młotem. Musiała tylko panować nad

sobą, i tyle. Sądząc po jego zachowaniu, niespecjalnie za nią tęsknił. Szkoda, że mimo wszystko ona

nie mogła powiedzieć tego samego o sobie.

Wstrząśnięty Tom usiadł za biurkiem. Elysia była

równie urocza jak kiedyś. Dojrzała, zmieniła się na korzyść. Znow załapała go fala wstydu. Dziewczyna

22

*Diana Palmer*

wyszła za mąż i urodziła dziecko. Z pewnością po

tym, co zrobił, nie mógł liczyć na jej ciepłe uczucia.

Żałował, że ich losy nie potoczyły się inaczej. Gdyby wtedy, w Nowym Jorku, chciał rozmawiać, nie

ukrywał swojej przeszłości i swoich kompleksów,

kto wie, jak wszystko by się ułożyło. Niestety,

stracił swoją szansę. Dał Elysi do zrozumienia, że uważa ją za łatwą zdobycz i po spędzeniu z nią tej jednej nocy nie chce utrzymywać żadnych kontaktów. Nie mógł więc winić jej za to, że była teraz taka zgorzkniała.

Usłyszał dzwonek telefonu i podniósł słuchawkę.

To był potencjalny klient, więc Tom odsunął od

siebie myśli o Elysi i zajął się pracą.

Było nieuniknione, że prędzej czy później wpad-

nie na Craigów. Tym razem już po kilku dniach

zobaczył Luke'a z córeczką Elysi.

Na widok dziecka Tom stanął jak wryty. Dziej-

czynka była niezwykle podobna do jego siostry.

Miała oliwkową skórę i jasnozielone oczy, a także

długie, czarne jak smoła włosy. Wyglądała niemal

jak mała kopia Kate. Tom uśmiechnął się wbrew

sobie. Jakie piękne dziecko!

– Cześć, Tom – powiedział przyjaźnie Luke.

Trzymał dziewczynkę za rękę. – Zabieram siostrze-

nicę do kina. Crissy, skarbie, to pan Walker, doradca inwestycyjny wujka Luke’a.

– Dzień dobry – przywitało się uprzejmie dziec-

ko, z zainteresowaniem patrząc na wysokiego męż-

czynę. – Wygląda pan jak Indianin.

Tom zmarszczył brwi i uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Mój pradziadek był Siuksem – wyjaśnił.

– A ja bardzo lubię czesać się w warkoczyki.

Mama zabrała mnie kiedyś do rezerwatu Indian na

taką ceremonię, podczas której można się było dużo dowiedzieć o ich kulturze i historii, i obejrzeć różne dzieła sztuki. Bardzo dobrze się bawiłam.

Tom uznał to za interesujące, ale zanim zdołał coś powiedzieć, Luke przerwał małej.

– Christine, za dużo gadasz – upomniał ją żar-

tobliwie, patrząc na Toma. – Zagadałaby cię na

śmierć. Zrobiła się taka rozmowna, odkąd chodzi do zerówki.

– Wujek ciągle mówi, że jestem zbyt gadatliwa

– wymamrotała dziewczynka, patrząc spode łba na

Luke'a.

– Nie zawsze, skarbie – zapewnił ją Luke. – Crissy chce iść na film o śwince – westchnął. – Nie powiem, żeby mnie to szczególnie ucieszyło, ale dziś nie mam zbyt dużo roboty na ranchu, więc mogę z nią iść do kina. Elysia siedzi w domu i wypełnia setki słoików sosem pomidorowym. Na pewno zatrudnimy się

nadmiarem pomidorów. Przysięgam na Boga, zrobiła

tylko sosu, że mógłby po nim pływać niewielki statek.

– Popatrzyl na Toma. – Lubisz spaghetti? Bo jeśli tak, mógłbym ci dać na Gwiazdkę dwadzieścia albo

trzydzieści słoików sosu pomidorowego do spaghetti.

– Tak się składa, że uwielbiam spaghetti z sosem pomidorowym – przyznał rozbawiony Tom. – Po co tyle tego robi?

24

*Diana Palmer*

– Powiem ci w sekrecie, że chyba coś ją przy-

gnębiło – wyznał Luke. – Zawsze robi tyle sosu, jeśli się czymś martwi. Zachowuje się w ten sposób już

od kilku dni. Dwa razy wysprzątała cały dom,

umyła oba samochody, a teraz postanowiła znów

podbić rynek sosów pomidorowych.

– Mama zawsze tyle pracuje, kiedy jest smutna

– wtrąciła Crissy. – Ostatnim razem sprzątała, kiedy panna Henry powiedziała jej, że zepchnęłam Mar-kiego ze schodów.

– Naprawdę? – Tom uniósł brwi.

Dziewczynka buńczucznie wysunęła wargę.

– Nazwał mnie mięczakiem – odparła wojow-

niczo. – Tylko dlatego, że nie pozwoliłam mu rzucać kamieniami w żabkę. – Uśmiechnęła się. – Powiedziałam jego mamie, co zrobił, i dostał lanie. Jego mama ma akwarium, a w nim mnóstwo żabek. Dała

mi je obejrzeć.

– Biedny Markie – mruknął pod nosem Luke.

– Dobrze zrobiłaś – stwierdził Tom.

– Lubi pan krowy? – spytała go Crissy. – Dużo

ich mamy. Na pewno wuj Luke pozwoli panu

zaopiekować się jedną z nich, jeśli pan zechce.

– Może się zaopiekować wszystkimi – odparł

Luke, lustrując wzrokiem Toma.

– Jestem chłopakiem z miasta – mruknął Tom

i wsadził ręce w kieszenie. – Przynajmniej od  
pewnego czasu.

– Przyjechałeś z Houston, prawda? – spytał

Luke.

– Właściwie urodziłem się w Południowej Dako-

cie. Dorastałem w pobliżu rancza Jacoba Cade'a, w okolicach Blairsville. Jacob uczył mnie i Kate jeździć konno, gdy byliśmy dziećmi. Jest genialnym jeźdźcem.

– Znam Jacoba – stwierdził Luke. – Kilka lat

temu spotkałem go na aukcji bydła w Montanie.

Przypadliśmy sobie do gustu. To twój szwagier? No, no. Muszę powiedzieć, że byłem pod wrażeniem.

Facet zna się na bydle.

– Podobnie jak Kate. To ja jestem wyrzutkiem

w rodzinie...

– Za to wiesz, jak inwestować pieniądze – za-

uważał Luke. – To talent nie do pogardzenia.

– Dzięki. – Tom uśmiechnął się do niego.

Luke zmarszczył brwi.

– Jacob mówił mi coś o tobie. O, już pamiętam

– stwierdził z uśmiechem. – WHouston wyrzuciłeś

klienta za drzwi za nieprzyzwoite uwagi pod ad-

resem twojej sekretarki.

– Facet był... – Tom zerknął na dziewczynkę

– ...szowinistą. – Tak naprawdę zamierzał użyć

zupełnie innego słowa. – Nic wielkiego się nie stało.

Nie lubię, kiedy ludzie atakują mój personel.



– Czy to Elysia pracowała dla ciebie w agencji reklamowej w Nowym Jorku? – spytał nieoczekiwanie Luke.

Wyraz twarzy Toma nie zmienił się ani na jotę, ale poczuł skurcz w sercu.

– Tak, pracowała. Było mi bardzo przykro, kiedy odeszła. Świetnie sobie radziła.

– Podobno zmęczył ją Nowy Jork – powiedział

26

*Diana Palmer*

obojętnym tonem Luke. – Wcale się jej nie dziwię,

tyle hałasu i betonu. Poza tym bardzo dobrze, że

wróciła, bo inaczej nie wyszłaby za Freda i nie miała Crissy. Dobrze się z nią mieszka. Pewnie ci jej brakowało.

– Bardziej, niż myślisz – odparł Tom z roztert-

nieniem, a w jego oczach pojawiło się przygnębienie. Jednak już po chwili doszedł do siebie. – Muszę iść. Miło było panią poznać, panno Nash. –

Powiedział żartobliwie i wyciągnął dłoń do Crissy.

Dziewczynka potrząsnęła nią energicznie.

– Mnie również było miło pana poznać, proszę pana.

– Cóż za maniery. – Mrugnął do Luke'a.

– To zasługa Elysii. Crissy jest bardzo kochanym dzieckiem, ale to nie znaczy, że ją rozpuszczamy.

– Czym się obecnie zajmuje Elysia?

– Ma ekskluzywny butik z ciuchami – odparł

Luke. – Po urodzinach Crissy poszła do college’u

i zrobiła dyplom z marketingu i zarządzania. Pracują dla niej znani projektanci i krawcy, i mimo że miasteczko jest niewielkie, zyskała sobie wręcz

międzynarodową sławę. Zewsząd spływają zamówie-

nia. Czasem nawet sama coś projektuje. Zawsze

potrafiła rysować i nieźle jej szła matematyka, ale przed ślubem z Fredem nie robiła z tego żadnego

użytku. Fred miał kontakty w świecie mody i biz-

nesu, więc na początku trochę jej pomógł. To dzięki niemu rozkwitły talenty Elysii. Zajmuje się tym

dopiero od kilku lat, a już zarabia na tym butiku

więcej niż ja na bydle. To mnie deprymuje.

– Wyobrażam sobie.

– Elysia i Crissy mieszkają razem ze mną. Nie planuję małżeństwa, a dom od wieków należy do rodziny, to jedna z tych monstrualnych wiktoriańskich budowli. Rzecz jasna, Matt Caldwell robi do niej słodkie oczy. Może pewnego dnia moja siostra ustąpi, wyjdzie za niego i zamieszka u niego.

Z jakiegoś powodu ta wzmianka przez cały dzień rozbrzmiewała w umyśle Toma, pamiętał o niej również w nocy. Matt nigdy nie wspomniał o Elysii podczas ich rozmów, zanim jeszcze Tom zamieszkał w Jacobsville. Zastanawiał się, czy było to celowe działanie. Może Matt wiedział, że Tom i Elysia kiedyś się znali i strzegł tego, co uważał za swoją własność. Dziwne, że o niej nie wspomniał.

Wieczorem Łoś, jak zwykle, czekał na swojego pana.

Ależ ten pies jest wielki, pomyślał Tom, stojąc w drzwiach i usiłując uniknąć powitalnych pieszczot zwierzęcia.

– Zjeżdżaj, Łosiu – mruknął, ze śmiechem klepiąc go po głowie. – Jesteś głodny czy wolałbyś

wypić całą wodę z hydrantu? Chodź tutaj.

Poprowadził psa do drzwi z tyłu domu i je otworzył. Ogródek był otoczony siatką, zabezpieczoną od dołu, gdyż Łoś lubił kopać. Miejscowych ogrodników z pewnością nie zachwycałaby wizyta pupilka Toma.

Począł, aż Łoś załatwi swoje potrzeby, a potem wpuścił go do domu. Napełnił miski i podał je psu, 28

*Diana Palmer*

żeby zjadł kolację. Po chwili przejrzał szafki w poszukiwaniu czegoś, co zaspokoi jego głód. Wkońcu

zdecydował się na płatki w zimnym mlekiem.

Wogóle nie miał ochoty jeść. Męczyło go zbyt wiele pytań i... złych wspomnień.

## **Rozdział drugi**

Opinia Toma o nowej Elysii zmieniała się kilkakrotnie w następnych tygodniach. Wciąż plotkowano o niej w Jacobsville, słyszał rozmaite opinie. Pewna znajoma Elysii uważała, że dziewczyna wyszła za

Freda Nasha tylko dla pieniędzy i że to właśnie spadek umożliwił jej otworzenie ekskluzywnego butik

z odzieżą. Nie było tajemnicą, że Freda i Elysię łączyła tylko przyjaźń, żadna tam wielka namiętność, a dzieli-

ła dość duża różnica wieku. Poza tym Fred podobno

był wyjątkowo bogaty. Tom nie wierzył w te

nieprzyjemne pogłoski, jednak nie mógł nie zauważyć, jak znakomicie radzi sobie Elysia. Wykupiła pół farmy brata, stając się współwłaścicielką stada. Sporo inwestowała, w tym także w akcje spółek naftowych.

Zapisała córeczkę do bardzo ekskluzywnej żeńskiej

szkoły w Houston, do tego jeździła mercedesem

kabrioletem. Na pewno nie klepała biedy.

Nie była zdziwiona, że pewnego dnia Luke

zasugerował jej wizytę u Toma.

**30**

*Diana Palmer*

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – powie-

działa bratu po kolacji.

– Czemu nie? – spytał Luke. – To geniusz. Spytaj

Ballengerów.

– Wiem, że jest niezły w tym, co robi – odparła

spokojnie. – Ale to inteligentny człowiek, i nie jest ślepy. Nie chcę, żeby się kręcił koło Crissy.

Luke westchnął i usiadł, patrząc na siostrę ze

współczuciem.

– Crissy ma już prawie sześć lat – zauważył.

– Chodzi do zerówki. Czy twoim zdaniem nie

powinna się dowiedzieć, że Tom jest jej ojcem?

Elysia wykrzywiła usta w grymasie powątpiewa-

nia i oparła łokcie na kolanach.

– Nie wiem, jakby zareagował – odparła. – Był...

był bardzo obojętny, kiedy odchodziłam z agencji.

Myślę, że mu ulżyło, kiedy wyjechałam. – Wzruszy-

ła ramionami. – Wątpię, by brakowało mu towarzy-

stwa kobiet.

– Wobec tego interesujące jest, że z nikim się nie spotyka, prawda? – spytał. – Podobnie było w Houston. A skoro nie słyszałem ani słowa o tym, żeby

nasz Tom Walker gustował w panach, wnioskuję,

że jest niesłychanie wybredny. Jedna kobieta na

sześć lat, dobrze liczę...?

Elysia oblała się rumieńcem.

– To dlatego, że wtedy pił – wyjaśniła pośpiesz-

nie. – Już ci mówiłam.

Luke popatrzył na nią z poważną miną.

– Jacob Cade i ja zdążyliśmy się całkiem dobrze

poznać przez te wszystkie lata. Nigdy nie mówił mi

niczego wprost, ale sugerował, że Kate i Tom mieli bardzo surowego ojca. Ich stary cierpiał na guza mózgu i niemal oszalał przed śmiercią. Stał się

brutalny i nawet kiedyś pobił Kate za to, że uśmiechnęła się do jakiegoś chłopaka.

– Co... co takiego?

– Właśnie. – Luke pokiwał głową. – W swoim

obląkanym umyśle utożsamiał seks ze złem i wma-

wiał to swoim dzieciom. Żadne z nich nie zadawało

się z płcią przeciwną, nawet po jego śmierci. Wykoś-

lawił ich, Ellie. Spróbuj sobie wyobrazić, jak to jest, gdy się ma ojca, który cię leje za uśmiech do chłopaka i przez całe lata tłumi twoją seksualność.

A potem wyobraź sobie dorastanie bez żadnego

doświadczenia w sprawach męsko-damskich. Myś-

lisz, że takiemu człowiekowi, zwłaszcza mężczyź-

nie, łatwo jest się potem zbliżyć do kobiety?

– Nie zamierzasz mi chyba powiedzieć, że Tom

jest.... – Zabrakło jej tchu.

– Tak właśnie sędzę. On i Kate byli sobie bardzo

bliscy. Kiedy jego siostra wychodziła za mąż, Tom

nie miał nikogo. Był całkiem sam. Kate mówi, że

pewnie tylko dzięki alkoholowi potrafił sobie odpuś-

cić i od czasu do czasu realizować stłumione seksualne potrzeby.

Elysia wyprostowała się i westchnęła ciężko.

Właściwie to miało sens. Serce waliło jej jak młotem, kiedy przypomniła sobie, jak zachowywał się Tom

na co dzień. W agencji unikał wszystkich kobiet.

Zbliżył się do niej tylko dlatego, że nie próbowała go poderwać. Nie była agresywna jak większość

32

*Diana Palmer*

współpracownic Toma. Wręcz przeciwnie, była zagubiona i pełna rezerwy, i zapewne nigdy dotąd nie spotkał równie mało onieśmielającej kobiety.

Otworzył się przed nią, przynajmniej trochę. Wte-

dy, tuż po ślubie Kate, za dużo wypił, a ona była pod ręką. Może pozwolił sobie na okazanie uczuć, któ-

rych nie potrafił nazwać, a potem, ze względu na

traumatyczne doświadczenia z dzieciństwa, za-

wstydziło go to, co zrobił?

Na tę myśl jej puls gwałtownie przyśpieszył. Czy

to możliwe, że była pierwszą, a może nawet jedyną

kobietą Toma Walkera? Ze zdumienia aż otworzyła

usta.

– Myślisz, że to możliwe, że...? – spytała z waha-

niem.

– Że to był ten jeden jedyny raz? – Luke wzru-

szył ramionami. – Tom nie jest flirciarzem. Nikt nie może go oskarżyć o podrywanie dziewczyn. Trak-tuje kobiety uprzejmie, ale lodowato. Po prostu jest uprzejmy, i nic się pod tym nie kryje. – Uśmiechnął

się do Elysi. – Wiesz, Crissy zrobiła na nim ogromne wrażenie. Nigdy nie widziałaś jego siostry Kate,



prawda?

– Nie.

– A ja tak – zachichotał. – Crissy mogłaby być jej córką. To podobieństwo z pewnością nie uszło jego

uwagi, nawet jeśli jeszcze się nie zorientował,

w czym rzecz.

– Co mam zrobić, Luke? – zapytała.

– Idź do niego i porozmawiaj z nim szczerze.

– To byłoby bardzo trudne.

– Jasne, że tak. Właściwe postępowanie zazwyczaj jest trudne.

– Dziś nie mogę iść. Mam spotkanie z kupcem z Europy, chcę wejść na ten rynek. Muszę się do tego przygotować.

– No, to możesz iść jutro, po spotkaniu.

– Chyba zawsze wiedziałam, że pewnego dnia będę musiała mu powiedzieć – westchnęła. – Nie będzie zadowolony.

– Będzie.

– Miły z ciebie brat. – Uśmiechnęła się do Luke’a.

– Dlaczego nie znalazłeś sobie żony?

– Ugryź się w język, kobieto! – parsknął. – Ja na

to się nie piszę. Za dużo wokół ładnych dziewczyn, które lubią imprezy i niezobowiązujące jednorazowe kontakty – zachichotał i wstał.

– Pewnego dnia zakochasz się w dziewczynie, która nie imprezuje.

– Już mi żal tej biedaczki, kimkolwiek jest

– stwierdził z uśmiechem.

– Jesteś beznadziejny.

– Ale przynajmniej uczciwy – zauważył. – Zastwardziały kawaler musi się bronić w każdy możliwy sposób przed spiskującymi kobietami!

Rzuciła w niego poduszką z sofy.

Planowała wpaść do biura Toma następnego dnia, ale poranne spotkanie z nowym kupcem okazało się brzemienne w skutki.

Właśnie wychodziła z Francuzem ze swojego sklepu w centrum miasta. Był natrętnym adoratorem, 34

### *Diana Palmer*

przekonanym, że młoda wdowa z pewnością potrzebuje mężczyzny. Wkońcu, zniecierpliwiona umizgami cudzoziemca, przystanęła na chodniku, wyciągnęła rękę i z lodowatym uśmiechem życzyła mu miłej podróży.

– Miłej, ha! – zawołał przystojny Francuz. – Bez ciebie w moim łóżku będę bardzo samotny, *cherie*. Mam nadzieję, że interesy ze mną zrekompensują ci moją nieobecność. Wkońcu, Elysio, widzę, że pieniądze są dla ciebie o wiele ważniejsze niż kochanek, *n'est-pas?*

Niestety, tę gorzką uwagę, wypowiedzianą przez odtrąconego adoratora, usłyszał Tom Walker. Znajdował się trzy metry dalej i był świadkiem całej tej nieprzyjemnej sceny.

Zanim Elysia zdołała wymyślić ciętą ripostę, Francuz wskoczył do swojego sportowego auta i odjechał z głośnym rykiem silnika. Mogła zacząć podbijać nowy rynek, ale koszt okazał się zbyt

wysoki. Postanowiła zrezygnować z fuzji. Pomyś-

łała, że lepiej robić interesy w Ameryce, niż mieć do czynienia z takim człowiekiem.

– Tak zdobywasz klientów? – spytał Tom, przy-

stając obok niej. Jego zielone oczy miały błys-

kawice. – Sypiając z nimi?

Popatrzyła na niego bez wyrazu.

– Zdobywam klientów, dostarczając im towar

najwyższej jakości – odparła z godnością.

– O! Czyżby? – Zlustrował ją spojrzeniem od

stóp do długich włosów upiętych w skromny kok.

Wyglądała bardzo atrakcyjnie, mimo że była czer-

wona jak burak. Nienawidził jej w tym momencie za to, że tak boleśnie ugodziła go w serce.

Jego pogarda była doskonale widoczna. Sprawiała jej przykrość, ale jednocześnie Elysia wpadła w złość, że tak niesprawiedliwie ją ocenił. Wyprostowała się dumnie.

– Możesz sobie myśleć, co chcesz – wycedziła zimno. – Większość plotkarzy pewnie chętnie uściśnie ci dłoń!

Mruknął coś ze złością i wsadził ręce do kieszeni.

– Jaki był w łóżku?

Elysia zrobiła się purpurowa i bez namysłu uderzyła go w twarz. Nie zaplanowała tego, ale wyraż-

nie jej ulżyło. Odwróciła się na pięcie i powędrowała do swojego kabrioletu. Parę osób widziało, co robi-

ła, ale nic ją to nie obchodziło. Domyślała się, że o niej plotkują – jak o większości bogatych ludzi.

Było jej wszystko jedno. Zamierzała wysłać córkę do prywatnej szkoły, gdzie Crissy nie będzie musia-

ła słuchać plotek ani znosić pogardy sąsiadów. A jeśli chodzi o nią, ludzie mogli myśleć, co im się żywnie podoba. Tom Walker również!

Rozcierając piekący policzek, Tom wrócił do

biura. Całkiem zapomniał o słodkiej bułce, którą zamierzał kupić sobie na śniadanie. Nigdy w życiu nie spoliczkowała go żadna kobieta. Niezbyt podo-

bało mu się to nowe doświadczenie.

Bez słowa minął swoją zaciekawioną sekretarkę

i zamknął drzwi gabinetu. Pomyślał, że kiedyś Elysia nie wydawała mu się osobką z temperamentem.

36

### *Diana Palmer*

Była cicha, spokojna i raczej nieśmiała. Pewnie to ciężkie przejścia w małżeństwie sprawiły, że straciła dawną łagodność.

Kiedy przypomniał sobie, co jej powiedział, musiał przyznać, że sam sprowokował ją do takiej reakcji.

Nie zaplanował tych gorzkich słów, ale na myśl o niej z tym Francuzem – facetem, który wyglądał tak,

jakby zaliczył setki kobiet – zrobiło mu się niedobrze z zazdrości. Nie miał pojęcia, że nadal coś czuje do Elysi. Czyżby jego uczucie do niej było aż tak

głębokie, że nie mógł się go przez tyle lat pozbyć?

Czy właśnie to czuła Kate do Jacoba Cade'a? Jego

siostra skrycie kochała tego mężczyznę przez więk-

szość swego dorosłego życia, jednak dopiero gdy

jako reporterka trafiła w sam środek niebezpiecznej akcji i została postrzelona przez terrorystów, Jacob ujawnił swoją miłość do niej. Ich związek był

burzliwy, pełen meandrów, ale zakończył się uda-

nym i trwałym małżeństwem. Kate nie miała obaw

przed ślubem, weszła w związek z Jacobem z praw-

dziwą radością.

Tom nigdy nie czuł radości na widok kobiety,

z wyjątkiem Elysi. Często się zastanawiał, jakby to było dzielić życie i łóżko z jakąś kobietą. Był

przekonany, że żadna nie chciałaby go z jego

kompleksami i statusem prawiczka. Żadna oprócz

Elysi, ale ona nie wiedziała, że jest jego pierwszą kobietą. Był zbyt dumny, żeby przyznać się do  
dziewictwa w tym wieku. Teraz się cieszył, że  
zachował to dla siebie. Najwyraźniej ona nie chciała go pokochać.

Po chwili zaczął przeglądać korespondencję i wkrótce zapomniał o piękącym policzku. Elysia należała do przeszłości. Będzie najlepiej, jeśli tam pozostanie.

Gdyby tylko było to takie proste. Wtak małym mieście, jak Jacobsville, wszyscy wciąż spotykali się na rozmaitych imprezach towarzyskich, począwszy od balów charytatywnych, a skończywszy na zebraniach towarzystwa biznesowego. Tom, jako jedyny doradca inwestycyjny w mieście, brał udział we wszystkich spotkaniach. Podobnie jak – niestety! – Elysia.

Ich chłodne kurtuazyjne stosunki szybko zostały zauważone i nie przeszły bez echa. Niektórzy pamiętali, a inni dopiero teraz dowiedzieli się, że Elysia, zanim wróciła do domu i wyszła za Freda Nasha, pracowała dla Toma w Nowym Jorku.

Widząc, że tych dwoje okazuje sobie jawną wrogość, zaczęli plotkować. Było to nieuniknione.

Na jednym z comiesięcznych zebrań towarzystwa biznesowego Tomowi wyznaczono miejsce

obok Elysi. Spotkanie odbywało się w porze lunchu, w prywatnej sali największej miejscowej restauracji. Elysia, ubrana w schludny szary kostium, z włosami upiętymi w kok, była organizatorką zebrania.



Pełniąc tę funkcję, nie mogła unikać Toma, w przeciwnym wypadku ruszyłaby jeszcze większa lawina plotek.

Było jednak oczywiste, nawet dla najmniej bystrych gości, że tych dwoje ledwie się toleruje. Kiedy **38**

### *Diana Palmer*

Elysia rozdawała wszystkim kopie sporządzonego przez siebie raportu finansowego, upewniła się, że jej dłoń nie dotknie ręki Toma Walkera. Podając mu śmietankę i szczypczyki do cukru, podkurczyła palce, by niechcący go nie musnąć.

Tom był boleśnie świadom jej uników. Rozumiał zachowanie Elysii, ale nie ułatwiało mu to życia.

Szczerze mówiąc, dziwiło go, że tak interesowna i opanowana kobieta ma uczucia, które można zranić.

Po zebraniu Elysia poszła prosto do swojego samochodu. Tom chwilę potem ruszył za nią, świadom wielu par oczu, które śledzą jego marsz do lincolna stojącego obok kabrioletu Elysii.

Elysia wyciągnęła z torebki kluczyki, żeby zdążyć wsiąść do samochodu przed nadejściem Toma, i w pośpiechu upuściła je na ziemię. Klnąc w duchu, podniosła je i zaczęła mocować się z zamkiem.

– Nie przejmuj się – mruknął Tom, stając z dru-

giej strony jej auta. – To, co mam, raczej nie  
powinno być zaraźliwe na taką odległość.

Spojrzała na niego, zarumieniona.

– Uważaj, bo może to ty czymś się zarazisz ode  
mnie! – wykrzyknęła ze złością.

– Posłuchaj, jeśli chcesz przez łóżko zrobić karierę w świecie mody, to nie moja sprawa –  
oświadczył

jadowicie.

Zmeła w ustach przekleństwo, kiedy obok prze-  
szedł prezes izby handlowej, patrząc na nich z zacie-kawieniem.

– Bardzo udane spotkanie, panie James – powiedziała Elysia przez zaciśnięte zęby.

– O tak. Cieszę się, że i pan przyszedł, panie

Walker. – Prezes uściśnął dłoń Toma. – Proszę

dobrze go traktować, pani Nash, potrzebna nam

świeża krew w naszej społeczności! – dodał i poma-

chał im na pożegnanie.

– Chętnie utoczyłabym ci trochę tej świeżej

krwi – wysyczała Elysia, patrząc na Toma ze złością.

– Wiesz co, popracuj trochę nad sobą – stwierdził

z powagą. – Chyba nie panujesz nad nerwami.

– Tylko przy tobie – wypaliła. – Z innymi

ludźmi doskonale sobie radzę.

– Zwłaszcza z Francuzami, co?

– Niech cię szlag trafi!

Uniósł brwi, kiedy Elysia ściągnęła z nogi panto-

fel i rzuciła nim w niego. Na szczęście zdążył się uchylić.

– Można się było domyślić, że chybię – mruk-

nęła. – Oddawaj but.

– Przyjdź tu po niego – rzucił drwiąco.

– Nie jesteś w moim typie – parsknęła. – Nie

znasz francuskiego!

W jego oczach pojawił się chłód. Tom wrzucił

pantofel do jej kabrioletu, wsiadł do lincolna i odjechał, nawet nie patrząc w kierunku Elysi.

– Ja też cię kocham, złotko! – wrzasnęła głośno.

– Mogę to wydrukować? – wyszeptał jej do ucha

wydawca miejscowej gazety.

– John! – pisnęła. – Nie podkradaj się w ten

sposób!

**40**

*Diana Palmer*

– Już widzę ten nagłówek! – Uśmiechnął się

szelmowsko. – „Właścicielka butiku wyznaje miłość doradcy inwestycyjnemu”.

– Chcesz oberwać? – Uniosła pantofel nad głowę

w geście nie pozostawiającym wątpliwości co do jej intencji.

– Nie. – John odchrząknął. – To nie mój rozmiar,

ale i tak dziękuję.

Patrzyła za nim, kiedy oddalał się w pośpiechu.

Pomyślała, że przestaje panować nad sytuacją.

Przez resztę tygodnia Tom był bardzo zajęty

i starał się jak najmniej myśleć o Elysi, gdyż musiał

opanowywać jeden kryzys finansowy po drugim.

Wreszcie w sobotę mógł sobie pozwolić na krótki

wypoczynek. Uznał, że najlepiej zrelaksuje się przy wędkowaniu. Jeden z mieszkańców Jacobsville miał

prywatny staw oraz wypożyczalnię wędek.

Tom wciągnął na siebie dzinsy i podkoszulek, na

głowę włożył kapelusz, i tak ubrany wyszedł z domu. Na szczęście ryba dobrze brała, z przyjemnością myślał o smażonym okoniu, którego zamierzał przyrządzić sobie na kolację. Powróciły wspomnienia z Południowej Dakoty, gdzie on i Kate zawsze chodzili na ryby, kiedy byli na ranchu Jacoba Cade'a.

Buty Toma były zniszczone, ale wciąż w dobrym stanie, podobnie jak stary beżowy stetson. Wtakim stroju nie wyglądał na doradcę inwestycyjnego, lecz na kowboja z krwi i kości. Kate nie mogła się nadziwić, że jej brat wybrał wielkomijskie życie.

Nigdy nie pojęła, że anonimowość wielkiego miasta

była mu na rękę. W małych miasteczkach jego samotny tryb życia od razu rzucałby się w oczy.

W dużym mieście było wielu samotnych ludzi i nikt się nimi nie interesował.

Szczerze mówiąc, ten problem obecnie trochę go

niepokoił. Wcześniej nie pomyślał o tym, jak ciekawscy bywają mieszkańcy takich miasteczek jak Jacobsville i jak szybko rozchodzą się tu plotki. Z konieczności wszedł do ogromnej rodziny, w której wszys-

cy wszystko o sobie wiedzą. Jediną pociechę stano-

wiło to, że podobnie jak w rodzinie ludzie próbowali akceptować się nawzajem, niezależnie od swoich

słabości.

Na przykład każdy w Jacobsville wiedział, że

Harry to alkoholik, a Jeff siedział w więzieniu za zabójstwo kochanka żony. Dla nikogo nie było

tajemnicą, że miejscowa stara panna kupowała co

miesiąc nieprzyzwoite czasopismo pełne zdjęć na-

gich mężczyzn, a pewna pracownica opieki socjalnej żyła z mężczyzną, który nie był jej mężem.

Mimo to nikt nie traktował tych ludzi źle, nie wyśmiewano

się z nich. Stanowili przecież część rodziny.

Tom zaczynał rozumieć, że także plotki o Elysi

wcale nie były złośliwe ani tym bardziej oczer-

niające ją. Im więcej czasu spędzał wśród mieszkań-

ców Jacobsville i im więcej plotek słyszał, tym

bardziej do niego docierało, że tutejsi ludzie uważali małżeństwo Elysi za poświęcenie z jej strony,

mimo bogactwa Freda.

– Troszczyła się o niego jak pielęgniarka, na-  
prawdę – twierdził stary Gallagher, z aprobatą

42

*Diana Palmer*

kiwając głową, kiedy tydzień wcześniej realizował  
zamówienie Toma i zauważył, że Elysia wybiera

taką samą papeterię do swojego butiku. – Wcale się nie migała, nawet pod koniec, kiedy nie wstawał  
z łóżka i wymagał całodobowej opieki. Mieli pielęgniarkę, ale Elysia też przy nim czuwała. –  
Uśmiechnął się. – Może i odziedziczyła sporo pieniędzy, fakt, ale ludzie uważają, że się jej należały  
za to, co zrobiła dla starego Freda. Nigdy nie wątpiłem, że miała dla niego dużo sympatii. A dzieciak  
świata poza nim nie widział. – Westchnął. – Obie go opłakiwały. To miła młoda kobieta. Większość  
ludzi pamięta jej tatę...

– Zmrużył oczy i zamilkł.

Tom zmarszczył brwi.

– Kim był? – spytał, bo w głosie staruszka  
pojawił się ponury ton.

– Stary Craig pił na umór. Lał matkę Elysii

i Luke'a. Pewnego dnia Luke był na tyle duży, by  
zrozumieć, że trzeba coś z tym zrobić. Wezwał

policję, chociaż jego mama protestowała. Uzyskał

nakaz aresztowania. – Zachichotał. – Wsadzili starego do więzienia. Tam zmarł na zawał serca...  
Myślę, że chyba wszystkim ulżyło. I tak, gdyby go w końcu wypuścili, nie przestałby jej tłuc. Nikt nie  
miał co do tego wątpliwości.

Tom dobrze wiedział, w czym rzecz. Też obe-

rwał swoje w dzieciństwie. Jego ojciec stronił od

alkoholu, ale guz mózgu zrobił z niego prawdziwego potwora. Ojciec „dyscyplinował” swoje

dzieci,

zwłaszcza jeśli okazały choćby cień zainteresowania osobom płci przeciwnej.



Tom zarzucił wędkę i z westchnieniem oparł się o pień dębu. Tak naprawdę nie był miłośnikiem wędkarstwa, ale chciał się czymś zająć. Od dłuższego czasu czuł, że jego dni są puste. Wmieście zawsze miał coś do roboty, mógł zatonać w anonimowym tłumie. Tu albo siedział w domu i oglądał wypożyczone filmy, albo wędkował. Wolał wędkować.

– Cześć!

Drgnął, słysząc to radosne powitanie. Odwrócił głowę i ujrzał Luke'a z Crissy. Luke trzymał sprzęt wędkarski.

– Nie sądziłem, że taki miastowy gość będzie tu łowił ryby – stwierdził Luke. – Nudzisz się czy oszczędzasz na jedzeniu?

– Nie dałbym rady oszczędzić – zaśmiał się Tom.

– Dziesięć dolarów za dzień plus wypożyczenie wędki. I dolar za kilogram każdej złapanej ryby.

Wychodzą z tego spore sumy.

– Bobby Turner nie jest głupi – zauważył z uśmiechem Luke. – Szybko zrozumiał, że ludzie chętnie zapłacą za możliwość złowienia zdrowej ryby z czystego jeziora. Zbije na tym majątek.

Tom zerknął na dziesiątki ludzi siedzących nad wielkim jeziorem i pomyślał, że również pogoda sprzyja interesom Turnera. Nie byłoby tu tylu wędkarzy, gdyby pogoda była zła.

– Możemy się do ciebie przyłączyć? – spytał

Luke. – Najlepsze miejsca już są zajęte.

– A to jest jedno z nich? – zainteresował się

Tom.

44

*Diana Palmer*

– Jasne – pisnęła Crissy. – Złowiłam tu niedawno wielką rybę, prawda, wujku?

– Dwukilogramowego okonia – przytaknął

Luke. – Ale to ja musiałem go wyciągnąć. Crissy jest jeszcze troszkę za mała na szarpanie się z rybą.

– Był bardzo silny i chciał mnie wciągnąć do

wody – dodała z powagą dziewczynka, ale już po

chwili jej twarz pojaśniała. – Ale to my zjedliśmy go na kolację, a nie on nas. Ten okoń był bardzo smaczny.

Tom nie mógł się nie roześmiać. Dziecko miało

niesłychanie wyrazistą mimikę.

Crissy patrzyła na niego przez chwilę, z wielkim skupieniem.

– Ma pan zielone oczy i czarne włosy – zauważyła. – Zupełnie jak ja.

– Rzeczywiście. – Skinął głową. Zerknął na Lu-

ke'a, który poszedł do niewielkiej szopy, gdzie

sprzedawano przynętę. – Pewnie twój tatuś też miał

czarne włosy, co?

Crissy zmarszczyła brwi.

– Nie. – Pokręciła głową. – Tatuś był rudy.

Tom nagle poczuł, że serce wali mu jak młotem.

W jego głowie zaczęły kłębić się nieprawdopodobne

myśli. Zerknął na dziecko, na jego oliwkową skórę, zielone oczy, czarne włosy. Dziewczynka chodziła

do zerówki, więc miała mniej więcej pięć, sześć lat.

Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Po chwili wrócił Luke z przynętą.

– Masz, załóż to na haczyk – powiedział do

siostrzenicy. – I uważaj, żeby nie wbić go sobie

w palec jak biedny pan Hull, kiedy ostatnio wybrał się z nami wędkować.

– Jasne – zapewniła go. – Przecież nie chcę sobie zrobić krzywdy! – I odbiegła, podskakując wesoło.

Tom nie mógł oderwać od niej oczu. Crissy ubrana w dzinsy i bawełniany podkoszulek, z daleka wyglądała jak miniaturowa kopia jego siostry Kate.

– Uwielbia łowić ryby – mruknął Luke. – Miałem dziś randkę, ale ją przełożyłem. – Skrzywił się.

– Moja najnowsza dziewczyna nie cierpi wędkowania ani żadnych innych „krwawych sportów”.

– Łowienie ryb to krwawy sport? – zdziwił się

Tom.

– No pewnie. Podobnie jak barbarzyństwem jest

jedzenie mięsa. Ale ja hoduję bydło i nie zamierzam z tego rezygnować, więc pewnie wkrótce się roz-staniemy. Szkoda, bo jest bardzo ładna.

Tom ukląkł obok Luke’a i znów spojrzał na

Crissy.

– Powiedziała mi, że jej ojciec był rudy.

Luke ze świstem wciągnął powietrze do płuc, ale

błyskawicznie doszedł do siebie.

– Naprawdę? Właściwie nie był rudy, miał włosy raczej rudoblond...

– Rudy to rudy, odcień nie ma znaczenia – przerwał mu Tom. Obaj mężczyźni skrzyżowali wzrok.

Nagle Tom wypalił: – To moje dziecko!

Luke zaklął w duchu. Pomyślał, że jeśli powie prawdę, to Elysia go zabije.

– To moje dziecko – powtórzył szorstkim

**46**

***Diana Palmer***

głosem Tom, domagając się potwierdzenia. – Moje!

Prawda?

Luke zwiesił głowę.

– Twoje – odparł głucho.

Tom ponownie spojrzał na dziewczynkę. Był

blady jak ściana. Nigdy nawet nie myślał o małżeń-

stwie ani tym bardziej o dzieciach, a teraz, zupełnie zniecka, został ojcem. Nie miał pojęcia, co o tym myśleć.

– Dobry Boże – wymamrotał.

Luke położył mu rękę na ramieniu. Nie uszło jego

uwagi, że Tom błyskawicznie zesztwniał. Nie lubił

być dotykany. Luke natychmiast cofnął dłoń.

– Myślała, że jesteś playboyem z wielkiego mias-

ta – wyjaśnił. – Nigdy nie próbowała się z tobą

skontaktować, zwłaszcza po tym, jak ją potrak-

towałeś. Fred był chory na białaczkę. Kiedy brali

ślub, już był niezdolny do współżycia. Żyli jak

przyjaciele, nic więcej, na szczęście Elysia bardzo go lubiła. Potrzebowała też ojca dla Crissy. Jak na małe miasteczko jesteśmy dość tolerancyjni, ale Elysia nie mogła znieść myśli, że będą o niej plotkowali jeszcze bardziej niż dotychczas. – Popatrzył Tomowi

w oczy. – Zapewne słyszałeś już o naszym ojcu?

Zmarł w więzieniu, miał zawał. Był okropnym

pijakiem, bił matkę i bił nas...

Tom skinął głową i nabrał powietrza w płuca.

– Słyszałem. A mój ojciec był szaleńcem – wy-

znał cicho. – Też nieźle obrywałem. – Obaj mężczyź-

ni wymienili spojrzenia. – Zabił go guz mózgu, i to w chwili, gdy ojciec bił moją siostrę za to, że

uśmiechnęła się do szkolnego kolegi. Nazwał ją dziwką. Wyobrażasz sobie? Za uśmiech do chłopca.

Luke wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– I pomyśleć, że uważałem siebie za największego pechowca na świecie – mruknął.

Tom roześmiał się niewesoło. Nie odrywał oczu od dziewczynki.

– Jeden jedyny raz – mruknął do siebie. – Jeden jedyny raz w życiu, i od razu dziecko.

Luke wbił wzrok w ziemię.

– Elysia była twoją pierwszą dziewczyną?

Tom się zawahał, ale był zbyt oszołomiony nowo zdobytą wiedzą, żeby ukrywać prawdę.

– Tak – burknął. – I ostatnią. Nigdy nie było żadnej innej.

Luke popatrzył na niego ze współczuciem.

– Ona też nie miała innego mężczyzny – powiedział. – Mimo że była mężatką.

– Chyba żartujesz.

– Bynajmniej – odparł Luke. – Przecież ci już

mówiłem. Nie dotarło do ciebie? Oni żyli jak brat

z siostrą. Fred był bardzo chory, nie mógł... Poza tym Elysia wcale nie oczekiwała od niego

współżycia...

nie myślała o nim w taki sposób. Była uczciwa i wszystko mu o tobie opowiedziała. Po urodzeniu Crissy oboje skoncentrowali się na jej wychowaniu. To było upragnione i bardzo kochane dziecko. Fred też ją kochał.

Tom zacisnął dłoń w pięść.

– Teraz, kiedy już znam prawdę o niej... – wskazał głową dziewczynkę – co mam robić?

### **Rozdział trzeci**

– No właśnie – zamyślił się Luke. – Powiedziałbym, że masz poważny problem. Elysia nie chciała, żebyś kiedykolwiek poznał prawdę o Crissy. A ja zdradziłem ci jej sekret i teraz też mam problem.

Tom pokręcił głową.

– To Crissy go zdradziła – odparł. – Powiedziała, że jej tata miał rude włosy. Wierzę w geny recesywne, ale nie do tego stopnia. Poza tym ona wygląda jak kopia mojej siostry Kate.

– Też to zauważyłem – mruknął Luke.

– Co ja mam robić? – jęknął Tom i złapał się za głowę. – Po tylu latach nie mogę przyjść do Elysii i zażądać praw do dziecka. Pozwoliłem jej wyjechać z Nowego Jorku, chociaż przysięgam, że nie miałem pojęcia o ciąży. Poza tym... nigdy nie próbowałem jej odnaleźć. Nie zrozumiałaby, dlaczego...



– Może mi powiesz?

– Wstyd mi było – wyjaśnił. – Spiłem się i tylko

dlatego odważyłem się zaciągnąć ją do łóżka. Upra-

wiałem seks po pijanemu, a to najgorsze, co może

zrobić mężczyzna – dodał z pogardą, przymykając

oczy. – Mój Boże, byłem pewien, że jeśli teraz umrę, to na pewno pójdę wprost do piekła, ale nie uświadamiałem sobie, że piekłem będzie życie po tym, co zrobiłem tej niewinnej dziewczynie.

Tęskniłem za

nią. Pracowała ze mną przez dwa lata, czułem się

tak, jakbym utracił część samego siebie. Jednak za każdym razem, gdy pomyślałem o tym, co zrobiłem,

nie miałem odwagi jej szukać. Nigdy nie pomyś-

lałem o dziecku – dodał i z niedowierzaniem pokręcił

głową. – Jak widzisz, nie byłem zbyt rozgarnięty jak na dwudziestośmiolatka. A Elysia uważała mnie za

playboya. Czy to nie ironia losu?

– Szkoda, że nie powiedziałeś jej prawdy – wes-

tchnął Luke. – To nie jest jedna z tych kobiet, które zlekceważyłyby cię po takim wyznaniu. Uważam wręcz, że zrobiłoby to na niej wrażenie.

– Jak mogłem powiedzieć jej coś takiego? Teraz

mam trzydzieści cztery lata, a kiedy znałem Elysię, dobiegałem do trzydziestki. Wielu znasz prawiczków w tym wieku? Dwadzieścia osiem lat życia

w dziewictwie? – Rzucił Luke’owi zagniewane

spojrzenie. – Wielu takich znasz?

– Jednego – odparł Luke, szczerząc zęby.

Tom wybuchnął śmiechem. Teraz nie wydawało

mu się to takie straszne. Wkońcu spał już z kobietą, w dodatku poczęli dziecko. Właściwie to im więcej

o tym myślał, tym większą przyjemność mu to

sprawiało. Wyrzuty sumienia nie dokuczały mu już

tak, jak kiedyś. Wiedział jednak, że ma teraz duży problem i zupełnie nie potrafił wymyślić, jak go

50

*Diana Palmer*

rozwiązać. Najbardziej martwiła go, rzecz jasna,

Elysia. Pamiętał, co ostatnio jej powiedział, i teraz miał ochotę zakryć twarz rękami i zawyć. Nawet gdyby wcześniej pozwoliła mu zbliżyć się do Crissy, teraz z pewnością do tego nie dopuści. Spalił za sobą mosty, oskarżając Elysię o sypianie z klientami dla kariery. Jęknął głośno. Jak mógł być aż tak ślepy?

– Może wstąpisz dziś do nas na kolację? – za-

proponował Luke.

Tom uniósł brwi.

– Gdybym stanął na progu waszego domu, kaza-

łyby mnie wypatroszyć i upiec. Ewentualnie ugoto-

wałyby mnie w waszym sosie pomidorowym.

– Do odważnych świat należy – przypomniał

mu Luke. Popatrzył na dziewczynkę, która do nich

podeszła. – Crissy, co byś powiedziała na to, gdyby pan Walker przyszedł dziś do nas na kolację?

– Bardzo bym się ucieszyła – odparła poważnie

Crissy i uśmiechnęła się do Toma. – Chętnie po-

słucham o Indianach.

– Znam tylko kilka faktów z dziejów moich

indiańskich krewniaków – westchnął. – Kate i ja

wychowywaliśmy się u babci, a ona nie lubiła tej

części naszej rodziny. Właściwie to wcale nie po-

zwałała nam o niej rozmawiać.

– Bardzo nieładnie z jej strony – oburzyła się dziewczynka.

– Prawda? – przytaknął Tom, który właśnie w tej chwili uświadomił sobie, że to była dyskryminacja. – Na szczęście mąż mojej siostry znał w rezerwacie Siuksów pewną starą kobietę spo-

krewnioną z naszym pradziadkiem, czyli z nami

również. Kate poszła więc do tego rezerwatu i po-

prosiła tę staruszkę, żeby opowiedziała jej całą

historię rodziny, no i zapisała jej słowa. – Patrzył na buzię dziecka, na znajome mu rysy. – Mamy też

dalekich krewnych wśród Siuksów w Kanadzie

i Południowej Dakocie.

– Odwiedził ich pan? – spytała Crissy, patrząc

na niego z przejęciem.

– Jeszcze nie. Ale pewnego dnia tam pojedę

– odparł z uśmiechem. – Może wezmę ze sobą ciebie

i twoją mamę. Co ty na to?

– Proszę spytać mamę – poradziła mu bez prze-

konania Crissy. – Ona nie lubi nigdzie wyjeżdżać.

– Przecież podobno zabrała cię do rezerwatu

Indian – przypomniał jej Tom.

– Rzeczywiście, nawet się jej podobało – przytak-

nęła Crissy. – Opowiedziała mi o Indianach z prerii i o miejscu, w którym zastrzelono generała Custer.

– Pułkownika Custer – poprawił ją Tom. – Pod-

czas wojny domowej dostał awans na generała

brygady, ale był to stopień nominalny. Custer był

tylko pułkownikiem.

– Drażliwa sprawa, co? – zaśmiał się Luke.  
– Żebyś wiedział – odparł Tom. – I chyba  
powinno się o tym mówić, prawda? Dotąd nie  
przywiązywałem większej wagi do swojego pocho-  
dzenia. – Popatrzył na Crissy. – Ale to jest w genach.  
– Jasne – przytaknął rozbawiony Luke.  
– Złapię dla pana dużą rybę, żeby miał pan co  
jeść – oznajmiła Crissy.

52

### *Diana Palmer*

Usiłowała zarzucić wędkę, lecz bez powodzenia.

Tom przykucnął za nią. Objął dziewczynkę jedną  
ręką, a drugą pokierował wędką.

– O tak, skarbie – powiedział łagodnie.

Crissy uśmiechnęła się do niego przez ramię.

– Dziękuję. Ładnie pan pachnie – dodała.

Tom parsknął śmiechem i przygarnął ją do siebie.

– Ty też, maleńka.

Wstał, a Crissy przytrzymała wędkę obiema

rękami. Nigdy dotąd nie okazywał nikomu czułości,

ale w obecności tego dziecka przychodziło mu to bez trudu. Popatrzył na córkę z dumą, nieświadomy,  
że

Luke uważnie go obserwuje.

– Do ciebie też jest bardzo podobna – zauważył

cicho Luke. – Nie tylko do twojej siostry.

– Tak – przytaknął Tom. – Coraz bardziej widzę to podobieństwo.

Nadział przynętę na haczyk i zarzucił wędkę.

Miał niewesołe myśli. Wiedział, że Elysia będzie niezadowolona z jego wizyty, ale postanowił skorzystać z zaproszenia Luke'a. Za wszelką cenę

musiał się z nią pogodzić. Zerknął na swoje dziecko i już nie miał wątpliwości, że dla tej małej warto uczynić każdy wysiłek.

Razem złapali pięć dorodnych okoni. Luke mężczyźni zaproponował, że je sprawi.

– Przyjdź koło szóstej – powiedział Tomowi.

Tom zerknął na twarz córki, a potem na Luke'a i nagle obleciał go strach.

– Sam nie wiem – westchnął.

– Musi pan przyjść – poprosiła Crissy. – Ja, wuj

Luke i mama sami nie zjemy tych wszystkich ryb.

Bardzo proszę!

– No dobrze – ustąpił. – Zobaczą, czy zdołam

wypożyczyć gdzieś zbroję – dodał pod nosem.

– Będzie mi potrzebna.

Poszedł do domu umyć się i przebrać. Był bardzo

ciekaw, jak Luke wyjawia nowinę Elysi. Pomyślał, że pewnie poleje się krew. Biedny Luke.

– Co takiego?! – wrzasnęła Elysia.

Luke wyciągnął dłoń w pojednawczym geście.

– Idź na górę i się obmyj, skarbie – powiedział do Crissy.

Dziewczynka wyraźnie się wahała. Wkońcu

postanowiła wstawić się za wujkiem.

– Mamusiu, powiedz, że wszystko w porządku.

Zaprosiłam pana Toma, żeby zjadł z nami ryby.

Pomagał nam je łapać. Lubię go – dodała buntow-

niczo. – Opowie mi o Indianach.

– No idź, skarbie, wszystko będzie dobrze – za-

pewnił ją Luke.

Crissy posłuchała, a mijając pobladłą mamę,

popatrzyła na nią spode łba.

– Nie możesz! – wykrzyknęła Elysia, kiedy Cris-



sy była już na górze. – Nie możesz go zapraszać! Jeśli będzie z nią przebywał, domyśli się...

– Już się domyślił – przerwał jej Luke.

Podbiegł i pomógł siostrze usiąść w fotelu, gdyż wyglądała tak, jakby lada chwila mogła zemdleć.

– Powiedziałeś mu? – spytała głucho.

**54**

*Diana Palmer*

– Nie. Crissy mu powiedziała.

– Crissy? Przecież ona nie wie...

– Powiedziała mu, że jej tata miał rude włosy

– wyjaśnił. – Nie trzeba być geniuszem, żeby

skojarzyć to z faktem, że Crissy bardzo przypomina jego siostrę, no i jego samego też.

– Boże drogi – wyszeptała Elysia, przymykając

oczy. – Boże drogi, co on zamierza zrobić?

– Chyba nic, sądząc z jego zachowania tego

popołudnia – odparł Luke. Przyklęknął przy fotelu

i położył dłoń na kolanie siostry. – Tom nie jest

mściwy. Za nic cię nie wini. On też ma swoje

sekrety – dodał w nadziei, że to ją zainteresuje.

Nie mylił się. Popatrzyła na niego ze zdziwie-

niem.

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz, o czym niedawno rozmawialiśmy?

– spytał. – Trafiliśmy w samo sedno. W jego domu

seks był tematem tabu, uważany był za ciężki

grzech. Ojciec Toma i Kate bił ich za najmniejszy

przejaw zainteresowania płcią przeciwną. Tom mó-

wił, że po tej waszej pierwszej nocy miał potworne wyrzuty sumienia. Zadręczał się myślą, że na pewno pójdzie do piekła za to, że się przespał z tobą, w dodatku nie będąc trzeźwym.

Zabrakło jej słów.

– Dobry Boże – wykrztusiła.

– Powiedział, że przez te wszystkie lata nie

potrafił się pozbierać – ciągnął cicho Luke. – Okazało się, że jest przede wszystkim wściekły na siebie, nie na ciebie. To poczucie winy i wstyd sprawiły, że bez

słowa pozwolił ci odejść, że cię nie szukał. Nawet nie wziął pod uwagę ewentualności, że zaszłaś w ciążę. Ojciec wmówił mu, że pożądanie jest chore i nienormalne.

Elysia zamknęła oczy i zadrżała.

– Jak strasznie musiał się czuć tamtej nocy

– westchnęła.

– Tak, to ciężki przypadek chłopaka przetrąconego przez chorego ojca – zauważył Luke. – Chyba żadna kobieta nie miała odwagi się do niego zbliżyć.

On też bał się kobiet. Dopóki ty się nie zjawiałaś...

Chyba tylko ty jedna nie wydawałaś mu się...

grzeszna. Dodatkowo ośmielił go wtedy alkohol, ale kiedy wytrzeźwiał, zląkł się tego, co zrobił. I znów wrócił do tej swojej skorupy. Stał się zimny i nieprzystępny. Ta jego chłodna rezerwa wzbudza zainteresowanie nawet wśród mężczyzn.

– No pewnie – przytaknęła, przypominając sobie

Toma sprzed sześciu lat. Uniosła wzrok i uważnie

spojrzała w oczy Luke'a. – Dlaczego jednak zgodził

się przyjść na kolację? Czyżby już przestał się mnie wstydzić? – ironizowała. – Luke! Przecież on mnie

nadal nienawidzi, on mnie ciągle obraża...

– Uspokój się! Zgodził się przyjść na kolację, bo

go zaprosiłem, a potem wręcz nalegałem. – Wyciąg-

nął dłoń. – Dostyc już tego, Elysio. Pół miasta mówi o waszej wzajemnej niechęci. Wszyscy musimy jakoś tu mieszkać i żyć w zgodzie. Czas zawrzeć

rozejm. Przynajmniej publicznie musicie zachowywać się wobec siebie uprzejmie. To pierwszy krok we właściwym kierunku.

56

*Diana Palmer*

– Będzie miał szczęście, jeśli uda mu się przejść przez mój próg bez obrażeń – odparła lodowato.

– Wiesz, co on mi ostatnio powiedział?

– Nie. Co? – spytał ostrożnie.

– Oskarżył mnie o sypianie z klientami, a szczególnie z tym cholernym Francuzem. Uważa, że w ten sposób prowadzę swoje interesy – wycedziła

ze złością. – Twierdzi, że kontrakty podpisuję przez łóżko. Ma mnie za dziwkę!

– Nieprawda... To niemożliwe...

– Nie masz pojęcia, co mi mówił przedwczoraj na spotkaniu towarzystwa biznesowego – dodała.

– Już nie wspomnę o tym incydencie w barku Rose. Kiedy tam weszłam, żeby zjeść lunch, zobaczyłam, że Tom stoi w kolejce i spokojnie stanęłam za nim... A wiesz, co on zrobił, kiedy mnie zauważył? Natychmiast obrócił się na pięcie i wyszedł. Zrobił to tak demonstracyjnie, żeby wszyscy widzieli!

– Nic mi o tym nie wspominał. – Luke wydał

usta.

– Pewnie jest za bardzo zajęty myśleniem o tym, jak mi tu odebrać córkę – warknęła. – Ale ja nie zamierzam mu jej oddać. Może dziś przyjść, ale nigdy więcej go nie zapraszaj, dopóki ja tu mieszkam, Luke! Nie chcę, żeby mnie prześladował, nie zniosę tego nawet dla dobra córki.

– On nie szuka zemsty – przypomniał jej. – Było mu równie ciężko jak nam. A może nawet ciężiej.

Czy mogłabyś przynajmniej spróbować i zachowywać się wobec niego jak kulturalny człowiek? Crissy

go lubi. – Patrzył na nią uważnie. – Kiedyś go kochałaś.

– Dawno temu – odparła. – Poza tym on nigdy nie odwzajemniał moich uczuć. Rozmawiał ze mną, i tyle, aż do dnia, w którym się upił i... On mnie nigdy nie kochał. Chciał mnie tylko wykorzystać, a teraz wcale mnie nie chce. Uważa, że jestem naciągaczką, interesują mnie wyłącznie pieniądze i nic innego. Sam mi to powiedział. Jakiś tydzień temu, przed zebraniem.

– Naprawdę cię o to oskarżył? – Luke był zdziwiony, bo Tom słowem mu o tym nie wspomniał.

– Pokłóciliśmy się na ulicy i go spoliczkowałam.

– Oblała się rumieńcem. Brat patrzył na nią zdziwiony. – Zasłużył na to! Głośno oświadczył, że jestem nic nie warta, a to tylko dlatego, że był świadkiem, jak ten Francuz upokorzył mnie na oczach całego

miasteczka. – Ze złością spojrzała na Luke'a. – Prędzej zjem własny kapeć, niż zawrę z tym Francuzem umowę – wycedziła po chwili. – Zrobił to specjalnie, bo nie miałam ochoty na romans z nim.

– Powiedziałaś to Tomowi?

– Wogóle nie dał sobie niczego wyjaśnić.

– Wzruszyła ramionami. – Zaczął oskarżać mnie o różne świństwa i wtedy go spoliczkowałam.

Należało mu się – dodała. – Potem, po zebraniu towarzystwa biznesowego cisnęłam w niego butem i chybiłam, ale poćwiczę. Następnym razem naprawdę rozwalę mu łeb!

Luke z trudem ukrył uśmiech.

– Przecież wiesz już teraz, ile on ma zahamowań

**58**

*Diana Palmer*

i kompleksów – przypomniał jej. – A zakompleksieni mężczyźni często bywają agresywni. Strach

i lęk wywołuje agresję. A on ciągle się bał. Ten strach zaszczerpił mu ojciec. On do dziś nie wie, co się z nim dzieje. Tylko odważna kobieta mogłaby żyć z takim

mężczyzną, jeśli w ogóle zdołałaby go zaciągnąć

przed oblicze pastora, by wziąć ślub. Jest zimny jak lód, a to wszystko przez ojca...

– Szkoda, że nie wiedziałam tego w Nowym

Jorku. Teraz jednak to już bez znaczenia. Mężczyz-

na w tym wieku na pewno się nie zmieni. – Wyj-

rzała przez okno i zmarszczyła brwi. – Ale naprawdę jest mi przykro, że spotkał go taki los. – Ze smutnym uśmiechem popatrzyła na brata. – Nie wiedziałam,

że on i jego siostra mają równie złe doświadczenia jak my.

– A może nawet gorsze? – westchnął. – Świat jest

pełen skrzywdzonych dzieci, z których wyrastają

skrzywdzeni dorośli. Czasem, jeśli mają szczęście, potrafią się nawzajem pocieszyć.

– A czasem się wycofują, atakując każdego, kto

im podejdzie pod rękę – dodała.

– Trafny opis naszego pana Walkera. – Zach-

chotał. – Jednak i on ma słabość. Crissy. Owinęła go sobie wokół palca.

– Naprawdę tak ją lubi? – zapytała Elysia.

– Wręcz oszalał na jej punkcie – przytaknął Luke.

– I ona czuje do niego sympatię. Jeśli masz odrobinę rozsądku, nie próbuj ich rozdzielać. Już nawiązali porozumienie.

– Nie zamierzałam zabraniać im spotkań – od-



parła, jakby się broniąc. – Tyle, że to wszystko komplikuje. On mnie nie lubi, ja jego zresztą też nie.

– On cię wcale nie zna, Ellie. Daj mu szansę.

– Nawet gdybym dała mu szansę, on z niej nigdy nie skorzysta.

Luke widział, że spór na ten temat prowadzi donikąd. Westchnął i puścił oko do siostry.

– Sprawię tę ryby za ciebie – powiedział. – A ty postaraj się uspokoić.

O wpół do szóstej Elysia była jednym wielkim kłębkim nerwów. Crissy w różowej spódnicy i podkoszulku bez rękawów nakrywała do stołu. Od czasu do czasu patrzyła na matkę z rozbawieniem nietypowym dla dziecka w tym wieku. Elysia, w skromnej dżinsowej sukience i mokasynach, chodziła po całym pokoju. Jej włosy, jak zwykle ściągnięte w kok, lśniły w promieniach słońca wpadających przez okno.

Wkorytarzu pojawił się Luke z uśmiechem na przystojnej twarzy.

– Zrobisz dziury w podłodze – powiedział do siostry. – Przestań wreszcie tak chodzić.

– Zwariuję do szóstej – jęknęła. – Och, Luke,

dlaczego... – Zawiesiła głos, słysząc chrzęst opon na zwirowym podjeździe. Wyjrzała przez okno i zobaczyła szarego lincolna.

– Już tu jest – szepnęła.

– Przyjechał! – zawołała Crissy, wpadając do

salonu. Podbiegła do siatkowych drzwi. – Pan Tom!

– Wybiegła na werandę. – Dzień dobry, panie Tomie!

60

### *Diana Palmer*

Widok biegnącego dziecka wzruszył Toma. Mężczyzna szeroko rozpostarł ramiona i złapał dziewczynkę, unosząc ją wysoko. W jego oczach zabłysła

radość. To było jego dziecko, jego krew. Niezwykłe, jak szybko przywiązał się do tej małej dziewczynki.

Ze śmiechem przytulił ją do siebie. Entuzjastycznie odwzajemniła jego uścisk i gdy niósł ją do domu, zaczęła szybko opowiadać o posiłku, który zaraz zjedzą.

– Ale pan jest silny, panie Tomie – stwierdziła z podziwem. – Na pewno zdołałby pan unieść mojego kucyka.

– Wątpię – odparł, stawiając ją na podłodze.

Uścisnął dłoń Luke'a, a potem odwrócił się do Elyсии. Miała ściągniętą twarz. Wydawała się smutna i chyba nawet trochę przestraszona. To go poruszyło, nawet nie zwrócił uwagi na jej chłodne

powitanie.

– Wszystko w porządku – powiedział do niej

łagodnie. – Możemy dziś wieczorem zawrzeć rozejm.

Wzięła głęboki oddech, ignorując tę uwagę.

– Kolacja gotowa, siadajmy – oznajmiła.

– Chodź, pomożesz mi wszystko wnieść, Crissy

– powiedział Luke do dziewczynki i wyprowadził ją z salonu.

Tom poczekał, aż zamkną się drzwi do kuchni,

a potem popatrzył na zmartwioną twarz Elyсии

i westchnął głośno.

– Nie jestem w tym najlepszy – zaczął powoli.

– Wczym? – spytała bez cienia zainteresowania.

– Wprzeprosinał. – Wzruszył ramionami.

– Rzadko przeproszałem w życiu. Można policzyć na palcach jednej ręki. Ale tym razem naprawdę przeproszam cię za to, co wtedy do ciebie powiedziałem.

– Nie musisz mi się podlizywać ze względu na Crissy – odparła lodowato. – Nie interesuje mnie twoja opinia o mnie i nie jestem mściwa.

– Crissy to wyjątkowa młoda osóbka. – Nie spuszczał z niej wzroku. – Odwaliłaś przez te lata kawał dobrej roboty.

– Dziękuję. – Wciąż przestępowała niepewnie z nogi na nogę.

Tom ukrył ręce w kieszeniach spodni i wstęchnął.

– Czy ty i Luke jesteście sobie bliscy? – spytał nieoczekiwanie.

To pytanie powinno ją zaskoczyć, jednak wcale nie czuła się zdumiona.

– Tak – odparła po prostu. – Spotkało nas wiele

złego w dzieciństwie, więc pewnie jesteśmy ze sobą bliżej niż dzieciaki, które wychowały się w normalnym domu.

Tom zacisnął zęby, jego twarz stężała.

– Ten świat jest okrutny dla niektórych dzieci,  
prawda? Nawet mimo prawa, które tylko pozornie  
je chroni. Ciężko dziecku oskarżyć własnego rodzi-  
ca, nawet takiego, który zasłużył na więzienie.

– O tak. – Zerknęła na niego. – Pewnie chcesz  
wiedzieć, czy Luke powtórzył mi to, co mu powie-  
działeś o sobie, prawda?

**62**

*Diana Palmer*

– Na pewno powtórzył. – Wzruszył ramionami.

Elysia pokiwała głową.

– Myślał, że powinnam to wszystko wiedzieć.

Że to może pomóc.

– I pomogło?

Opuściła wzrok i oblała się rumieńcem. Z nikim  
nie była tak blisko, jak kiedyś z tym mężczyzną.

Wcześniej jej to nie przeszkadzało, ale teraz nagle zaczęło być krępujące. Wpamięci ożyły  
wspomnienia tamtej nocy. Zawstydzaly ją i przez to czuła się niepewnie w obecności Toma.

– Nie będę ci zabraniała widywać Crissy, jeśli to  
chcesz wiedzieć – odparła, unikając bezpośredniej  
odpowiedzi.

– Dziękuję.

Oboje milczeli, nie mogąc znaleźć odpowiednich  
słów.

Kiedy Luke i Crissy wrócili, dwie pary oczu

popatrzyły na nich z wyraźną ulgą.

– No to co? Może wreszcie zjemy coś? – mruknął Luke.

Crissy wzięła Toma za rękę.

– Musi pan usiąść obok mnie, panie Tomie,  
i opowiedzieć mi o czerwonoskórych.

– O Indianach – machinalnie poprawiła ją Elysia  
i zaczerwieniła się, gdy Tom popatrzył na nią  
uważnie.

Kiedy usiedli przy stole, Tom postanowił spełnić  
prośbę córki i opowiedzieć jej o Siuksach.

– Byli Siuksowie Lakota, Nakota i Dakota. Nakota  
byli myśliwymi, Dakota rolnikami, a Lakota

polowali na bizona i inne zwierzęta, zajmowali się też rybołówstwem i zbieractwem.

– Niech mi pan opowie o swoim pradziadku

– poprosiła Crissy.

– Był jednym z pomniejszych wodzów – zaczął

Tom. – Walczył i został ranny w bitwie nad Little Bighorn.

– Podczas masakry – westchnęła Crissy.

Popatrzył na nią przeciągle.

– Masakra jest wtedy, gdy jeden z przeciwników

jest nieuzbrojony i bezbronny. Custer i jego ludzie mieli mnóstwo broni.

– Aha. – Crissy słuchała go uważnie.

– Kiedyś, w dawnych czasach, tropiciele potrafili

odróżnić po śladach mokasynów, które plemię tro-

pią. Każdy wojownik danego plemienia dysponował

też inną bronią.

– Ojej, a pan umie tropić? – zainteresowała się

Crissy.

– Tak, zawsze zdołam znaleźć drogę do najbliż-

szego baru szybkiej obsługi – roześmiał się. – Jednak w lesie raczej nie dałbym sobie rady. Za to mąż

mojej siostry to doskonały tropiciel. On też ma

w sobie indiańską krew. Mój siostrzeniec jest

w twoim wieku. Nawet jest do ciebie trochę podob-

ny – mruknął, patrząc uważnie na Crissy. – Też ma

zielone oczy, oliwkową skórę i czarne włosy.

– Widziałeś się ostatnio z siostrą i szwagrem?

– spytał Luke.

Tom przecząco pokręcił głową.

– Przez tę przeprowadzkę do Jacobsville byłem

64

*Diana Palmer*

zbyt zajęty. Myślałem jednak, że w przyszłym

miesiącu pojadę do nich na kilka dni. Tylko nie

wiem, co zrobię z Łosiem – westchnął ciężko.

– Ma pan łosia? – zapytała Crissy, szeroko

otwierając oczy.

– Tak nazwałem swojego psa – wyjaśnił jej Tom

i roześmiał się głośno. – Łoś to właściwie słoń

w składzie porcelany. Przez większość życia miałem do czynienia z różnymi psami, ale ten jest zupełnie wyjątkowy.

– Niech pan jedzie. My możemy panu popil-

nować psa – zaproponowała Crissy.

– Nie, nie możecie – oświadczył, zanim Elysia

i Luke zdążyli cokolwiek powiedzieć. – Łoś znisz-

czyłby każdą kruchą rzecz, jaką ma twoja mama, czy

wuj, i dość szybko musielibyście sprawić sobie nowy dywan. Uwielbia kopać. Jeśli nie będzie mógł pogrzebać w ziemi, załatwi dywan. Wszystko, co

mam, jest przesiąknięte sokiem cytrynowym, żeby



Łoś trzymał się od tego z daleka. Jedyne, czego

naprawdę nie cierpi, to smaku cytryny.

– Po co go trzymasz? – spytał Luke.

– Sam nie wiem. – Tom zrobił niezadowoloną

minę. – Pewnie go lubię. To przybłąda, było mi go

żal. Teraz jest mi żal siebie. Ale on pewnego dnia dorośnie i może zmądrzeje...

– A my mamy dwa koty, które ktoś wypędził

z domu – mruknął Luke, rzucając znaczące spojrze-

nie siostrze. – Chciałem oddać je do schroniska, ale ona – wskazał ręką na Elysię – nawet nie chciała

o tym słyszeć. Zamiast tego trafiły do weterynarza

na szczepienie. Dobrze, że Elysia nieźle zarabia

w tym swoim butik, inaczej koty by ją zrujnowały.

– Strasznie dużo jedzą – potwierdziła Crissy.

– Zwłaszcza Zima.

– Zima? – zainteresował się Tom.

– Znaleźliśmy ją zimą – odparła. – Druga nazy-

wa się Cholera...

– Crissy! – Elysia zaczerwieniła się i zerknęła na Toma, niepewna jego reakcji.

– Przecież zawsze rano właśnie tak krzyczy na

nią wuj Luke – wyjaśniła pośpiesznie dziewczynka.

– Ty Cholero!

– Ma na imię Petunia. – Elysia z trudem stłumiła

śmiech. – Ale lubi płyn po goleniu, więc każdego

ranka, gdy Luke go używa, Petunia wskakuje mu na

kolana i stara się go polizać.

– Łoś też ma kilka innych imion. – Tom pokiwał

głową. – Jednak nie mogę przytoczyć ich w tym

towarzystwie.

Luke zaśmiał się głośno.

– Chce pan zobaczyć nasze koty? – zapytała

Crissy, kiedy skończyli deser. – Mieszkają w stodole.

– Idźcie – zachęciła ich Elysia. – A ja tymczasem

tu posprzątam.

Tom się zawahał, ale Crissy złapała go za rękę

i wyprowadziła tylnymi drzwiami.

Luke popatrzył na siostrę.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Chyba tak. Może nie zostaliśmy bliskimi przy-

jaciółmi, ale przynajmniej już nie skaczemy sobie do **66**

***Diana Palmer***

oczu. Nie mam nic przeciwko temu, żeby widywał

Crissy.

– Chyba dobrze się ze sobą dogadują.

– Zauważyłam. – Westchnęła. – Luke, nie boisz

się, że on spróbuje mi ją odebrać? – zapytała

z przejęciem.

– Nie, nie spróbuje. To nie jest taki człowiek.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Ryk silnika przerwał im rozmowę. Wysoki, ciem-

nowłosy mężczyzna właśnie wysiadał z zagranicz-

nego sportowego auta.

– To Matt! – wykrzyknęła Elysia. – Co on tutaj

robi?

**Rozdział czwarty**

Matt Caldwell był niezwykle przystojnym męż-

czyzną, ciemnoookim, szczupłym i ogorzałym, poruszał się płynnie i sprężysto. Większość niezamężnych kobiet w Jacobsville miała na niego chrapkę, tyle że Matt nie zwracał na nie najmniejszej uwagi.

Interesowała go jedynie Elysia, a i to wyłącznie jako przyjaciółka. Tak naprawdę nazywał się Mather Gilbert Caldwell, jednak wszyscy wołali na niego Matt.

Podszedł do Luke'a i Elysi, którzy stali na ganku, i zademonstrował w uśmiechu piękne zęby.

– Czyżby witała mnie delegacja? – spytał.

– Ciesz się, że nie tłum pań, które chcą się na ciebie rzucić – zażartował Luke. – Co cię do nas sprowadza?

– Szukam waszego gościa. Gdzie on jest? Mam

dla niego wiadomość od siostry.

– Chyba musi być ważna, skoro pokonałeś taki

szmat drogi – stwierdziła Elysia. – Skąd wiedziałeś, że Tom tu jest?

68

*Diana Palmer*

– Od pana Gallaghery – wyjaśnił.

Elysia jęknęła.

– Jest w stodole, razem z Crissy – powiedziała.

– Mogę dostarczyć wiadomość?

– Jasne.

Złapał ją za rękę i pociągnął.

– Ty też chodź.

Pozwoliła mu się zaprowadzić pod stodołę, rzuci-

wszy bratu rozbawione spojrzenie.

– Czy to jakaś zła wiadomość? – spytała, gdy doszli na miejsce.

– Ależ wręcz przeciwnie. – Popatrzył na nią przenikliwie. – Dlaczego twój gość siedzi w stodole z Crissy?

– Crissy postanowiła przedstawić go naszym kotom.

– Słyszałem, że dziś Crissy i Luke łowili z Tomem ryby nad jeziorem Turnera.

– To prawda.

– Czy Tom jest przyjacielem Luke’a, czy twoim?

– spytał Matt, nie spuszczaając z niej wzroku.

– To bardzo trudne pytanie. – Zaczęła przestępować z nogi na nogę. – Na przykład ty i ja jesteśmy przyjaciółmi, Matt.

– Jasne, że tak – przytaknął. – A przyjaciele powinni się o siebie troszczyć. Nasz pan Walker ma zimny, nieprzystępny charakter i za wszelką cenę próbuje zrobić z ciebie swojego wroga. Czułem się za to odpowiedzialny, więc przyjechałem sprawdzić, dlaczego Luke go zaprosił.

– Crissy go lubi – odparła.

– Mnie też lubi – zauważył.

Nie mogła nic więcej powiedzieć, nie wyjawiając jednocześnie sekretu. Skrzywiła się lekko.

– Matt, bądź tak dobry i przestań mnie dręczyć, dobrze?

– Czy to z jego powodu w takim pośpiechu opuściłaś Nowy Jork?

– Zadajesz zbyt osobiste pytania. – Popatrzyła na niego z zażenowaniem.

– Pewnie, że tak. Wkońcu ustaliliśmy, że jesteśmy przyjaciółmi, prawda? – Matt zmrużył oczy.

– Crissy jest do niego bardzo podobna.

– Matt!

– Kiedy to prawda. – Westchnął głośno. – Nie

jestem ani ślepy, ani głupi, i wiem o Fredzie Nashu więcej niż inni ludzie. Z pewnością nie był w stanie zostać ojcem...

– Boże drogi, i ty także? – jęknęła.

– Tak. Ja też. Na litość boską, nie przyszło ci do głowy, że to dzięki mnie Tom trafił do Jacobsville?

Że to ja zasiałem to ziarno w jego umyśle, za-

chęciłem go, żeby sprawdził, czy jest tu zapo-

trzebowanie na doradztwo inwestycyjne, i w końcu

przyjechał?

Elysia szeroko otworzyła usta.

– Niemożliwe!

– Możliwe. – Pokiwał głową. – Tom ma prawo wiedzieć. Nie wspomniałem mu jednak o Crissy.

Uznałem, że przeznaczenie to za mnie załatwi. I tak się też stało. On wie, prawda?

Popatrzyła na niego niechętnie.

**70**

*Diana Palmer*

– Jasne, że wie. – Sam sobie odpowiedział na pytanie. – Też nie jest ślepy. I dręczy cię, odkąd się tu sprowadził. Cholera, przepraszam.

Elysia zwiesiła głowę.

– Matt, miałeś dobre intencje – szepnęła. – Niestety, wpakowaliśmy się w kłopoty.

– Kłopoty to moja specjalność. – Ujął ją pod brodę i pocałował w policzek. – Rozchmurz się. Świat się nie kończy. Zobaczysz, wszystko się dobrze ułoży. Po prostu musisz dać sobie i jemu szansę.

Słyszając skrzypienie drzwi stodoły, oboje unieśli głowy. Tom stał w progu z Crissy u boku i patrzył ponuro na przybyszów.

– Tu jesteś – powiedział przyjaźnie Matt, wciąż trzymając Elysię za rękę. – Dzwoniła Kate. Nie mogła się z tobą skontaktować, więc zatelefonowała do mnie. Ma dla ciebie nowinę.

– Złą? – Tom zeszywniał.

– Rany, nie. – Matt zachichotał. – Jest w ciąży.

Znowu będziesz wujem.

Tom gwizdnął przez zęby.

– Coś podobnego. Od lat starali się o drugie

dziecko. – Roześmiał się radośnie. – Założę się, że wariują ze szczęścia.

– Kate zachowywała się jak wariatka, kiedy

rozmawialiśmy – przytaknął Matt. – Podobno Jacob

już mebluje nowy pokój dziecięcy. Tym razem

chciałby córeczkę. Myślę, że Kate także.

– Oboje będą zachwyceni, nawet jeśli urodzi się

chłopiec. Szaleją na punkcie dzieci.



– Ich synkowi przyda się towarzystwo.

– A Kate to wspaniała matka – dodał Tom.

– Zadzwoń, gdy tylko dotrę do domu. Dlaczego trzymasz Elysię za rękę? – spytał tak nieoczekiwanie, że zupełnie zaskoczył Matta.

– Naprawdę? – Matt, z niemal niewidocznym chytrym uśmiechem na twarzy, powoli rozprostował palce.

– Może mnie trzymać za rękę, kiedy mu się podoba – poinformowała Toma Elysia.

– Zauważyłem – odparł zimno. – Pewnie bardzo go lubisz. Niczym w niego nie rzuciłaś. Co z tobą, rzucasz butem tylko we mnie? Ale dziś jeszcze nie oberwałem w głowę...

– Daj mi chwilę, a oberwiesz! – Usiłowała ściągnąć mokasyn, używając ramienia Matta jako podpórki, ale Matt się wyszarpnął.

– Przestań – mruknął.

– Rzuciła w pana butem, panie Tomie? – spytała Crissy z szeroko otwartymi oczami.

– Owszem – odparł krótko. – I to butem na wysokim obcasie. Omal nie zraniła mnie w głowę.

– Właśnie o to chodziło – burknęła Elysia.

– Dosyć, dosyć. – Matt stanął pomiędzy nimi.

– Nie dajecie dobrego przykładu dziecku.

Tom i Elysia przestali mierzyć się złym wzrokiem

i popatrzyli na Crissy, która obserwowwała ich z coraz większym smutkiem na twarzy.

Tom szybko ukrył gniew i uśmiechnął się non-szalancko.

– To było tylko drobne nieporozumienie, skarbie

72

*Diana Palmer*

– powiedział. – Nie ma się czym przejmować.

Prawda, Elysio?

– Jasne. – Odchrząknęła.

– To dlaczego moja mama rzucała w pana butem?

– Bo nazwał mnie...

– Ellie! – ryknął Matt.

Elysia zacisnęła zęby i zmusiła się do uśmiechu.

– Nieważne – wycedziła.

– Nie lubicie się? – zapytało ze smutkiem dziec-

ko. – Mamusiu, musisz lubić pana Toma, bo to mój przyjaciel.

Te wielkie zielone oczy rozpuściłyby kamień,

a Elysia nie była kamieniem. Podeszła do córki

i przyklękła.

– Lubię pana Toma – zapewniła ją. – Naprawdę.

– A czy pan lubi moją mamusię? – zapytała

Crissy Toma.

– Jasne. Jest obłądna.

– Co to znaczy?

Popatrzył na Elysię złym wzrokiem.

– Wspaniała. Cudowna. Kochana.

– Aha. – Crissy uśmiechnęła się z ulgą. – To

przestańcie się kłócić, dobrze?

Tom i Elysia popatrzyli na siebie ponuro.

– Dobrze – odpowiedzieli unisono.

– Napijmy się kawy – wtrącił szybko Matt.

– Elysia, mogłabyś...?

– Oczywiście. – Przynajmniej miała się czym

zająć i odejść od tego... człowieka!

Mężczyźni i Crissy nieśpiesznie wracali do do-

mu. Kiedy stanęli na progu jadalni, Elysia była już spokojna i nawet przyjacielska dla znieawidzonego przyjaciela swojej córeczki.

Mimo to ulżyło jej po wyjściu Toma.

Wkrótce Tom zaczął regularnie odwiedzać ran-

czo. Często przychodził pod nieobecność Elysii, ale czasem zjawiał się również na niedzielnej kolacji.

Elysia go tolerowała, ale nie mogła zapomnieć tych wszystkich strasznych rzeczy, które jej powiedział, jego chłodnej rezerwy. Nawet znajomość przeszłoś-

ci Toma nie ułatwiała jej sprawy. Czuła, że Tom

udaje pewną obojętność, żeby móc jak najwięcej

czasu spędzać ze swoją córką.

Nadal miała obawy, czy Tom nie zacznie się

domagać opieki nad dzieckiem i to ją nerwowo

rozstrajało. Ciągłe patrzył na córkę z dumą i czułoś-

cią. Crissy wręcz go uwielbiała. To mogło skom-

plikować życie Elysii. Zupełnie nie wiedziała, co

robić. Tom miał prawo widywać się ze swoją córką.

Jednak Elysii ścisnęło się serce za każdym razem, gdy do nich przyjeżdżał. Przeszłość minęła, ale jej uczucia do Toma nie. Trudno jej było je ukryć, gdy

patrzyła na jego czułe zachowanie wobec Crissy.

Gdy myślał, że nikt go nie widzi, był taki otwarty, taki bezbronny...

Niestety w obecności Elysii całkiem się zamykał.

Nie wiedziała, że szarpie nim zazdrość, i że gdy

tamtego wieczoru zobaczył ją z Mattem, zaczęły go

męczyć wątpliwości dotyczące adresata jej uczuć.

Właśnie przygotowywała niedzielną kolację,

74

*Diana Palmer*

kiedy Tom wszedł do kuchni i poprosił o filiżanki do kawy.

– Są w tamtym kredensie. – Machnęła głową,

gdyż obiema rękami zagniała ciasto na bułeczki.

– Wezmę je.

Wbiła wzrok w ciasto, które wyrabiała, usiłując

nie myśleć o tym, jak dobrze Tom wygląda w ciem-

nym garniturze i koszuli w delikatne czerwone

prążki. Co prawda miał krótkie włosy, ale nieraz

wyobrażała sobie, jakby się prezentował, gdyby

spływały mu na ramiona, jak u jego indiańskich

przodków...

– Crissy chce wiedzieć, czy pozwolisz jej przyjść

do mnie i poznać Łosia.

Zamarła. Wiedziała, że nie powinna gorączkowo

szukać wymówek, ale nie mogła się od tego po-

wstrzymać.

– Wiem, że nie jesteś tym zachwycona – dodał

cicho. – Ale to także moje dziecko.

Popatrzyła na niego ze smutkiem, po czym

odwróciła wzrok.

– Nie chodzi o to, że nie jestem zachwycona

– powiedziała łamiącym się głosem.

Odstawił filiżanki i stanął tuż obok niej.

– Wolałabyś, żeby Crissy bardziej lubiła Matta niż mnie, prawda?

– Dlaczego zadałeś mi to pytanie? – Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Coś cię z nim łączy, prawda?

Elysia wykrzywiła usta.

– Nie, nic mnie z nim nie łączy – oznajmiła przez

zaciśnięte zęby. – Chociaż bardzo żałuję. Jest przystojny, seksowny i...

– Doświadczony – dokończył za nią z goryczą

w głosie.

Ton jego głosu sprawił, że umilkła. Spojrzała na

niego i nagle dostrzegła w jego oczach emocjonalne blizny, niewidoczne dla innych ludzi.

– Doświadczenie nie ma tu nic do rzeczy – po-

wiedziała. – Liczy się zupełnie co innego.

– Na przykład?

– Czulość – odparła bez zastanowienia. – Umie-

jętność prowadzenia rozmowy. Inteligencja. Poczucie

humoru.

– A oczywiście Matt dysponuje tymi zaletami,

wszystkimi bez wyjątku – burknął.

– To mój przyjaciel – poinformowała go. – Tylko

przyjaciel.

– A ja kim jestem? – Zmrużył zielone oczy.

Jej serce przyśpieszyło. Nie chciała odpowiadać

mu na to pytanie. Ponownie skupiła uwagę na

cieście.

– Kiedyś byliśmy przyjaciółmi – dodał Tom.

– Ceniłem sobie twoje zdanie. Dobrze się ze sobą

czuliśmy.

– Ale wszystko się zmieniło – przypomniała mu.

– Tak. Schlałem się i popełniłem najgorszy błąd

w swoim życiu – stwierdził z goryczą. – Jakoś z tym żyłem, choć nie było mi łatwo. Tobie pewnie też nie.

Nie byłaś równie rozrywkowa jak ja – zażartował.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Bardzo przepraszam, ale kiedy ten francuski

76

*Diana Palmer*

donżuan wykrzykiwał obraźliwe uwagi pod moim

adresem, twierdziłeś coś wręcz przeciwnego – za-

uważyła.

Tom wykrzywił usta.

– Byłem zazdrosny – wyznał głucho.

Jej ręce znieruchomiały na cieście. Wbiła spojrze-

nie w Toma.

– Co takiego?

Tom wzruszył ramionami.

– Nienawidziłem go z całego serca – odparł.

– Właściwie nie mógłbym sobie wyobrazić ciebie

z takim facetem, ale nie myślałem trzeźwo.

Jesteś bardzo atrakcyjna – wyznał niechętnie.

– Nie dziwię się, że inni mężczyźni także cię

pragną.

Elysia popatrzyła na niego niepewnie.



– Czy ty... Czy ty mnie pragniesz? – odważyła

się w końcu zapytać.

Serce Toma zaczęło walić jak młotem. Zacisnął

mocno wargi.

– Przepraszam – wycofała się natychmiast.

– Głupie pytanie...

Jego usta stłumiły dalsze słowa. Zbliżył się do niej tak szybko, że całkowicie ją zaskoczył. Pocałował ją trochę niezręcznie, w końcu minęło dużo czasu od

ich ostatniego pocałunku. Jednak po chwili Elysia

odwzajemniła pocałunek.

– Oczywiście, że cię pragnę – szepnął.

Przytulił ją do siebie, ignorując jej uwalane mąką ręce. Jego usta był głodne, niecierpliwe. Minęło wiele lat, a ona wciąż była równie delikatna i słodka,

taka, jaką zapamiętał. Westchnął i pocałował ją jeszcze żarliwej.

Elysia miała wrażenie, że umarła i trafiła do nieba. A więc Tom jej pragnął, tak jak ona jego.

Przywarła do niego i też westchnęła.

Tom całkiem zapomniał, że w pokoju obok są

ludzie. Całował Elysię, aż rozboleły go wargi. Dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, ile stracił. Teraz do tego głodu miłości dołączyła gwałtowność i całkiem zobojętniał na wszystkie inne doznania. Od dawna

pragnął tylko tej jednej kobiety i trzymał ją teraz w ramionach.

Nagle Tom zeszywniał i ją puścił. Oddychał

ciężko, ale wcale nie wyglądał na człowieka dręczonego poczuciem winy. Delikatnie dotknął twarzy Elysi i odgarnął włosy z jej czoła.

– Nie wyglądasz ani odrobinę starszej niż w Nowym Jorku – powiedział niepewnie. – Jesteś równie śliczna jak wtedy.

Popatrzyła na niego pytająco. Chciała mu wierzyć, chciała mu ufać. Jednak... Wiedziała, że przede wszystkim zależało mu na córce.

Tom wziął głęboki oddech.

– Za szybko, tak? – zapytał. – No dobrze.

Gdybyśmy umówili się, tylko we dwoje, na jutrzejszy wieczór? Zabrałbym cię do jakiejś restauracji, a potem na tańce.

– WJacobsville?

– Nie. WHouston – odparł. – Będziemy musieli wyjechać koło piątej po południu. Możesz wcześniej zamknąć sklep?

78

*Diana Palmer*

– Jasne – odparła natychmiast.

Uśmiechnął się, a ten uśmiech odmienił całą jego twarz.

– Tęskniłem za tobą – szepnął.

Wiedziała, że to wyznanie nie przyszło mu łatwo. Odwzajemniła jego uśmiech. Miała wrażenie, że po długiej burzy wreszcie wyszło słońce.

Jednak cienie nie zniknęły. Tej nocy, po powrocie do domu, Tomowi śniły się koszmary. Drwiące, nienawistne słowa ojca rozbrzmiewały w jego

uszach. Pragnął Elyсии, ale bariera między jego umys-

łem a ciałem wciąż istniała. Ciągłe czuł, że miłość jest słabością, a seks jeszcze większą. Po jednorazowym kontakcie z Elysią nie potrafił przestać jej pragnąć. Jakby to było teraz, gdyby znowu poszli do łóżka? Czy naprawdę mógł jej zaufać i liczyć na to, że nie będzie chciała się zemścić za jego emocjonalny chłód, za to, że zostawił ją i skazał na samotne

macierzyństwo?

Rozdzierały go wątpliwości i nie opuszczał irracjonalny lęk. Rankiem już żałował swojej impulsywnej

propozycji z poprzedniego wieczoru. Gdyby potrafił

znaleźć choć jedną logiczną wymówkę, nie wahałby

się ani przez moment i odwołał tę randkę. Uznał jednak, że w obecnej sytuacji musi iść z nią do restauracji. Nie ma wyjścia.

Kiedy po nią przyjechał, od razu zauważył, że Elysia włożyła bardzo ładną koronkową sukienkę z krótkim rękawem i marynarkę z czarnego ak-

samitu. Wyglądała bardzo elegancko. Biorąc pod uwagę odziedziczony przez nią spadek oraz pieniądze, które zarabiała w ekskluzywnym butik, nie było nic dziwnego w tym, że stać ją było na drogie stroje, odpowiednie na każdą okazję. Przypomniawsobie z bólem serca skromną obcisłą sukienkę z kre-py, którą miała na sobie tamtego wieczoru, kiedy ją uwiódł. To był tani strój, wyglądała w nim tandet-nie. Za to sukienka, którą włożyła na siebie dzisiaj, została zapewne zaprojektowana przez jakiegoś znanego projektanta. Jak zwykle uczesana w skromny kok, Elysia prezentowała się olśniewająco.

– Chyba za długo gapisz się na mnie – zauważyła.

– Pewnie tak, ale tak ładnie wyglądasz, że...

– Dzięki. Ty też. – Włożył ciemny garnitur, który podkreślał jego karnację. Wydawał się zdys-tansowany, elegancki i bardzo seksowny. Opuściła wzrok i cicho zapytała: – Na pewno chcesz iść ze

mną do restauracji? Może się rozmyśliłeś? – Elysia uniosła wzrok i ujrzała niepewność w jego oczach.

To, że wypowiedziała na głos jego własne wątp-liwości, bardzo poruszyło Toma. Zmieszał się i wzruszył ramionami, jednocześnie kręcąc prze-cząco głową.

– Myślałam, że będziesz załował tej propozycji

– powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Wszyst-

ko spadło na ciebie tak nagle, prawda? Chciałeś

kogoś na jedną noc, a nagle po tylu latach dowiadujesz się, że masz dziecko. – Westchnęła ciężko.

– Przepraszam. Gdybym wtedy była bardziej uświadomiona...

**80**

*Diana Palmer*

– Crissy to cudowna istota – przerwał jej nagle.

– Nigdy nie będę żałował, że ją mam.

– Poważnie? – Najwyraźniej trochę jej ulżyło.

– Naprawdę. – Uśmiechnął się do niej i rozejrzał

dookoła. – A właśnie, co z nią zrobiłaś? Gdzie się teraz podziewa?

– Do Jacobsville przyjechało wesołe miasteczko.

Luke zabrał ją na watę cukrową i przejażdżkę

karuzelą – odparła. – A przedtem sprawdził, czy jest tam bezpiecznie. Bardzo o nią dba.

– Zauważyłem. Lubię go – stwierdził.

– Ja też. Za życia ojca był moim obrońcą, moim

aniołem stróżem. – Popatrzyła mu w oczy. – Och,

Tom, kiepskie mieliśmy dzieciństwo, prawda?

– Tak. – Zacisnął zęby, ale już po chwili wes-

tchnął i dodał: – Wiem, że to nie była wina ojca, ale mimo tej świadomości wcale nie jest mi ani łatwiej, ani lżej. – Powoli wyciągnął rękę i dotknął jej

miękkich włosów. Podeszedł bliżej i uśmiechnął się

przepraszająco. – Nie lubię ani dotykać, ani być

dotykany. Ciężko mówić mi o swoich uczuciach,

a co dopiero je okazywać.

– Rozumiem.

– To dobrze, że rozumiesz. – Pokiwał głową

i zmrużył oczy. Popatrzył na nią uważnie. – Czy

umiałabyś z tym żyć? Nie masz żadnej gwarancji, że kiedykolwiek będę normalnym mężczyzną.

– Jeśli dla ciebie normalny mężczyzna to facet

chętny do przespania się z każdą kobietą, która mu się nawinie, to już lepiej bądź taki, jaki jesteś

– powiedziała głucho. – Nie zamierzam zadawać się

z mężczyzną, który nie szanuje kobiet i uważa je za rozrywkę.

– Uważam, ale tylko te, które sypiają z kim popadnie.

– Widzisz? Mamy ze sobą dużo wspólnego.

– Zawsze mieliśmy. Tylko dzięki tobie jakoś wytrzymałem w Nowym Jorku, choć nigdy ci tego nie mówiłem. Było mi lżej na duchu, kiedy każdego dnia widziałem cię za biurkiem, uśmiechniętą i zadowoloną. – Westchnął. – Chociaż uświadomiłem sobie to dopiero wtedy, kiedy cię zabrakło.

– Mówią, że człowiek nie docenia tego, co ma, dopóki tego nie straci.

– Mają rację.

Nagle Elysia zmarszczyła brwi.

– Pytałeś, czy umiałabym żyć z mężczyzną takim jak ty – przypomniała mu. – Co miałeś na myśli? Małżeństwo?

Wzruszył ramionami, wsuwając dłonie głęboko w kieszenie.

– Może jeszcze za wcześnie na tego rodzaju deklaracje, ale właściwie chciałbym, żebyśmy kiedyś się pobrali. Mam nadzieję, że i ty tak myślisz.

Elysia cicho gwizdnęła przez zęby.



– To nie jest decyzja, którą można podjąć z dnia na dzień.

– Oczywiście, że nie – przytaknął natychmiast.

– Jest sporo problemów przed nami, które trzeba byłoby najpierw jakoś rozwiązać. Na przykład Crissy... Ona przecież myśli, że jej ojcem jest twój zmarły mąż. Ten dom to właściwie jedyny, jaki zna.

**82**

*Diana Palmer*

Przywykła do ciągłego towarzystwa wuja Luke'a. Ja

z kolei nie jestem zbyt łatwy we współżyciu, lubię stawiać na swoim, zresztą jak każdy zatwardziały kawaler. I podejrzewam, że ty też jesteś uparta. Nie obejdzie się więc bez kompromisów.

– Lubię płacić za siebie – oświadczyła.

– Ja też. – Uśmiechnął się do niej. – I co z tego?

– Poza tym nie zamierzam zrezygnować z pracy w butik.

– Ktoś cię o to prosił? – Tom uniósł brwi.

– Praca zajmuje mi mnóstwo czasu – nie ustępowała. – A poza tym...

– Moja również – przerwał jej. – Ale mamy weekendy, żeby spędzać je ze sobą. Przynajmniej wtedy Crissy będzie miała normalną rodzinę.

– Przecież nie wie, że jesteś jej ojcem – zauważyła z troską w głosie Elysia.

– Ale pewnego dnia się dowie. Nie musimy przecież załatwiać wszystkiego w ciągu najbliższych kilku godzin, prawda?

Elysia roześmiała się głośno.

– Tom, mówisz o tym tak, jakby to były najprostsze sprawy pod słońcem.

– Bo ogólnie życie jest proste. Ludzie je komplikują, kiedy do głosu dochodzą niezdrowe emocje.

– Popatrzył na nią z czułością w oczach. – Naprawdę jesteś bardzo ładna.

– Nieprawda. – Oblała się rumieńcem. – Mam trzy kilo nadwagi i zmarszczki.

– Też miałbym nadwagę, gdybym nie musiał ganiać za Łosiem...

– Mówisz o swoim psie?

– Tak. O psie wielkości kucyka. Kiedy go poznasz, przekonasz się, że nie tak łatwo do niego przywyknąć. Jest w porządku, ale pod warunkiem, że nie masz kruchych rzeczy w domu.

– Brzmi poważnie. – Przechyliła głowę.

– I takie jest. Łoś to jeszcze szczeniak, nie ma szacunku dla własności osobistej, chyba że mowa o jego rzeczach.

– Lubię psy – stwierdziła.

– To dlatego, że nie znasz Łosia.

– A kiedy go poznam?

Popatrzył na nią z wahaniem.

– Najchętniej odwlekałbym to w nieskończoność, na wszelki wypadek. Jednak pewnych rzeczy nie da się uniknąć. Co powiesz na jutro? Mogłabyś ze sobą przyprowadzić Crissy.

– Byłaby zachwycona.

Tom popatrzył na zegarek.

– Lepiej już jedźmy. Zarezerwowałem dla nas stolik na siódmą.

– A więc zapowiada się uroczysta kolacja – za-

uważyła, kiedy prowadził ją do lincolna.

– Jak najbardziej. Mam nadzieję, że wciąż lubisz owoce morza.

To ją zaskoczyło.

– Lubię – odezwała się po chwili. – Jak to możliwe, że jeszcze o tym pamiętasz?

Usiadł obok niej i uruchomił silnik.

– Byłabyś zdumiona, ile pamiętam – stwierdził.

– Jesteś naprawdę niezapomniana.

**84**

*Diana Palmer*

– Ty też. – Nie patrzyła mu w oczy.

Przez kilka chwil jechali w zupełnym milczeniu.

– Zraniłem cię.

– Bez wątpienia – przytaknęła. – Ale wcześniej...

– Umilkła.

– Wcześniej? – powtórzył.

Zaczęła nerwowo obracać torebkę w dłoniach.

– Wcześniej było... cudownie.

– Mnie także – wyznał nieco sztywno. – Przez całe życie nie byłem z żadną kobietą aż tak blisko.

– Wiem. – Uśmiechnęła się, zawstydzona. – I bardzo się z tego cieszę.

Popatrzył na nią ze smutkiem.

– Chyba dobrze się stało, że brakowało ci do-

świadczenia w łóżku – mruknął.

– A to dlaczego?

– Przewróciłabyś się ze śmiechu, widząc moją nieudolność.

– Nie bądź głupi – odparła. – Niezależnie od tego, co byś zrobił, i tak byłoby mi cudownie. Kochałam

cię – dodała cicho, patrząc w innym kierunku.

– Dobrze wiedzieć – stwierdził. – Bo i ja byłem w tobie szaleńczo zakochany.

## **Rozdział piąty**

– Co takiego? – Nie mogła oderwać od niego wzroku.

Tom wpatrywał się w drogę.

– Nie wiedziałaś? – spytał cicho. – A mnie się wydawało, że wszyscy wiedzieli. Dlatego właśnie

nie mogłem spojrzeć ci w oczy następnego ranka. To było jedyne tego rodzaju doświadczenie w moim

życiu. Nie wiedziałem jednak na sto procent, czy rzeczywiście jesteś tak niewinna, jak mi się wydawało. Mogłem się przecież pomylić, nie poznać...

Byłem nietrzeźwy... Bałem się, że mnie na drugi dzień wyśmiejesz.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – wykrzyknęła.

– Przecież pracowałam dla ciebie przez dwa lata!

Czyżbyś nie wiedział, jaka naprawdę jestem?

– Nie znałem cię pod tym względem – wyjaśnił.

– Większość kobiet jest obecnie bardzo doświadczona i ma ogromne wymagania w łóżku. Nie wiedziałem, czy sprostim twoim oczekiwaniom.

**86**

*Diana Palmer*

To jeden z powodów, dla których uciekałem przed

zbliżeniem z kobietą. Przynajmniej do czasu, kiedy ty się pojawiłaś. – Popatrzył na nią. – Nie zaplanowałem tego. Po prostu zbyt dużo wypilem

i sprawy wymknęły mi się spod kontroli.

– Wiem. Ja również niczego nie zaplanowałam.

– Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy naprawdę roz-

bawiła ją własna naiwność. – Ani ja nie poprosiłam ciebie o jakiegokolwiek zabezpieczenie, ani ty nie zapytałeś mnie, czy się zabezpieczyłam.

– Tak, to karygodna nieodpowiedzialność z mo-

jej strony. – Pokiwał głową. – Miałaś prawo spodziewać się, że taki dorosły mężczyzna wie, co robi...

Elysia opuściła wzrok.

– No cóż, oboje byliśmy niesłychanie naiwni

– westchnęła.

– Przepraszam cię – powiedział z powagą. – Prze-

praszam za swoje zachowanie po tamtej nocy i za

to, że sytuacja tak się ułożyła dla ciebie i Crissy. Nie było mnie tu, kiedy się urodziła, nie uczestniczyłem w tylu ważnych momentach jej życia – dodał.

– Bardzo tego żałuję. Mam strasznie dużo do

nadrobienia. O ile mi pozwolisz.

– Dlaczego miałabym nie pozwolić?

Wzruszył ramionami.

– Masz prawo czuć do mnie niechęć za to, co ci

zrobiłem w przeszłości. Będę musiał zrozumieć, jeśli nie zechcesz mnie w swoim życiu.

To wyznanie zdumiało ją i jednocześnie sprawiło

jej ulgę. Przez cały czas czuła lęk, że Tom wystąpi o prawo do opieki nad córką, jednak wyglądało na

to, że nie zamierza tego robić. Najwyraźniej miał wyrzuty sumienia.

– Nie zabronię ci spotkań z małą, Tom – powiedziała szczerze. – Nie mogłabym tego zrobić.

Z ulgą wypuścił powietrze z płuc.

– Bardzo ci za to dziękuję. Martwiłem się, że...

– Ja również – wyznała. – Bałam się, że będziesz się mścił za to, że nie powiadomiłam cię o ciąży.

– Pewnie ciężko ci było zdecydować się na samotne macierzyństwo?

– Nie zapominaj, że zaopiekował się mną Fred

Nash – przypomniła mu. – Był dobrym człowie-

kiem. Polubiłbyś go. Jego stan pogarszał się z dnia na dzień, nie miał rodziny, umierał. Ja potrzebowałam męża, on towarzyszył i pielęgniarki. Pomogliśmy

sobie. Kochał Crissy jak własne dziecko.

Skrzywił się na myśl o tym, że Elysia musiała

poślubić niekochanego mężczyznę, żeby spokojnie

żyć w tutejszej społeczności. Dobre imię było bardzo ważne w małych miasteczkach. Tom przypomniawszy

sobie, jak to było, kiedy on i Kate zamieszkali z babką, i jak ona starannie ukrywała ich przeszłość. Elysia też musiała myśleć o swoim bracie i jego ranczu. Nie

mogła mu psuć opinii. Na pewno było jej bardzo

ciężko. A jednak wróciła do szkoły, studiowała,



jednocześnie wychowując dziecko i dbając o chorego męża. Tom wolał nie myśleć o napięciu, w jakim żyła.

– Musiało ci być bardzo ciężko – mruknął.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Czasami... bardzo... No, ale sporo dostałam za swoje poświęcenie. No i dorosłam.

**88**

*Diana Palmer*

– Ja też – westchnął. – Nie uświadamiałem sobie

tego przed przeprowadzką do Jacobsville, ale myślę, że spotkanie z tobą w Nowym Jorku miało wpływ

na moje dojrzewanie. Późno dojrzałem, ale w końcu dojrzałem.

– Podobnie jak ja. Sporo się nauczyłam i teraz jestem niezależna. Potrafię zadbać o siebie i swoją córkę.

Tom zmrużył oczy. Czyżby próbowała mu powiedzieć, że go nie potrzebuje?

– Zamierzam przez to powiedzieć – zaczęła,

widząc niepewność na jego twarzy – że nigdy nie

będę dla żadnego mężczyzny ciężarem. I że nie zginę z głodu i bezradności, jeśli mnie opuści albo umrze.

Jestem finansowo niezależna i bardzo to sobie cenię.

– Rozumiem.

– Nie zrozum mnie źle, to nie znaczy, że spodziewam się twojej rychłej śmierci – dodała szybko.

Popatrzył z uśmiechem na zarumienioną dziewcz-

czynę.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby jeszcze nie  
umierać.

Zerknęła na niego dyskretnie, kiedy stanęli na

światłach. Nie mogła uwierzyć, że siedzi obok niego w samochodzie, po tylu samotnych latach  
pełnych

gorzkich wspomnień. Kiedy pracowała dla Toma

w Nowym Jorku, często spędzali przerwę na lunch

na rozmowach o miejscach, które widzieli lub

o ludziach, których poznali. Zawsze miał chwilę na takie pogawędki. Nigdy nie przyszło jej do  
głowy, że przecież był wówczas bardzo zajęтым człowiekiem,

a jednak chętnie poświęcał jej swój czas. Teraz nabrało to dla niej nowego znaczenia.

Tom odwrócił głowę ku Elysi i ujrzał jej zdziwione spojrzenie. Uśmiechnął się lekko.

– Ciągle jeszcze to do mnie nie dotarło – wyznał.

– Nie wyglądasz na kobietę, która ma dziecko.

– Dziękuję – odparła.

– Jaki miałaś poród? Naturalny? – spytał.

Pokręciła przecząco głową.

– Niestety, nie było to możliwe. Mam niewielkie problemy z sercem, nic poważnego, ale powinnam

unikać zbyt wielkiego wysiłku. Miałam arytmie,

więc musieli przeprowadzić cesarskie cięcie. Została mi blizna, teraz już prawie niewidoczna, ale jednak.

– Powinienem być przy tobie – powiedział cicho, ale ze złością i smutkiem jednocześnie.

– Twój mąż ci nie towarzyszył? – zapytał nagle.

– Fred był świeżo po chemioterapii, bardzo źle się czuł – westchnęła. – Luke zawiózł mnie do

szpitala i przez cały czas przy mnie czuwał. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Tom spowaźniał i przez dłuższą chwilę nie

odezwał się ani słowem.

– Mogłaś umrzeć – powiedział, kiedy dojeżdżali już do Houston.

Popatrzyła uważnie na jego smutną twarz.

– Ale nie umarłam.

Tom westchnął ciężko.

– Tyle cierpienia, taka samotność, a wszystko dlatego, że wstydziłem się wyznać ci prawdę.

– Rozumiem. – Mówiła prawdę, rzeczywiście

**90**

***Diana Palmer***

rozumiała. Uśmiechnęła się do niego łagodnie. – Mężczyźnie trudno jest pokonać swoją dumę. Ale wcale bym cię nie wyśmiewała, gdybyś mi powiedział.

Myślę...

– Myślisz... – zachęcił ją, kiedy nie skończyła zdania.

– Myślę, że byłoby mi nawet łatwiej – wyznała.

– Byłam bardzo zdenerwowana, bo myślałam, że

miałeś dziesiątki kobiet, a mnie zupełnie brakowało doświadczenia. Zupełnie nie wiedziałam, co trzeba

robić. – Zarumieniła się, wbijając wzrok w ciemność za szybą. – Myślałam, że nie chcesz ze mną rozmawiać, bo tak cię rozczarowałam.

– A ja myślałem to samo o sobie. – Pokręcił

głową. – Modelowa z nas para idiotów. Ty przynaj-

mniej możesz tłumaczyć się wiekiem. Mnie jednak

zaślepiła męska próżność. Wybacz.

– Ale los podarował nam jeszcze jedną szansę

– zauważyła.

Usłyszała jego głębokie westchnienie ulgi.

– To prawda. I tym razem nie zmarnujemy tej

szansy. Nie ucieknie pani przede mną, pani Nash

– mruknął. – Nawet jeśli będzie pani bardzo szybko biegła.

– Chyba wcale nie chcę już uciekać.

– I dobrze, bo jestem za stary na bieganie.

– Obawiam się, że będziesz musiał zmienić zda-

nie, kiedy lepiej poznasz Crissy. – Zachichotała.

– Ona uwielbia sport. Poczekaj tylko, aż zacznie się szkoła.

– Właściwie to dużo bardziej niecierpliwie cze-

kam na prawdziwe Boże Narodzenie – powiedział.

– Nie miałem Gwiazdki, odkąd Kate i ja wyprowadziliśmy się od babci. Brakuje mi ubierania choinki i prezentów.

– Dopilnujemy, żeby ci tego nie zabrakło – obiecała mu, a w jej szarych oczach pojawił się ciepły błysk.

Restauracja, do której ją zabrał, znajdowała się w najlepszej dzielnicy Houston. Był to elegancki lokal, w menu nie wydrukowano cen. Ich stół znajdował się przy oknie z widokiem na kanał, którym statki wpływały do miasta. Widziała je w oddali i wyobraziła sobie, jak wyglądają za dnia, w otoczeniu skrzeczących mew.

– Bardzo tu ładnie – zauważyła.

– Owszem – przytaknął. – Kiedy pracowałem w Houston, przychodziłem tu z klientami. Ale z kobietą tylko jeden raz – dodał z dziwnym wyrazem twarzy.

– Kiepskie doświadczenie? – zapytała, usiłując ukryć zainteresowanie.

– To była jedna z tych wyjątkowo agresywnych kobiet, które traktują seks jako dodatek do interesów. Nie miałem ochoty i straciłem bardzo ważny kontrakt. – Popatrzył na nią ciepło. – Szkoda, że nie widziałaś jej miny. Była bardzo atrakcyjna i wy-

próbowała na mnie wszystkie swoje sztuczki.

– Naprawdę nie miałeś ochoty? – spytała, zafascynowana.

– Nie mogłem – odparł. Uśmiechnął się łagodnie.

**92**

*Diana Palmer*

– Nie pragnąłem żadnej innej kobiety z wyjątkiem ciebie.

Elysia zaczerwieniła się po czubki włosów.

– Czy to nie... nietypowe? – szepnęła.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nie mam

doświadczenia. – Zdumiewające, ale to wyznanie

nie sprawiło mu najmniejszych trudności. Wziął do

ręki widelec i zaczął się nim bawić. – Nic nie czułem, nawet kiedy tańczyliśmy, a ona dosłownie uwiesiła

się na mnie. Była doświadczona i szybko zrozumiała,

że nie robi na mnie żadnego wrażenia. Wyszliśmy

z restauracji w pośpiechu, nawet nie skończyła

posiłku.

– Uraziłeś jej dumę.

Uśmiechnął się znacząco.

– W następnym tygodniu zadzwoniła do mnie,

żeby przeprosić – powiedział.

– Pewnie mocno cię zaskoczyła.

– Wręcz zaszokowała – przytaknął. – Ale była

pewna, że wie, dlaczego tak się zachowałem. Powie-

działa, że tacy wierni mężczyźni są na wymarciu i że jestem wart dziesięć razy więcej niż wszyscy inni, z którymi zawierała umowy. I tak podpisałem tę umowę.

– Mam nadzieję, że epizod z tą panią należy do przeszłości – stwierdziła lodowato Elysia.

Z wyraźnym zadowoleniem uniósł brwi.

– Wcale nie – oznajmił. – Wciąż dla niej pracuję.

Dla niej i jej świeżo poślubionego małżonka.

– Och. – Znowu się zaczerwieniła.

– Zazdrosna? – spytał z zachwytem.



Popatrzyła na niego spode łba.

– Jasne, że zazdrosna – wyznała z niechęcią.

– Jesteś jedynym mężczyzną, którego poznałam...

tak blisko.

Zamiast odwzajemnić jej spojrzenie, skupił uwagę

na widelcu.

– Od tamtej nocy nie przestawałem się zastana-

wiać, jak by było, gdybyśmy nie mieli przed sobą

żadnych sekretów. – Przygryzł wargę. – Przez te lata przeczytałem wiele książek. Myślę, że teraz poradziłbym sobie lepiej.

Uniosła wzrok. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżo-

wały, oddech uwiązał jej w gardle.

– Dzisiaj?

Policzki Toma pociemniały.

– Nie chciałbym niczego przyśpieszać.

Nie opuściła wzroku.

– Ale przecież tego pragniesz.

– Mój Boże, oczywiście, że tego pragnę – powie-

dział zachrypniętym głosem. – Ostatnio o niczym

innym nie myślę.

– To dobrze – stwierdziła. – Bo ja również nie

myślę o niczym innym, odkąd wczoraj mnie pocało-

waleś.

Tom wyciągnął rękę i dotknął jej palców. Jego

dłonie były chyba jeszcze cieplejsze niż jej. Widziała spokój w nieruchomych oczach mężczyzny.

– Kocham cię – szepnął.

Zakręciło się jej w głowie.

– Ja też cię kocham, Tom – wyszeptała.

Jego spojrzenie było tak intensywne, że zalała ją

**94**

*Diana Palmer*

fala gorąca. Elysia popatrzyła na usta Toma i zapragnęła poczuć je na sobie, na całym ciele.

– Boże, przecież zamówiliśmy jedzenie – mruknął żartobliwie. – Zaraz się zakrztuszę!

– Ja też – wyznała i odetchnęła głęboko. – Ale skoro już tu jesteśmy...

– Równie dobrze możemy coś przekąsić.

Roześmiała się z zakłopotaniem, a on jej zawtórował. Po chwili przyszedł kelner z półmiskiem owoców morza. Zjedli jednak niewiele. Zrezygnowali z deseru, a także z drugiej kawy.

Nieopodal restauracji był luksusowy hotel. Elysia czuła się niepewnie, idąc tam z Tomem, ale pragnęła go równie mocno jak on jej.

Gdy płacił za pokój, sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie, choć wiedziała przecież, że denerwował się tak samo jak ona. Potem zaprowadził

Elysię do zatłoczonej windy, trzymając ją mocno za rękę.

Wysiedli na swoim piętrze, po czym Tom otworzył drzwi, wprowadził ją do pokoju i nawet nie zapalił światła. Natychmiast wziął ją w ramiona, nie mówiąc ani słowa.

Łoże okazało się iście królewskich rozmiarów.

Pokój pogrążony był w półmroku, oświetlony jedy-

nie nikłym blaskiem ulicznych latarni i neonów. Nie widziała zbyt dobrze Toma. Było tak, jak za pierwszym razem, tyle że teraz się znali i pragnęli oddać się sobie z miłości.

Gdy byli nadzy, Elysia jęknęła z nieoczekiwanej

rozkoszy. Już zdążyła zapomnieć, jakie to cudowne przeżycie. Otoczyła ramionami szyję Toma, zatopiła palce w gęstych czarnych włosach, podczas gdy jego usta muskały jej szyję, a potem piersi.

Pewnie przeczytał od tamtej pory sporo książek, pomyślała, wijąc się z rozkoszy pod pieścizotami jego warg.

– Tutaj? – wyszeptał. – I tutaj?

– Tak... tak! – przyzwoliła, wyginając grzbiet.

– Boże, to cudowne – mruknął, znów ją całując.

– Naprawdę cudowne.

Elysia rozchyliła nogi, by przyjąć Toma. Ukryła

twarz w szyi Toma i przywarła do niego z całej siły, drżąc lekko, kiedy w nią wchodził.

Jednak nie było tak, jak za pierwszym razem.

Znieruchomiał i trwał tak, aż jej spięte ciało się odprężyło. Westchnęła i uniosła biodra. Początkowo czuła lekki ból – minęło w końcu tyle czasu – ale po chwili o nim zapomniała. Tom leżał na niej nieruchomo, całując jej zamknięte powieki i policzki.

Nagle uniósł ją lekko i zaczął się poruszać. Zadrzała.

Zrobił to ponownie, nasłuchując jej oddechu. Wciąż powoli poruszał biodrami, aż zaczęła szybciej oddychać i krzyknęła.

– Jesteśmy jak dzieci, które uczą się tańczyć

– wyszeptał. Czuła, że się uśmiecha. – Chciałbym,

żeby trwało to wiecznie. Nie chcę szczytować. Nie

chcę, żebyś ty szczytowała. Chcę tak w tobie trwać, aż oboje się zestarzejemy.

– Już nie... mogę... – wyszeptała urywanym głosem.

96

*Diana Palmer*

Znów się poruszył, a ona krzyknęła z rozkoszy.

– Możesz, możesz, skarbie – wydyszał. Przetoczył się na plecy i posadził ją na sobie. Oparł dłonie na biodrach dziewczyny, a ona poruszała się na nim, aż w końcu zupełnie się zatraciła i ugryzła go

w ramię z rozkoszy.

– Zrób to! – wykrzyknęła. – Zrób to teraz!

– Zapomniałem, że potrafisz szczytować kilka

razy. – Położył ją na boku i zarzucił sobie jej nogę na biodro. – Pozwól...

Tym razem był o wiele bardziej zdecydowany

i Elysia bardzo szybko osiągnęła rozkosz. Krzyknęła i przywarła do wilgotnego ciała kochanka.

Kiedy się odprężyła, pocałował ją i przytulił. Ze zdumieniem zrozumiała, że Tom nadal chce się kochać, nie

wykazuje żadnych oznak zmęczenia.

– Czy ty... nie? – zapytała wstydliwie.

Pogłaskał jej potargane włosy.

– Jeszcze nie – odparł. – Za dobrze się bawię,

żeby już kończyć. – Zawahał się nagle. – Na pewno

nie robię ci krzywdy?

– Nie.

– Nawet teraz? – spytał i znów w nią wszedł.

Jęknęła i otoczyła go nogami.

– Nie – powtórzyła.

Roześmiał się i znów zaczął ją całować.

– Gdybym tylko mógł zatrzymać czas – zamruczał. Nagle zalała go fala gorąca i świat przestał dla niego istnieć.

– Elysia? – Delikatnie dotknął jej ręki.

Na dźwięk głębokiego głosu otworzyła oczy.

Pokój oświetlała lampka nocna. Ale to nie był jej

pokój. Obok siebie ujrzała męską, nieogoloną

twarz.

– Tom? – Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

Kiwnął głową i dotknął jej opuchniętych warg.

– Jest trzecia w nocy. Obudź się.

Spojrzała mu w oczy. Nie było w nich niechęci,

wstydu ani poczucia winy. Widziała tylko miłość

i prawdziwą dumę.

Uśmiechnęła się, a Tom odpowiedział jej uśmie-

chem. Pochylił głowę i delikatnie musnął jej usta.

– Chodź – szepnął. – Wstajemy.

Odchylił kołdrę i przyjrzał się uważnie Elysi,

a ona jemu. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

Wkońcu popatrzyła mu prosto w oczy.

– Nigdy nie widziałam nagiego mężczyzny. Na-

wet ciebie... poprzednio.

– A ja nigdy nie widziałem nagiej kobiety, poza

tobą – szepnął. – Jesteś absolutnie słodka.

– Ty też.

– Ja słodki? – Uniósł brew.

Znowu się zarumieniła.

– Strasznie mnie dręczyłeś – wyznała cicho.

– Wiem. – Delikatnie dotknął wargami jej piersi.

– Siebie też dręczyłem. Nie wiedziałem, że będzie mi tak dobrze. Za pierwszym razem było nieźle, ale

tego po prostu nie da się opisać – stwierdził.

– Krzyczałeś. – Popatrzyła mu w oczy. – Tak

długo wstrząsały tobą dreszcze, że aż się przestraszyłam.

**98**

*Diana Palmer*

– Nie tylko ty – parsknął. – Żadna z przeczytanych przeze mnie książek nie przygotowała mnie na takie doznania.

– Tak, wiem, co masz na myśli. – Dotknęła jego torsu, porośniętego czarnymi włosami. – Nie wstyd ci? – Musiała o to zapytać.

Pokręcił przecząco głową i zmrużył oczy.

– Jeśli nie bierzesz pigułek, to pewnie znów będziemy mieli dziecko – zauważył.

Elysia znieruchomiała i bardzo powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Nawet nie pomyślałam, żeby coś wziąć – westchnęła. – Poza tym chętnie będę miała jeszcze jedno dziecko... z tobą.

Jej twarz go fascynowała. Kojarzyła mu się ze



słońcem, które wyjrzało zza chmur. Przytulił ją

mocno do siebie.

– Tak bardzo cię kocham – wyznał zachryp-

niętym głosem. – Kocham cię z całego serca i nigdy nie przestanę, aż do końca życia.

– Ja też cię kocham – szepnęła, obejmując go

mocno. – Och, Tom, nawet nie jesteśmy małżeń-

stwem, a ja pewnie znowu znajdę w ciąży!

– Wkieszeni mam zezwolenie na ślub – mruknął

cicho. – Dlatego cię obudziłem i chciałem, żebyś się ubrała. O szóstej rano weźmiemy ślub.

– Co? – Zupełnie straciła głowę. – Ale jak..?

– Wystąpiłem o dokumenty dwa tygodnie temu,

i wydobyłem twoje badanie krwi od lekarza.

– Powiedział, że muszę zrobić badanie krwi, bo

jeden z klientów mojego sklepu ma zapalenie opon

mózgowych. A to oszust! – prychnęła z udawanym oburzeniem.

– Doktor Morris to dobry człowiek – mruknął.

– Kiedy wspomniałem mu o moich planach, chętnie mi pomógł.

– Każę go zastrzelić – mruknęła.

Tom roześmiał się cicho.

– Nie zrobisz tego, bo za dwie godziny zostaniemy małżeństwem. – Popatrzył na zegarek.

– Musimy chyba włożyć coś na siebie, bo ludzie będą się gapić, zwłaszcza na ciebie – dodał, lustrując ją wzrokiem. – Boże, jakie masz wspaniałe ciało.

Zachichotała. Już w ogóle nie czuła wstydu.

Wstała i zmierzyła kochanka spojrzeniem.

– Mogłabym to samo powiedzieć o tobie.

– Uśmiechnęła się do niego.

On także wstał i przytulił ją do siebie z westchnieniem.

– Chyba powinniśmy zadzwonić do Luke’a i powiedzieć mu, gdzie jesteśmy.

– Dobrze, powiedz mu – przytaknęła. – Tylko

nie wdawaj się w szczegóły.

– Tchórz.

– Gdzie znajdziemy pastora?

– Tak się składa, że umówiłem się z pewnym pastorem na szóstą rano.

– To jeszcze trzy godziny, nie dwie. Mówiłeś, że za dwie godziny będziemy małżeństwem.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się szelmowsko.

– No cóż, myślę, że znajdziemy jakiś sposób na

**100**

***Diana Palmer***

zabicie czasu – mruknął i wyciągnął dłoń. – Mówią, że praktyka czyni mistrza...

Nigdy nie pytała, jak zdołał znaleźć pastora,

który o szóstej rano udzielił im ślubu. Najważniejsze było to, że ceremonia się odbyła. Elysia, roz-

grzana po wspólnej kąpieli, wypowiedziała słowa

małżeńskiej przysięgi w tej samej czarnej sukni,

w której pojechała na kolację. Wciąż do niej nie

docierało, że została żoną ukochanego mężczyzny.

Pocałował ją przed ołtarzem, a na widok jego

spojrzenia serce Elysi zaczęło szybciej bić. Jeszcze nigdy tak na nią nie patrzył. Wyszeptał jej imię

i pocałował ją z taką czułością, że ugięły się po nią kolana. Nigdy nawet nie śniła o takim szczęściu.

Zadzwonili do Luke'a, żeby mu powiedzieć,

gdzie są, a potem rozmawiali z poruszoną Crissy.

– Wrócimy za dwa dni – obiecała Elysia Luke'owi.

Zaczerwieniła się aż po cebulki włosów, słysząc jego serdeczny śmiech. – Przestań natychmiast!

– Przepraszam. – Luke odkaslnął. – Tak czy

owak, bądź spokojna o małą, dobrze się nią zajmę.

Do zobaczenia po powrocie.

Tom także porozmawiał ze szwagrem, a serce

omal nie pękło mu z dumy, gdy mała Crissy po raz

pierwszy nazwała go tatą. Pomyślał, że dotąd nigdy jeszcze nie był taki szczęśliwy. Rzut oka na nowo

poślubioną żonę tylko go w tym utwierdził.

Spędzili następne dwie doby w romantycznej

gorączce, ledwie coś jedząc. Bez przerwy prowadzili

rozmowy, od czasu do czasu przerywając je piesz-

czotami, a potem znów rozmawiali. Opuszczając

Houston czuli, że są sobie niezwykle bliscy.

Po powrocie do Jacobsville okazało się, że doktor

Drew Morris i Luke urządzili na ich cześć przyjęcie weselne. Przyszła na nie połowa ludzi z miasteczka, a Crissy powitała rodziców w uroczej sukience

ozdobionej koronką. Największą niespodzianką jed-

nak była siostra Toma, Kate, która zjawiła się wraz ze swoim mężem Jacobem i synem Hunterem.

Tom uściskał siostrę i przywitał się z Jacobem,

a następnie wziął małego Huntera na rękę.

– Wyglądasz jak twój tata, młody człowieku

– oświadczył. – Tylko że masz zielone oczy.

– Mam oczy mamy. – Hunter popatrzył na niego

z powagą. – I twoje, wuju Tomie.

– Rzeczywiście. – Odstawił Huntera i z roz-

bawieniem patrzył, jak chłopiec marszczy brwi na

widok nadbiegającej Crissy.

– O rany, wyglądasz prawie jak ja – stwierdziła

dziewczynka. – Tyle że jesteś chłopcem.

– Jasne, że jestem chłopcem – odparł z oburze-

niem Hunter, po czym się skrzywił. – Umiem

polować i łowić ryby, jak mój tata.

– Ja też to potrafię – stwierdziła nie mniej  
oburzona Crissy. – Złapałam dwukilogramowego  
okonia, prawda? – Spojrzała na Toma.

Ścisnęło mu się serce, kiedy na nią patrzył.

– Prawda, skarbie – przytaknął.

– Może pokażesz swoją wędkę Hunterowi, ko-  
chanie? – zaproponowała Elysia.

**102**

*Diana Palmer*

Crissy spodobał się ten pomysł. Machnęła ręką  
na Huntera, żeby za nią poszedł. Kiedy zniknęli  
z pola widzenia, Kate popatrzyła najpierw na za-  
rumienioną twarz Elysii, a potem na beznamiętne  
oblicze brata.

– Wygląda zupełnie jak ty – wykrztusiła.

– Moja żona przez lata pracowała jako reporter-  
ka śledcza – wyjaśnił Jacob z rozbawionym uśmie-  
chem. – Nigdy nie umiałem niczego przed nią ukryć.

Lepiej powiedzcie jej to, co chce wiedzieć. Tak  
będzie łatwiej.

Elysia uśmiechnęła się szeroko.

– To córka Toma – wyznała, zawstydzona. – On

nie miał o tym pojęcia – wyjaśniła szybko, by nikt nie miał pretensji do jej męża. Mocno złapała go  
za rękę i ją uścisnęła.

– Nawet niczego nie podejrzewałem – dodał

smutno Tom, zerkając na siostrę.

Kate uśmiechnęła się do niego i popatrzyła z czułością na nowożeńców.

– Wygląda na to, że mimo przeszkód wszystko dobrze się skończyło.

– Rzeczywiście – przyznał Tom, przygarniając do siebie żonę. – Nawet o tym nie marzyłem.

Elysia przywarła do niego i westchnęła.

– O tak. – Pocałowała go.

Jacob również objął ramieniem żonę i uśmiechnął się do niej.

– Czy teraz wreszcie przestaniesz się martwić?

– spytał. – Jeśli nie wierzysz, że masz przed sobą naprawdę szczęśliwą parę, poproszę Hankę, żeby

przygotował ci jedną ze swoich ziołowych mikstur.

Może poprawi ci się wzrok.

– Hank to jego tata – wyjaśniła Kate Elysii.

– Ciągłe kręci się po mojej cieplarni z książką o medycynie naturalnej i robi mikstury na wszystko, od oparzenia pokrzywą do pęcherzy na stopach.

– Odchrząknęła. – I na parę innych rzeczy też.

Jacob zachichotał radośnie.

– No jasne, wyśmiewaj się z niego, ale ostatnia nalewka zadziałała, prawda? – Zerknął na brzuch żony z mieszaniną dumy i zachwytu na twarzy.

– Jacob! – Kate oblała się rumieńcem i żartobliwie klepnęła męża.

– Jeśli chcecie, poprosimy, żeby i wam taką sporządził – dodał Jacob z chytrą miną. – Ta była na dziewczynkę, ale ponieważ macie już córkę...

– Chyba damy sobie radę, Jacob, ale dzięki za propozycję – przerwał mu z uśmiechem Tom.

Jakieś małe zamieszanie przyciągnęło ich uwagę.

Crissy przepychała się przez tłumek ludzi, a tuż za nią szedł Hunter.

– Ona ma kołowrotek – oznajmił swoim rodzicom urażonym tonem. – Wy daliście mi starą wędkę ze splawikiem, ciężarkiem i haczykami!



– To moja wędka z dzieciństwa – oburzył się

Jacob. – Moje dziedzictwo!

– Ja też chcę mieć kołowrotek – wymamrotał

Hunter. – To dziewczyna, a ma kołowrotek!

– Mówisz o swojej kuzynce – przypomniała mu

Kate. – I bądź miły, młody człowieku. Gdzie się podziały twoje maniery?

**104**

*Diana Palmer*

– Dobrze, mamó – wymamrotał, zerkając na swoją bystrą kuzynką. – Też bym złapał dwukilogramowego okonia, gdybym miał kołowrotek – zauważył i popatrzył w oczy ojca, szukając w nich wsparcia.

Jacob westchnął ciężko.

– Dobrze, synu, jak tylko wrócimy do domu, pójdziemy do sklepu wędkarskiego i kupimy ci kołowrotek.

– Dzięki, tato! – rozpromienił się Hunter.

– Moglibyście zabrać mnie ze sobą – wtrąciła

Kate. – I ja lubię łowić ryby, przecież wiesz.

– Wiem, mamó. – Hunter przysunął się bliżej ojca. – Ale to zajęcie dla mężczyzn, nie sądzisz?

Kate z trudem stłumiła śmiech. Zamieniła wy-

mowne spojrzenie z Elysią.

– Hunter nie uważa kobiet za słabszą płęć, bez obawy – powiedziała z uśmiechem. – Jednak czasami bawi się z Buckiem, synem naszego sąsiada, a tata Bucka jest... Jak by to ująć?

– Zaginionym ogniwem między człowiekiem a jego bardziej prymitywnymi przodkami? – pośpieszył jej z pomocą Jacob.

– Dzięki, skarbie. – Oparła się o niego. – Tak, chyba o to chodzi. – Popatrzyła na synka. – Czy mamusia to słaba płęć, skarbie?

– Ależ skąd! – odparł natychmiast Hunter. – Moja mama potrafi strzelać ze śrutówki – oznajmił z dumą. – I powinniście zobaczyć ją na koniu.

Kate wyrzuciła przed siebie ręce w geście zwycięstwa i wszyscy dorośli wybuchnęli śmiechem.

Kiedy Luke pojechał na lotnisko wraz z Kate, Jacobem i Hunterem, Crissy podeszła do Toma i uśmiechnęła się do niego z miłością.

– Teraz jesteśmy rodziną, prawda? – spytała.

– Zostanie pan moim tatusiem, a ja pana córeczką, i będzie pan mógł opowiedzieć mi wszystko o Indianach.

– Wszystko co wiem, skarbie – przytaknął. Przy-

tulił ją do siebie i westchnął. – Bardzo się cieszę, że będziesz moją małą córeczką. Obiecuję, że będę kochał cię równie mocno jak twoją śliczną mamusię.

– I ja pana kocham... tatusiu – wyszeptała i uścisnęła go z całych sił.

Jego oczy zasnuły się mgłą, zamrugał szybko,

żeby nikt tego nie zobaczył. Po chwili ujrzał przed sobą Elysię. Długo na nią patrzył nad ramieniem córki. I jeśli nawet miała choć cień wątpliwości

dotyczący jego motywów, w tej chwili nie pozostał

po nich ślad. Żaden mężczyzna nie mógłby tak

patrzeć na kobietę, gdyby jej szaleńczo nie kochał.

## Rozdział szósty

Tom skłonił Luke'a, aby zamiast trzymać Łosia

w domu, na czas podróży poślubnej oddał psa do

hotelu dla psów. Jednak kiedy Elysia i Crissy przeniosły się do domu Toma, ogarnęły go poważne

wątpliwości, czy wszystko dobrze się ułoży. Nie

miał czasu przedstawić Łosia swojej nowej rodzinie, a bardzo nie chciał oddawać zwierzęcia. Obawiał

się, że Łoś będzie stanowił zbyt duży problem dla obu jego kobiet.

Mimo to jednak przywiózł Łosia do domu i wpuszczył go do ogródka.

– Mogę się z nim pobawić? – spytała przejęta Crissy.

Tom się zawahał. Łoś był wesołym, radosnym szczeniakiem, ale przy dziewczynce wyglądał jak słoń.

– No idź – odezwała się Elysia, rozwiązując problem. – Tylko bądź ostrożna.

– Dobrze, mamusiu!

Tom patrzył, jak Crissy wybiega do ogródka.

– Powinniśmy mieć na nią oko – stwierdził.

– Nie sądzę, żeby zrobił jej krzywdę, ale...

Nagły krzyk i warczenie sprawiły, że oboje

zbledli jak płótno. Tom wypadł na ganek, przeklinając się w duchu za to, że nie towarzyszył dziecku.

Jednak to, co zobaczył, dalekie było od tego, co

spodziewał się ujrzeć. Crissy stała obok schodków, przyciskając ręce do ust i drżąc. Kilka metrów dalej Łoś patrzył na nich, z wielkim martwym grzechotnikiem w pysku.

Crissy podbiegła do rodziców.

– Tatusiu, nawet go nie widziałam! Nie widzia-

łam go, a on grzechotał, Łoś podbiegł i złapał go!

Uratował mnie!

Elysia przytuliła córeczkę, płacząc z ulgi. Popatrzyła na Łosia, który bawił się teraz węzłem.

– Jeśli kiedykolwiek spróbujesz się pozbyć tego psa, wystąpię o rozwód – oznajmiła Tomowi.

Roześmiał się z ulgą.

– Jeszcze ci przypomnę, że powiedziałaś coś takiego – oświadczył, dumny ze swojego psa i tak zachwycony faktem, że Crissy nie stała się żadną krzywdą, że niemal wpadł w euforię.

Kilka tygodni później, kiedy ujrzał, jak Łoś rzuca coś pod nogi Elysi i kładzie łeb na jej kolanach w salonie, na widok szeroko otwartych oczu żony

przypomniał sobie o incydencie z wężem.

– Mówiłaś, że jest wart tyle, ile waży jego psie

kości – przypomniał jej pośpiesznie. – Twierdziłaś, że pozbycie się go to powód do rozwodu.

**108**

*Diana Palmer*

Z otwartymi ustami popatrzyła na męża, potem

je zamknęła i wykrzywiła. Wzdychając, pogłaskała

Łosia po wielkim łbie.

Obok jej nogi leżały resztki pięknego biustonosza

z czarnej koronki, mokre i poszarpane.

– Lubi cię – pocieszył ją Tom. – Zjada ubrania

tylko wtedy, gdy lubi właściciela.

– To prawda, mamusiu – wtrąciła z przejęciem

Crissy. – Zjadł moje stare pomarańczowe skarpetki, obie! Bardzo mnie lubi.

Elysia i Tom wymienili tylko pełne rezygnacji

spojrzenia.

– Przecież zabija grzechotniki – przypomniał jej

Tom.

Nie spuszczała z niego wzroku.

– Jeśli kochasz mnie, pokochaj mojego psa.

– Niepewnie uniósł brwi.

Nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

– Tak, przekonałeś mnie. No dobrze. – Uścisnęła

Łosia, a potem wstała i przytuliła się do męża,

całując go z uczuciem. Podniosła resztki biustono-

sza. – Ale jeśli zje moją nową sukienkę ciążową, dam mu wycisk.

– Twoją... nową? – zająknął się Tom.

Uśmiechnęła się do niego szelmowsko.

– Pamiętasz te zioła, które Hank Cade wysłał

nam z Południowej Dakoty? – Uniosła brwi. – Zgad-

nij, co się stało.

Entuzjastyczne szczekanie Łosia zagłuszyły ra-

dosne krzyki Toma. Uniósł Elysię w powietrze

i zakręcił nią kilka razy, aż się zmęczył.

Crissy poklepała psa po łbie i z westchnieniem popatrzyła na dorosłych.

– Cały czas to robią – mruknęła do Łosia. – To chyba głupie, co?

– Hau! – odparł Łoś.

– Chodź, piesku, dam ci ciasteczek dla psów.

Dorośli są tacy niemądrzy.

Żadne z niemądrych dorosłych nie zauważyło ich

wyjścia. Tom i Elysia przebywali we własnym

świecie, i w tej chwili byli zbyt szczęśliwi, żeby cokolwiek dostrzec.



# DREW MORRIS

## Rozdział pierwszy

– Jak się pan dzisiaj miewa? – spytał Drew Morris

pierwszego pacjenta tego dnia, uśmiechając się

uprzejmie, choć z dystansem. – Panie... – Zerknął na kartę, potem na pacjenta, zmełł w ustach przekleń-

stwo i uśmiechnął się ponownie, tym razem zupełnie inaczej. – Proszę mi wybaczyć, zaraz wrócę.

Zanim pacjent zdołał cokolwiek powiedzieć,

Drew był już za drzwiami, maszerował korytarzem

do biurka swojej recepcjonistki. Z irytacją rzucił jej kartę pacjenta na blat.

– Przecież mówiłem: Bill Haynes, nie William

Haynie – powiedział.

Kitty Carson wykrzywiła usta, a jej rzęsy, ukryte

za okularami w cienkich drucianych oprawkach,

zatrzepotały.

– Przepraszam, doktorze – szepnęła i rzuciła się

na poszukiwanie właściwej karty. – Gdyby była tu

siostra Turner, nie miałabym takiego urwania gło-

wy. – Chodziło jej o pielęgniarkę, współpracownicę doktora, która zachorowała i nie przyszła do pracy.

114

*Diana Palmer*

– Kiepsko pani rozpoczęła dzień. Nic nowego

– wymamrotał doktor Morris i wrócił do pacjenta.

Kitty usiadła, głęboko westchnęła, po czym wy-

puściła powietrze z płuc. Poprzednia recepcjonistka, pani Alice Martin, dwa tygodnie wcześniej przeszła na emeryturę, a miejscowa agencja pośrednictwa

pracy w Jacobsville wybrała Kitty na jej następ-

czynię. Ubiegając się o tę pracę, Kitty nie знаła

doktora Morrisa. I dobrze. Gdyby poznali się wcześ-

niej, z pewnością nie pracowałyby tu dzisiaj.

Z drugiej strony cieszyło ją, że jest traktowana

jak normalna pracownica. Kitty chorowała na astmę

i w poprzedniej pracy jej pełen dobrych intencji szef tak bardzo bał się sprowokować u niej atak, że

dodatkowo zatrudnił drugą dziewczynę do wyko-

nywania pilnych prac za Kitty. Był kochany, ale

ataków astmy Kitty nie powodował stres. Wywoły-

wały je pyłki, kurz i dym z papierosów. Doktor

Morris leczył również dzieci, dzięki czemu mnóst-

wo wiedział o astmie. W ostatnich latach coraz

więcej małych pacjentów cierpiało na tę chroniczną dolegliwość.

Odsunęła z czoła opadający kosmyk ciemnych

włosów i popatrzyła tępo na kartę, którą jej podał.

Po chwili wstała, żeby odłożyć ją na miejsce, lecz w tym samym momencie zadzwonił telefon – obie linie naraz.

Właściwie radziła sobie bez trudu w klinice

doktora Morrisa, choć wołałaby, żeby przyjął dru-

giego lekarza i podzielił się z nim obowiązkami.

Doktor Morris nie miał żadnego życia prywatnego.

Pracował od świtu do nocy, nawet w soboty,  
a i w niedzielne popołudnia przyjmował dzieci.

Wciągu tygodnia przeprowadzał drobne zabiegi  
operacyjne – głównie usuwał migdałki – i zawsze  
chętnie zastępował innych lekarzy na oddziale nag-  
łych wypadków w miejscowym szpitalu. Nic dziw-  
nego, że pani Turner zachorowała na grypę. Pewnie

była osłabiona z wyczerpania. Kitty nie dziwiło, że doktor Morris nie ma żony. Niby kiedy by się z  
nią widywał?

Kiedyś jednak miał żonę. Wszyscy w mieście  
mówili o jego niezwykłym oddaniu Eve, z którą był  
żonaty przez dwanaście lat, zanim zmarła na raka.

Po jej śmierci żadna kobieta w Jacobsville nie  
odważyła się robić słodkich oczu do doktora w oba-  
wie przed porównaniami z Eve. Ich małżeństwo

było niezwykle udane, jak rzadko które. Na mieście chodziły słuchy, że Drew woli rozpamiętywać  
przeszłość, niż związać się z inną kobietą.

Co nie znaczy, że Kitty była nim zainteresowana.

Ostrzyła sobie zęby na miejscowego kowboja, Guya

Fentona, który co prawda był flirciarzem, ale przy tym całkiem miłym facetem. Kiedy nie pił, rzecz  
jasna. Dzień po tym, jak Kitty rozpoczęła pracę

u doktora Morrisa, Guy złamał rękę. Znał małą

Kitty od wielu lat, ale dopiero niedawno zauważył, że wydorosłała. Chyba przypadła mu do gustu,

bo opowiadał jej dowcipy, wręcz z nią flirtował.

Od tamtego czasu codziennie podczas lunchu wpa-

dał do recepcji na pogawędkę, a teraz zaprosił

Kitty na sobotę do kina. Była tak podenerwowana,

**116**

*Diana Palmer*

że wszystko leciało jej z rąk. Doszła do wniosku, że doktor Morris zwyczajnie nie ma cierpliwości do

zakochanych.

Do lunchu poradziła sobie, spokojnie i skutecz-

nie, z dwoma nagłymi przypadkami, które wymaga-

ły obecności doktora Morrisa na oddziale nagłych

wypadków, i poczekalnią pełną złych, zniecierpli-

wionych pacjentów. Jej miękki głos i krzepiący

uśmiech stłumiły nadciągający bunt. Przywykła do

uspokajania ludzi. Jej zmarły ojciec był emerytowanym pułkownikiem, służył w formacji Zielonych

Beretów, był weteranem wojny w Wietnamie, i miał

zwyczaj rozkazywać wszystkim dookoła. Kitty,

jego jedyna córka, szybko się nauczyła, jak z nim

postępować. Był trudny we współżyciu, ale pod

jednym względem przypominał doktora Morrisa:

nie przywiązywał nadmiernej wagi do jej ataków

astmy. Jego spokój nieraz pomagał jej znieść je

cierpliwie i bez wpadania w panikę. Kiedy jednak

Kitty trafiała na oddział nagłych wypadków, zaw-

sze serdecznie jej współczuł.

Jej matka zmarła wiele lat temu, więc długo żyli tylko we dwójkę. Pół roku temu ojciec Kitty zmarł.

Strasznie go jej brakowało. Musiała odejść z po-

przedniej pracy, gdyż zbyt boleśnie kojarzyła się jej z tatą. Pułkownik Carson znał doktora Morrisa, ale tylko na gruncie towarzyskim.

– Proszę nie spać podczas pracy – usłyszała od

progu szorstki głos.

Kitty podskoczyła i zerknęła na Drew. Jego

ciemne oczy pełne były niesmaku.

– To moja przerwa na lunch, doktorze – powiedziała.

– To dlaczego, do diabła, siedzi pani i gapi się w przestrzeń? Proszę coś zjeść.

Wstając, zahaczyła rękawem o gałkę środkowej szuflady i z powrotem opadła na krzesło.

– Na litość boską! – Drew podszedł do niej i szarpnął ją za łokieć, a krzesło upadło na podłogę.

Z gniewnym westchnieniem pomógł jej się wyprostować i w tej samej chwili zauważył, że krzywo pozapinała guziki swojego szarego swetra.

– Ale niezdara z pani – mruknął i ku jej przerażeniu zaczął rozpinać guziki jej swetra, po czym zapiął je z powrotem, tym razem prosto. – Proszę bardzo.

Jestem zdumiony, że agencja poleciła mi recepcjonistkę, która nawet nie umie zapiąć swetra.

– Zazwyczaj umiem – odparła nerwowo. – Chodzi o to, że dziś Guy zaprosił mnie na randkę.

Dlatego jestem trochę rozkojarzona, to wszystko.

Przepraszam.

Popatrzył na nią uważnie. Jego ciemne oczy znajdowały się niepokojąco blisko.

– Guy? – spytał.

– Guy Fenton – wyjaśniła z nieśmiałym uśmiechem.

– Pęknięty śródreczny, lewa ręka. – Zmrużył oczy. – Pracuje dla braci Ballengerów na ich pastwiskach. I zbyt ostro chla w weekendy – dodał znacząco.

– Wiem. Ale przy mnie nie będzie pił, zobaczy pan. Idziemy do kina – powiedziała i nagle odniosła **118**

### *Diana Palmer*

wrażenie, że jej ojciec wrócił z zaświatów. Tłumaczyła się przed lekarzem dokładnie tak, jak kiedyś przed pułkownikiem Carsonem.

Doktor Morris uniósł brwi.

– Nieczęsto chodzi pani na randki, prawda?

Zaczerwieniła się. Nie chciała mu tłumaczyć, że

faktycznie rzadko umawia się z mężczyznami, i jaka jest tego przyczyna. Ojciec Kitty, świętej pamięci pułkownik Carson, przepłoszył większość nieśmia-

łych młodych ludzi, których przyprowadzała do

domu. Wkońcu przestała ich przyprowadzać. Prze-

leciała jej przez głowę zupełnie mimowolna myśl, że ojciec zrobiłby kotlet mielony z Guya Fentona.

Zastanawiała się, jak by zareagował na doktora

Morrisa. Zapewne uznałby go za potomka rodziny

skorpionów, spokrewnionych z rodziną zmij.

Ta myśl bardzo ją rozbawiła. Wostatniej chwili

Kitty przygryzła wargę i zamiast wybuchnąć głoś-

nym śmiechem, udała, że kaszle.

– Niech pani lepiej na siebie uważa – doradził jej Drew. – Fenton lubi sprawiać kłopoty. Poza tym jego była dziewczyna może zechcieć zrobić z panią porządek.

– Była dziewczyna? – wykrztusiła Kitty

Zerknął niecierpliwie na zegarek.

– Muszę już iść. Nie mam czasu... Jego była

dziewczyna rzuciła go, bo za dużo pił, jednak nadal uważa, że Guy Fenton jest jej prywatną własnością

i nie życzy sobie, żeby umawiał się z innymi

kobietami.

– Och. Rozumiem.



– Wracam o drugiej – powiedział i szybko zdjął biały fartuch. – Ilu jeszcze mam dziś pacjentów?

– spytał, nie patrząc na swoją recepcjonistkę.

Wzięła ze sobą notatnik i poszła za lekarzem, a właściwie pobiegła, żeby dotrzymać mu kroku.

Czytając listę pacjentów, jak zwykle wpadła na

doktora Morrisa, kiedy przystanął. Jęknął ze zniecierpliwieniem i przejechał rękami po włosach, lekko je targając.

– Czy musi pani na mnie wpadać za każdym razem, kiedy wyjdzie pani na korytarz? – wymamrotał niezadowolony.

– Przepraszam, ale mam nowe okulary i jeszcze się do nich nie przyzwyczaiałam. – Uśmiechnęła się przepraszająco, poprawiając okulary na nosie.

– Jeśli trochę się spóźnię, niech pani zastosuje zwyczajowe wymówki. – Ujął klamkę i odwrócił się do Kitty. – I proszę nie robić bałaganu w kartach pacjentów, dobrze? Mam bardzo entuzjastyczny stosunek do prawdziwej miłości, ale tu się pracuje.

I wyszedł, podczas gdy ona wciąż szukała właściwych słów.

Wsiadł do nowego czarnego mercedesa i z iryta-

cją trzasnął drzwiami. Postanowił zwolnić swoją nową recepcjonistkę. Nie radziła sobie, nawet gdy nie była zakochana. Poczł strach na myśl, że przy Fentonie Kitty Carson zamieni się w bombę z opóznionym zapłonem.

Uruchomił silnik i wyjechał na ulicę. Właściwie to niedobrze, że Kitty była niezamężna, ktoś

**120**

### *Diana Palmer*

powinien o nią zadbać. Bardzo się denerwowała, kiedy mówił do niej nieco ostrzejszym tonem, i piła o wiele za dużo kawy. Nie umiała prawidłowo pozapinać

bluzek ani sukienek. Raz przyszła do pracy w dwóch różnych skarpetkach, wyglądała jak sierota.

Na jego ustach pojawił się lekki uśmieszek. Mimo

tych wszystkich wad była lubiana przez pacjentów,

zwłaszcza przez dzieci. Dobrze radziła sobie z ast-matykami, pewnie dlatego, że sama cierpiała na tę chorobę.

Raz, kiedy pielęgniarka nie przyszła do pracy

– swoją drogą dziwne, jak często ostatnio zdarzało się jej chorować – doktor Morris wyszedł po małego pacjenta do poczekalni i ujrzał ze zdziwieniem, że chłopiec siedzi na kolanach Kitty. Dziecko zwichnęło sobie nadgarstek i wyło, wspomagane przez

rozhisteryzowaną babcie. Kitty wszystkim się zaję-

ła i uspokoiła oboje.

Rozczuliło go to wspomnienie i wcale nie był

z tego zadowolony. Jego zmarłą żonę, Eve, też

charakteryzowała podobna wrażliwość. Eve uwiel-

biała dzieci. Niestety, kiedy w końcu zaszła w ciążę, poroniła. Mimo braku potomstwa ich małżeństwo

było niemal idealne. Bardzo tęsknił za Eve. Nadal

spędzał święta w towarzystwie swoich teściów.

Czuł wtedy, że jest bliżej ukochanej żony. Nie

umawiał się na randki i nie chciał się z nikim wiązać, mimo nieustających wysiłków sąsiadów, którzy

próbowali znaleźć mu odpowiednią młodą kobietę.

Tych dwanaście lat z Eve było na tyle cenne, że bez trudu mogło mu wystarczyć do końca życia.

Niezdarna Kitty nie zagrażała spokojowi jego umysłu, ale uznał, że jeśli wciąż będzie myliła karty pacjentów, zagrozi jego pracy.

Z drugiej strony, gdyby Fenton faktycznie był nią zainteresowany, mogłaby go zmienić. Zakochany mężczyzna często jest gotów zrezygnować ze złych nawyków. Wszyscy wiedzieli, że Fenton pije na umór, nikt jednak nie wiedział, dlaczego. Drew usiłował to z niego wyciągnąć, kiedy wkładał mu rękę w gips, ale nic z tego nie wyszło. Fenton po prostu go zignorował.

Wysoki, wręcz tyczkowaty kowboj, nie wyglądał na faceta w typie Kitty. Może i ją lubił, ale nie miał zbyt dobrej reputacji i umawiał się z wieloma kobietami. Kitty była naiwna. Mogła się wpakować w poważne kłopoty, jeśli Fenton nie traktował jej poważnie. Poza tym Fenton nie wyglądał na człowieka, którego szczególnie wzruszałaby astma

Kitty. Drew również udawał, że ta choroba nie jest żadnym problemem, ale uważnie obserwował dziewczynę. Rozmawiał z jej lekarzem i odkrył, że w przeszłości często trafiała na oddział nagłych wypad-

ków, zwłaszcza na wiosnę, gdy w powietrzu występowało wysokie stężenie pyłków.

Szare szpitalne mury zamajaczyły na horyzoncie

i lekarz natychmiast zapomniał o Kitty.

Guy Fenton był szczupłym dwudziestodziewięciolatkiem o ciemnych włosach i szarych oczach.

Nikt nie nazwałby go przystojnym, ale Kitty wydawał się bardzo atrakcyjny. A właściwie atrakcyjne

**122**

### *Diana Palmer*

było to, że poświęcał jej uwagę. Właściwie dotąd to się nie zdarzało i dlatego postanowiła nadrobić stracony czas. Kupiła sobie nowe kosmetyki i zaczęła się uczyć trudnej sztuki makijażu. Postanowiła zrezygnować z golfów i wkładać bardziej zmysłowe ubrania. Zamiast ściągać włosy w ciasny koczek, splatała je w warkocz. Rzecz jasna, Guy zauważył te wysiłki i zaprosił ją do kina.

Niestety, kiedy ona oglądała film, Guy nachylał się i rozmawiał z siedzącą w rzędzie przed nimi

Millie Brady, rudowłosą ślicznotką, która pracowała w miejscowym banku, gdzie Guy miał konto.

Kitty czuła się zlekceważona i samotna. Włożyła

ładną spódnicę w szaro-różową kratkę, obcisły różowy sweter, do tego kunsztownie upięła włosy.

Wyglądała naprawdę nieźle, ale najwyraźniej to nie wystarczyło. Być może Millie nie wychowała się

w środowisku wojskowych, a jej życie nie było

pełne rozkazów, tylko czułości, i dlatego potrafiła bez trudu zainteresować sobą płeć przeciwną.

Nawet teraz Kitty miała trudności w kontaktach

z ludźmi. Nie była szczególnie towarzyska. Wcol-

lege'u chodziła na zajęcia z psychologii i z socjologii, ale nie na wiele jej się zdały. Choć pułkownik Carson był szanowanym bohaterem wojennym, kompletnie się nie sprawdził jako rodzic. Na swój sposób kochał córkę, ale żył pełną chwałą przeszłością, zwłaszcza po śmierci żony, i nie radził sobie z wychowaniem Kitty. Westchnęła bezwiednie. Gdyby została w domu, mogłaby obejrzeć jeden z ulubionych seriali telewizyj-

zyjnych o dwójce detektywów badających zjawiska paranormalne. Zamiast siedzieć przed telewizorem, znalazła się w kinie na nieudanej podwójnej randce.

Trąciła Guya w ramię.

– Pójdę po prażoną kukurydzę – szepnęła.

Nawet na nią nie spojrzał.

– Jasne, idź – mruknął. – Czekaj, Millie, zaraz ci wyjaśnię, jak trzeba wiązać sznur. To trochę skomplikowane...

Cały czas gadał jak najęty o tym, jak łapać byka na rodeo. Choć Kitty lubiła Guya, zupełnie nie obchodziły jej byki i rodeo.

Poszła do barku, stanęła przy ladzie, a potem

zniecka odwróciła się i wypadła z kina. Mieszkała zaledwie dwie ulice dalej, mogła pokonać tę odleg-

łość na piechotę. Była bezchmurna noc, powietrze pachniało świeżością.

Kiedy dotarła do rogu ulicy, samochód pełen

znudzonych nastolatków podjechał do krawężnika,

a chłopcy zaczęli przeraźliwie gwizdać. Kitty usiłowała ignorować wyrostków, ale to ich jeszcze bardziej zachęcało do wygłupów i jechali tuż za nią.

Nie czuła strachu, pomyślała jednak ze złością, że pewnie będzie musiała wrócić do kina. Idealne zakończenie koszmarnej nieudanej randki.

Wściekła na siebie i na nastolatków, odwróciła się i spojrzała prosto w oczy chłopaka, który siedział obok kierowcy.

– Jeśli chcecie kłopotów, doskonale trafiliście

– warknęła. Poszperała w torebce, wyjęła ołówek

**124**

*Diana Palmer*

i notes, po czym podeszła do samochodu, żeby spisać numer z tablicy rejestracyjnej.

Kiedy chłopcy uświadomili sobie, co zamierza

zrobić, odjechali z piskiem opon. Jedną z zalet

mieszkania w małym miasteczku jest fakt, że miej-

scowa policja zna numery większości aut i wie,

gdzie znaleźć ich właścicieli. Ci młodzi ludzie chyba nie mieli na to specjalnej ochoty.

Kitty stała w miejscu, z uniesionymi brwiami

i ołówkiem zawieszonym nad kartką papieru.

– No cóż – mruknęła do siebie. – Jeden zero dla

mnie.

Skręciła za róg i szybkim krokiem powędrowała

prosto do domu. Weszła na korytarz i ruszyła do

swojego mieszkania, cały czas mamrocząc coś pod

nosem. Wspaniała randka, pomyślała. Nie dość, że

Guy ją zignorował, to na dodatek została wygwiz-

dana na ulicy.

– Nic dziwnego, że Amazonki karmiły mężczyz-



nami było – prychnęła, wkładając klucz do zamka.

Zamknęła za sobą drzwi i wyłączyła telefon.

Nalała sobie szklankę mleka, wypila ją i poszła

prosto do łóżka. Co prawda była dopiero dziewiąta

trzydzieści, ale Kitty czuła się tak, jakby ciężko pracowała przez cały dzień i całą noc.

Mniej więcej o jedenastej usłyszała pukanie do

drzwi, ale tylko przekręciła się na drugi bok i przykryła głowę poduszką. Pomyślała, że Guy Fenton

może sobie stać na korytarzu do końca świata, nic ją to nie obchodzi.

Następnego ranka poszła do kościoła i ze zdumie-

niem ujrzała tam Drew Morrisa. Należał do tego

samego kościoła co ona, ale ze względu na nielimitowany czas pracy rzadko pojawiał się na mszach.

Kilka razy była świadkiem, jak doktor Morris zerka na pager i wychodzi w trakcie kazania. Uznała, że

widocznie lekarz nie może wieść normalnego życia

religijnego ani towarzyskiego, zwłaszcza lekarz rodzinny specjalizujący się w pediatrii. Pomyślała, że doktor Morris pewnie wcale nie odpoczywa, ani

w nocy, ani w weekendy.

Po mszy podszedł do niej z poważną miną.

– Co się wczoraj wydarzyło? – zapytał bez

ogródek.

Kitty uniosła pytająco brwi.

– Nie rozumiem – wykrztusiła.

– Widziałem panią – wyjaśnił zniecierpliwiony.

– Szła pani... nie, raczej biegła... aleją, całkiem sama, mniej więcej o wpół do dziesiątej. Gdzie się podział

Guy Fenton?

– Zabawiał swoją przyjaciółkę. Niestety, to nie

ja nią byłam.

– Co takiego?

– Podoba mu się Millie – wyjaśniła. – Siedziała

przed nami i najwyraźniej jest o wiele ciekawszą

partnerką do rozmowy niż ja. Na dodatek, w przeci-

wieństwie do mnie, lubi rodeo.

Słyszając ton swojej recepcjonistki, doktor Morris

uśmiechnął się półgębkiem.

– Coś podobnego – mruknął.

– Nienawidzę bydła – wyznała.

**126**

*Diana Palmer*

– Nasza miejscowa gospodarka znacznie by

ucierpiała, gdybyśmy nie hodowali bydła – zauwa-

żył poważnie.

– Wiem, ale myślałam, że obejrzę ten film – wes-

tchnęła Kitty. – To był film fantasy – dodała ze

smutkiem. – Z komputerowo wykreowanym smo-

kiem, który wyglądał bardzo realistycznie. – Zaczerwieniła się, widząc rozbawienie w oczach lekarza.

– Lubię smoki – stwierdziła zaczepnym tonem,

jakby zawstydzona.

– Muszę przyznać, że sam mam do nich słabość.

– Obejrzę to innym razem. – Wzruszyła ramio-

nami. – Wkońcu nic się nie stało.

Ledwie ją usłyszał. Ze zdumieniem uświadomił

sobie, że jest wściekły w jej imieniu. Kitty wcale nie była brzydka. Miała ładne nogi i zgrabną figurę. Nie brakowało jej inteligencji i wrażliwości. Millie z kolei była urodzoną flirciarą i miała reputację pozeraczki męskich serc. Podobno lubiła odbijać mężczyzn

dziewczynom z miasteczka. Pomyślał, że Millie

i Guy Fenton będą stanowili idealną parę. Biedna

Kitty.

– Muszę iść – powiedziała z uśmiechem.

Podeszła do małego używanego auta i klepnęła je

z czułością, po czym do niego wsiadła. Pomyślała, że doktor Morris jest bardzo uprzejmy. Był również

przystojny i mimo swojej niecierpliwości oraz nag-

łych, nieoczekiwanych napadów złego humoru bu-

dził jej sympatię. Musiała uważać, żeby przypad-

kiem się w nim nie zadurzyć, bo nic by z tego nie

wyszło. Mieszkał przecież z pięknym duchem. Żad-

na śmiertelniczka nie mogłaby rywalizować z jego zmarłą żoną Eve.

Przez resztę dnia Kitty oglądała stare filmy w telewizji i wczesnie poszła spać. Guy Fenton nie zadzwonił. Tak naprawdę wcale tego nie oczekiwała. Postanowiła zapomnieć o kowboju i żyć dalej.

W pracy szło jej coraz lepiej. Lato miało się ku końcowi, nadeszła jesień. Karty pacjentów prze-

stały być dla niej tajemnicą. Z ludźmi też nie miała problemów. Powoli poznawała stałych pacjentów,

a kiedy nadeszło Święto Dziękczynienia, okazało

się, że wielu ludzi korzystających z usług doktora Morrisa podarowało jej przepisy na indyka, sosy i placki.

Zauważyła, że Guy Fenton nie przyszedł na

zdjęcie gipsu i wspomniała o tym siostrze Turner.

Pielęgniarka poinformowała ją, że Guy udał się na

ten zabieg do szpitala. Kitty doszła do wniosku, że zapewne był zbyt zakłopotany przebiegiem ich nieudanej randki, by przyjść do kliniki doktora

Morrisa. Zresztą teraz nie miało to już najmniejszego znaczenia.

Z entuzjazmem przyjmowała od pacjentów słoiki

pełne przetworów. Były dla niej wybawieniem,

gdyż nie chciało się jej gotować wyłącznie dla siebie.

Święto Dziękczynienia i Gwiazdka minęły, spędziła

je samotnie – wszyscy jej bliscy umarli. Doktor

Morris jak zwykle poszedł na świąteczny posiłek do rodziców swojej zmarłej żony.

Zima minęła, przyszła wiosna i Kitty zaczęła

**128**

*Diana Palmer*

czuć się niemal częścią wyposażenia kliniki, co było jej bardzo na rękę. Doktor Morris mówił jej po imieniu, poza tym traktował ją teraz inaczej niż

kiedyś. Szorstkość zamieniła się w przyjazną uprzejmość. Ciągłe poprawiał jej ubranie, prawidłowo

zapinał guziki, zawiązywał wstążki we włosach,

krzywił się, kiedy wkładała jedną skarpetkę granatową, a drugą zieloną – zupełnie nie potrafiła odróżnić ciemnych barw.

– Nie potrafię wstać o odpowiedniej porze

– mruknęła pewnego dnia, kiedy zapinał guziki jej

swetra. – Zawsze w pośpiechu wybiegam z domu.

– Może kładź się wcześniej – poradził.

– Niby jak? Sąsiedzi pode mną mają potwornie

mocny sprzęt grający – mruknęła. – Słuchają muzy-

ki niemal do rana. Cała podłoga wibruje.

– Poskarż się na nich gospodarzowi budynku

– poradził jej.

– Gospodarz mieszka w Kansas City – odparła,

zirytowana. – Ma gdzieś, co robią, byle tylko na czas płacili czynsz.

Uśmiechnął się szelmowsko, kiedy dokończył

zapinanie guzików.

– Kup sobie perkusję i bez ustanku ćwicz. Albo  
nie, kup dudy.

Jej oczy pojaśniały.

– Przecież mam dudy. – Roześmiała się ze zdumieniem. – Należały do brata ciotecznego ojca, odziedziczyliśmy je po jego śmierci. Jednak nigdy nie nauczyłam się na nich grać.

– Najwyższy czas.

Zachichotała. Nigdy nie sądziła, że jej szef może się okazać bratnią duszą.

– Wyciągnę je dziś wieczorem i sprawdzę, czy potrafię zrobić z nich użytek.

– Masz szkockich przodków? – spytał zniecka Drew.

– Tak. Klan Stuartów.

– Moja matka pochodziła z Maxwellów. – Pokiwał głową. – Przybyli do Ameryki tuż po rewolucji amerykańskiej.

– Ja nic nie wiem o swoich przodkach – westchnęła. – Tata ciągle opowiadał o wojnach, a o historii naszej rodziny nawet nie wspomniał. Był emerytowanym pułkownikiem, żołnierzem oddziału Zielonych Beretów. Walczył w Wietnamie.

Doktor Morris ze współczuciem popatrzył jej w oczy.

– Biedne dziecko – powiedział.

Kitty oblała się rumieńcem.

– Dlaczego pan tak mówi?

– Twoja matka zmarła, kiedy byłaś w podstawówce, prawda?

Przytaknęła.



– Tylko ty, pułkownik i wojna. – Zmrużył oczy.  
– Zakład, że odstraszał wszystkich twoich wiel-  
bicieli.  
– Gorzej – mruknęła, przypominając sobie wy-  
darzenia z przeszłości. – Jednego z nich usiłował  
nauczyć walki wręcz. – Wykrzywiła usta. – Nie-  
chcący wypchnął go przez okno. Na szczęście mie-  
szkanie było na parterze i okno było otwarte.

**130**

### *Diana Palmer*

Chłopak zostawił samochód na podjeździe i uciekł  
piechotą, tak się wystraszył.

– Rozumiem. – Doktor Morris z trudem po-  
wstrzymał się od śmiechu.

– Tata mnie kochał na swój dziwaczny sposób

– powiedziała ze smutkiem. – A ja jego. Tylko  
niezbyt mi się podobało, że wychowuje mnie jak  
żołnierza, a nie jak dziewczynę.

– Na pewno nauczył cię wszystkiego, co umiał.

– O, mogłabym startować w mistrzostwach

w strzelaniu do tarczy i karate. Wolałabym jednak, żeby nauczył mnie gotować i szyć. Lubiłam te

„głupstwa dla mięczaków”, jak je nazywał. Na

litość boską, żeby porobić na drutach, musiałam

wymykać się do przyjaciółki.

– Ale tęsknisz za nim, prawda?

– O tak – westchnęła. – Nie ma dnia, żebym nie tęskniła. Chociaż okropny był z niego ojciec.

– Nie dziwi mnie to. – Spojrzał na zegarek

i wykrzywił usta. – Muszę iść. Spóźnię się, dziś jest zebranie rady szpitala.

– Pewnego dnia zostanie pan ordynatorem

– oznajmiła z dumą.

– Raczej nie, jeśli wciąż będę się tak spóźniał.

Westchnęła, i zaniepokoiło go jej rżenie. Zmrużył oczy i popatrzył na nią z zadumą.

– Wzięłaś swoje lekarstwo?

– Co? – Popatrzyła na niego nieprzytomnie.

– A tak. Nigdy nie zapominam, nie mam zamiaru wylądować w szpitalu.

– I bardzo dobrze. Mimo to dziwnie rżesz.

– Od tygodnia mamy ciepłe dni i zimne noce

– zauważyła.

– Tak. – Wzruszył ramionami. – Moi mali ast-

matycy coraz częściej do mnie przychodzą. – Zdjął

marynarkę z wieszaka. – Czy to lekarstwo ci wy-

starcza?

Jego troska ją wzruszyła, chociaż Kitty nie zamie-

rzała się z tym zdradzać.

– Owszem.

– To dobrze. – Znowu spojrzał na zegarek, skinął

głową i zostawił dziewczynę w poczekalni.

Kitty była dziwnie pokrzepiona. Ucieszyła ją ta

pogawędka. Dotychczas nigdy jeszcze nie rozma-

wiali ze sobą tak przyjacielsko.

Kiedy jednak uświadomiła sobie, o czym myśli,

szybko przywołała się do porządku. Musiałyby mieć

źle w głowie, żeby zainteresować się doktorem

Morrisem. To był jeszcze gorszy pomysł niż randka

z Guyem Fentonem.

Doktor Morris po prostu był dobrym szefem,

troszczył się o swoich pracowników. Powinna ra-

czej skupić uwagę na pracy, a nie doszukiwać się

zainteresowania tam, gdzie go nie ma. Doktor

Morris po prostu skomentował stan jej zdrowia.

Wkońcu był lekarzem. To zupełnie naturalne, że udzielał takich porad.

## **Rozdział drugi**

Po nieudanej randce z Guyem Fentonem Kitty próbowała zapomnieć o kowboju. Guy i Millie mieli romans, ale nie potrwał on długo. Była dziewczyna Guya wcale nie interweniowała. Chodziły słuchy, że spotyka się z kimś innym.

Kitty nie oczekiwała, że Guy kiedykolwiek przeprosi za swoje zachowanie na tej pierwszej i ostatniej randce. Doszło jednak do tego, kiedy przyszedł na wizytę kontrolną, potrzebną mu do wyrobienia polisy ubezpieczeniowej. Było to wiele miesięcy po zdjęciu gipsu.

– Zachowałem się okropnie, pozwalając ci wtedy wyjść z kina. Nawet tego nie zauważyłem.

Przepraszam – powiedział. – Uwielbiam rodeo.

Millie była świetną słuchaczką, zresztą już od dawna mi się podobała. To oczywiście w żaden

sposób nie usprawiedliwia tego, że cię ignorowałem, aż w końcu straciłaś cierpliwość i sama poszłaś do

domu. Naprawdę przepraszam, wiem, że o kilka miesięcy za późno – dodał z zakłopotanym uśmiechem. – Prawdę mówiąc, wstydziłem się potem do ciebie zadzwonić.

– Nic się nie stało – odparła.

– Na szczęście – dodał niewyraźnie. – Twój szef nieźle natarł mi uszu.

– Doktor Morris? – Była zaszokowana.

– We własnej osobie. Kiedy mu powiedziałaś, co

zaszło, wywlókł mnie z łóżka i przez dziesięć minut wrzeszczał na mnie przed całą załogą. – Guy uniósł

brew. – Komuś innemu nie pozwoliłbym na takie

zachowanie, ale on... Niestety, miał rację. Powinienem był sprawdzić, co się z tobą dzieje, kiedy nie wróciłaś z prażoną kukurydzą. Mogło ci się przytrafić coś złego. – Wsunął ręce do kieszeni i wzruszył

ramionami. – Poza tym jest jeszcze jeden powód, dla którego trzymałem się z dala od ciebie. Sądziłem, że doktor Morris ma wobec ciebie jakieś poważne

zamiary. – Zauważył, jak nagle poczerwieniała.

– Mój błąd. Chyba po prostu czuł się za ciebie

odpowiedzialny, bo dla niego pracujesz.

– Tak – odparła niepewnym głosem. – To chyba

z tego powodu.

Popatrzył na nią z rozbawieniem.

– Pewnie nie chciałabyś już się ze mną umówić?

Nawet gdybym przysiągł, że z nikim innym nie będę rozmawiał?

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie, dziękuję. – Zerknęła na interkom i ujrzała pulsujące światelko. – Możesz już wejść.

134

*Diana Palmer*

Zawahał się, ale po chwili popatrzył na nią ze smutnym uśmiechem i ruszył korytarzem. Mieli ze sobą zbyt mało wspólnego, by mogli stworzyć udany związek.

Później, z ciekawości, spytała doktora Morrisa, co takiego powiedział Guyowi. Lekarz popatrzył na nią beznamiętnie.

– Mogłaś zostać zaatakowana, wędrując samotnie po nocy, nawet w Jacobsville. Ktoś musiał mu to uświadomić.

– Jakbym słyszała mojego tatę – mruknęła.

Wyraz jego twarzy nieznacznie się zmienił. Drew

patrzył na Kitty dłużej, niż początkowo zamierzał, aż w końcu oderwał od niej wzrok i wzruszył ramionami.

– A tak przy okazji, w przyszłości staranniej wybieraj sobie wielbicieli, dobrze? Mam ciekawsze rozrywki, niż bawienie się w twoją opiekunkę.

– Na przykład? – burknęła.

Popatrzył na nią, nie rozumiejąc.

– Jakie ciekawsze rozrywki? – nalegała. – Pracuje

pan przez cały dzień w klinice, potem na oddziale

nagłych wypadków albo siedzi tu do późnej nocy.

Wweekendy zastępuje pan lekarzy, którzy wybiera-

ją się na urlop albo chcą spędzić trochę czasu

z rodziną. Wątpię, czy w ciągu ostatnich pięciu lat był pan w restauracji, kinie lub choćby na kręglach.

Wyglądał teraz jak chmura burzowa, z której lada

moment chluśnie olbrzymi deszcz.

– Moje prywatne życie to nie twoja sprawa

– zauważył, słusznie zresztą. – Lepiej zajmij się

swoją pracą.

Wmilczeniu patrzyła na jego twarz, na głębokie zmarszczki i siwiznę na skroniach. Gdy zaczęła dla niego pracować, miał lekką nadwagę, ale teraz ją stracił, zapewne przez nadmiar zajęć.

– Świat jest piękny, a pan go wcale nie dostrzega

– myślała na głos. – Dzieciaki grają w baseball, staruszkowie na ławeczce przed sklepem spożywczym opowiadają o swoich dawnych chwalebnych uczynkach, ogrodnicy bujają, ile wlezie, o wspaniałych różach, które wyhodowali. A pan mija ich tylko, nie zwracając na to wszystko najmniejszej

uwagi. – Widziała, jak stężał, ale nie mogła jeszcze zamilknąć. – Nawet nie zauważy pan, jak wkrótce

trafi do grobu, i położy się obok żony.

– Przestań! – Jego głos był ostry jak nóż.

– Przepraszam – westchnęła. – Nikogo nie ob-

chodzi, czy się pan wykończy, czy nie. Bycie praco-holikiem to nawet fajna rzecz, ale na krótką metę, na dłuższą potrafi zabić człowieka. Sam powinien

pan wiedzieć, że jest murowanym kandydatem do

ataku serca. Czy po to się pan tak męczy? – zapytała cicho. – Czy życie bez niej jest tak nieznośne, że próbuje pan...

– Powiedziałem ci, żebyś przestała.

Tym razem wyraźnie dostrzegła w jego głosie

groźbę. Teraz w każdej chwili mogła stracić pracę.



Uniosła ręce w żartobliwym, poddańczym geście.

– Dobra, rezygnuję – westchnęła. – Od teraz

będę modelową recepcjonistką, widoczną, lecz niesłyszalną.

– Świetny pomysł, jeśli nadal chcesz tu pracować

**136**

*Diana Palmer*

– powiedział po chwili. Nie musiał niczego dodawać. Wściekłość w jego ciemnych oczach mówiła sama za siebie. – Jeśli chcesz się nad czymś zastanawiać, to spróbuj zacząć od skarpetek, które znowu włożyłaś nie do pary!

Wskazał na jej stopy. Ona też na nie zerknęła

i natychmiast wykrzywiła usta. Spod szarych spod-

ni wystawały skarpety tak różne, że Kitty oblała się rumieńcem. Uniosła głowę i odrzuciła włosy.

– Specjalnie to zrobiłam – oznajmiła triumfalnie.

– Wprowadzam nową modę.

Doktor Morris wydał z siebie dziwny dźwięk.

Jego oczy błysnęły, ale odwrócił głowę, zanim Kitty zdołała zauważyć jego uśmiech.

– Wracaj do pracy – mruknął.

– Tak jest!

Obróciła się na pięcie i poszła do recepcji, tak

zaczerwieniona, że pani Turner zatrzymała ją i po-

łożyła jej rękę na czole.

– Nic mi nie jest – oświadczyła dziewczyna.

– Znowu biegłam.

Popatrzyła na drzwi gabinetu lekarza i powiedziała głośno:

– Ma pan pracoholitis! To zaraźliwe!

– A ty masz z głowy premię z okazji Dnia

Niepodległości! – wrzasnął przez ramię.

Siostra Turner wykrzywiła się do niego.

– Widziałem! – zawołał, nie odwracając głowy.

– Widzisz? – mruknęła pielęgniarka. – Z nim nie wygrasz.

– Wiem to nie od dziś.

Siostra Turner wzięła ją za ramię i zaprowadziła do recepcji, starannie zamykając za sobą drzwi.

– Nigdy nie wspominaj jego żony – ostrzegła ją

łagodnie. – Wciąż rozpamiętuje jej śmierć. Kiedy się o tym mówi, on czuje się jeszcze gorzej.

– Kiedy umarła?

– Jutro minie sześć lat – powiedziała cicho

pielęgniarka. – Mniej więcej rok po jej śmierci

wjechał w drzewo. Na szczęście skończyło się na

wstrząsie mózgu. Potem doktor Coltrain zaczął go

pilnować. Są przyjaciółmi. Doktor Louise Blakely

umówiła się z nim raz czy dwa, i ludzie zaczęli

myśleć, że może przestał opłakiwać żonę, ale potem wyszła za doktora Coltraina. Od tamtego czasu

doktor Morris jest prawdziwym pustelnikiem.

– Wkońcu to jego życie – stwierdziła Kitty. – Ale

nie powinno tak być. To dobry człowiek. Chyba

jego żona nie chciałaby, żeby do końca życia był

samotny?

Siostra Turner zdecydowanie pokręciła głową.

– To była taka cudowna istota. Z pewnością by

tego nie chciała. Ale on potwornie za nią tęskni. Tak bardzo ją kochał. Szkoda, że nie mieli dziecka.

– Szkoda, prawda? – odparła Kitty.

Nie rozmawiała już z Drew na ten temat, ale

następnego dnia stało się jasne, że i tak powiedziała za dużo. Natychmiast po przyjściu do pracy rzucił

Kitty ponure spojrzenie i zmył jej głowę za stan poczekalni.

– Te czasopisma mają ze dwa lata – stwierdził.

**138**

*Diana Palmer*

– Wywal je i zaprenumeruj nowe. A tymczasem kup kilka aktualnych.

– Tak jest. – Z trudem powstrzymała się od salutu.

Sapnął ze złością.

– I zrób coś z tą głupią rośliną w kącie. Przecież ona umiera!

– Pan też by umarł, gdyby mali chłopcy wlewali w pana napoje gazowane i przyklejali panu gumę – mruknęła.

– Daj jej jakiś dobry nawóz i podlewaj albo się jej pozbądź – rzucił. – A twoje biurko...

– Wygląda lepiej niż pańskie – warknęła, tracąc w końcu cierpliwość. – Ja przynajmniej nie trzymam na nim gazetek promocyjnych sprzed roku ani niezapłaconych mandatów!

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko je zamknął i odmaszerował z takim impetem, że zaniepokojona siostra Turner wyjrzała ze swojego pomieszczenia.

Od tej chwili było coraz gorzej. Dorośli pacjenci, którzy przyszli do doktora z drobnymi dolegliwościami, musieli wysłuchać wykładu o hipochondrii typowej dla egoistów. Dzieci wychodziły z nosami zwieszonymi na kwintę, bo pan doktor ani razu nie uśmiechnął się do nich, tylko mruczał coś pod nosem i wcale nie ukrywał swojego złego humoru.

Wtej sytuacji siostra Turner ukryła się w łazience, a Kitty poważnie zapragnęła wpełznąć pod biurko i tam przeczekać.

Telefon zadzwonił donośnie. Odebrała, boleśnie

świadoma, że tuż za nią stoi doktor Morris z wypisaną na twarzy chęcią dołożenia osobie po drugiej stronie słuchawki.

– Tu Coltrain – usłyszała głęboki głos. – Czy wszyscy już się pochowali? – dodał z rozbawieniem.

– Jasne – odparła Kitty.

– Daj mi go, muszę z nim porozmawiać.

Wyciągnęła słuchawkę w stronę doktora Mor-

risa. Podszedł i stanął obok niej, o wiele za blisko, burcząc coś do doktora Coltraina. Jedną rękę trzymał w kieszeni, bawił się kluczykami od auta

i drobnymi. W pewnej chwili jego ręka musnęła

Kitty. Dziewczynę przeszył dziwny dreszcz. To ją

zaniepokoiło. Usiłowała się odsunąć, ale nie miała dokąd. Była zaklinowana między ścianą a biurkiem.

Drew spytał o coś doktora Coltraina. Kiedy

słuchał odpowiedzi, jego spojrzenie wędrowało po

Kitty. W pewnym momencie popatrzył w oczy

dziewczyny, a ona poczuła, że brak jej tchu. Przypominało to trochę atak astmy, podczas którego powietrze więzło jej w płucach i nie mogła oddychać.

Nie odwrócił wzroku, ona też nie. Napięcie było

niemal namacalne. Widziała, jak doktor Morris

zaciska szczękę. Jego oczy lekko załśniły.

– Co? – mruknął do telefonu, bo nie usłyszał ani

słowa z tego, co mówił do niego Coltrain. Zamrugał

i oderwał spojrzenie od Kitty. Dziwnie się czuł, zupełnie jakby włożył palce do gniazdka elektrycznego. Zezłościło go, że coś takiego dopadło go właśnie dzisiaj.

– Tak, do zobaczenia w restauracji – powiedział

**140**

*Diana Palmer*

w końcu. Zamilkł na chwilę i złowrogo popatrzył na Kitty, jakby nagle zaczął jej nienawidzić. – Nie, nie chcę nikogo przyprowadzać – oświadczył dobitnie.

Kitty opuściła wzrok i stała nieruchomo. Drew wciąż stał za blisko, a ona nie ufała swojemu głosowi. Chciała uciec stąd jak najszybciej.

– Dobrze, zrobię to – skończył rozmowę doktor Morris. Odłożył słuchawkę i nagle przykucnął, po czym uniósł brodę Kitty i spojrzał jej w oczy.

– Rozmawiałaś z Lou?

– Z doktor Lou? – zająknęła się. – Nie widziałam jej od Gwiazdki.

– Coltrainowie nie muszą bawić się dla mnie w swatkę, a ja nie chcę, żebyś szła ze mną do restauracji – powiedział ze złością. Zauważył, że

Kitty oddycha ciężko. – Nie chcę cię i koniec. Jesteś moją pracownicą, nikim więcej. Może wyjaśnij to

Coltrainom.

– Żeby pan wiedział, że to zrobię. – Wkońcu i jej

zabrakło cierpliwości. – A dla pańskiej informacji, wcale nie jestem panem zainteresowana. Nie uma-wiam się z ludźmi, którzy są żonaci z duchami!

Kiedy usłyszał kroki na korytarzu, uświadomił

sobie, że trzyma brodę Kitty w palcach, i szybko

cofnął rękę.

Do recepcji wpadła siostra Turner.

– Czy tutaj nikt nie pracuje? – zapytał z gnie-

wem, kiedy ujrzał za sobą pielęgniarkę.

– Czas na lunch, doktorze – wyjąkała siostra

Turner.



– Czyżby? A więc pewnie pójdziecie coś zjeść?

– zapytał.

Wpadł do swojego gabinetu, zostawiając Kitty,

siostrę Turner i ostatniego porannego pacjenta z szeroko otwartymi ustami.

Po lunchu sytuacja nie poprawiła się ani trochę.

Z powodu trzech nagłych wypadków praca po-

trwała nieco dłużej i ostatni pacjent wszedł do

doktora Morrisa już po siódmej.

– Uciekaj – poradziła siostra Turner. – Kiedy

wyjdzie i zobaczy, że nie ma więcej pacjentów,

będzie ci potrzebna tarcza z azbestu.

– Nie mogę – jęknęła Kitty. – Muszę wszystko

uporządkować.

– Pomodłę się za ciebie – powiedziała całkiem

szczerze pielęgniarka, zerknęła na korytarz, z którego w tej samej chwili dobiegł ryk i trzaśnięcie drzwi.

Pacjent, wiekowy pan James, mimo zapalenia

stawów biegł korytarzem, ściskając w dłoni zabaz-

graną kartkę papieru.

– Proszę – rzucił ją na blat biurka Kitty i obejrzał

się za siebie, jak tonący, który oczekuje przybycia rekina. – Mam rzucić palenie, schudnąć piętnaście

kilo i przesunąć ten budynek o trzy metry – dodał

w nieoczekiwanym przebłytku czarnego humoru.

– Wyślę pieniądze, a pani może mnie umówić na

wizytę za trzy miesiące, tylko proszę wybrać dzień, w którym on będzie miał dobry humor! –  
Odwrócił

się i znowu zaczął uciekać. – Ale z drugiej strony, jeszcze się zastanowię! – zawołał.

**142**

*Diana Palmer*

Wypadł z kliniki w chwili, w której Drew wy-

szedł na korytarz. Kitty odniosła wrażenie, że

z głowy lekarza buchają płomienie. Przystanął przy jej biurku, a jego czarne oczy lśniły gniewnie,  
jakby to recepcjonistka była winna wszystkim jego pro-blemom.

Mogła zrobić tylko jedno. Wstała więc, wes-

chnęła i uniosła ręce do góry, jak zbieg z więzienia, który pragnie się poddać.

Doktor Morris zaczął coś mówić i nagle wybuch-

nął śmiechem.

– Mój Boże, jest aż tak źle? – zapytał.

– Pani Turner bardzo szybko uciekła, ale obiecała

się za mnie pomodlić – oświadczyła Kitty. – A pan

James raczej się tu więcej nie pokaże.

Westchnął ciężko i oparł się o drzwi, po czym

spojrzał na zegarek.

– Już jestem spóźniony na kolację. – Spojrzał na

nią uważnie i rzekł niemal wstydliwie: – No... to już idź do domu.

Nie trzeba jej było tego powtarzać. Złapała

torebkę i niezdarnie usiłowała pozapinać marynar-

kę. Brakowało jej tchu, nie tylko z powodu złego humoru doktora Morrisa. Oddech przychodził jej dziś od rana z wyjątkowym trudem. Stężenie pyłku w tych dniach było niezwykle wysokie.

– Mój Boże, Kitty, jesteś beznadziejna – powie-

dział niecierpliwie Drew. Wyjął torebkę z jej drżą-

cych palców, położył ją na krześle i przyciągnął do siebie dziewczynę. Powoli zapinał jej guziki. Jego usta znajdowały się zaledwie o kilka centymetrów

od jej czoła. Czowała ciepły oddech mężczyzny i nogi pod nią zadrżały.

Drew także ogarnęły dziwne emocje. Za wszelką

cenę usiłował odzyskać równowagę. Dziś była rocz-

nica śmierci jego ukochanej Eve. Miał wyrzuty

sumienia, że podoba mu się Kitty, dlatego przez cały dzień był taki poirytowany i niecierpliwy. Popatrzył

na jej miękkie usta i jego ręce znieruchomiały, gdy zaczął się zastanawiać, co by poczuł, całując dziewczynę. Od śmierci żony nie całował ani nawet nie

dotknął żadnej kobiety. Był wygłodniały, samotny

i nieszczęśliwy.

Nachylił się jeszcze niżej, a jego usta dotknęły jej warg. Palce Drew zacisnęły się na ramionach Kitty.

Jęknął cicho i przywarł do dziewczyny, niemal

miażdżąc jej usta.

Kitty uświadamiała sobie, że doktor Morris ją

wykorzystuje, że jest dla niego tylko substytutem

jego zmarłej żony. Nie miało to jednak żadnego

znaczenia. Nikt nigdy nie całował jej z taką udręką, z taką pasją. Od razu poddała się temu pocałunkowi.

Wiedziała, co to samotność. Rozumiała ból Drew.

Pragnął pociechy, a to mogła mu ofiarować. Wes-

tchnęła i przywarła do niego, ani przez moment nie zastanawiając się nad przyszłością. Położyła ręce na plecach lekarza i dała mu to, czego pragnął. Czas

stał w miejscu, podczas gdy oni całowali się jak dwoje nienasyconych ludzi, w ciszy recepcji, gdzie słychać było tylko tykanie ogromnego zegara. Drew

czuł, jak Kitty drży z rozkoszy i musiał się od niej oderwać. Popatrzył jej w oczy, podniecony po raz

144

*Diana Palmer*

pierwszy od wielu lat. Zawahał się, usiłując myśleć racjonalnie. Nie mógł jednak w żaden sposób się skupić. Kitty smakowała jak najśłodszy miód, od-

wzajemniała jego pocałunki, jego uściski. Była hojna jak Eve...

Eve!

Pełen winy i wstydu oderwał się od dziewczyny

i cofnął kilka kroków. Nie miał nic na swoją obronę.

Do tego stopnia stracił głowę, że ledwie mógł znaleźć jakieś słowa, a co dopiero je wypowiedzieć.

Ku jego zdumieniu, Kitty wyciągnęła rękę i po-

głaskała go po policzku. W jej oczach nie było

zdumienia ani gniewu, tylko zrozumienie.

– Wszystko w porządku – powiedziała cicho,

niewielkim po pocałunku głosem. – Rozu-

miem. Musi pan bardzo za nią tęsknić. Szczególnie

dzisiaj.

Głos uwiązł mu w gardle, Drew nie mógł nic

powiedzieć.

Kitty zrobiła krok w jego kierunku, bardzo spokoj-

nie, żeby jeszcze nie pogorszyć sytuacji, i objęła go mocno. Ten uścisk miał nieść pociechę, nie był wyrazem żądy.

Brakowało mu takiej pociechy. Rodzice Eve rów-

niez bardzo za nią tęsknili, ale nie można ich było nazwać ciepłymi i kochającymi się ludźmi. Witali

Drew jak starego przyjaciela, jednak w ich kontaktach brakowało bliskości.

Kitty potarła policzkiem o ramię lekarza.

– Czy Coltrainowie zabiorą pana do restauracji?

– spytała cicho.

Jego dłoń dotknęła włosów dziewczyny związanych w schludny kok. Przez chwilę Drew zastanawiał się, jak wyglądają rozpuszczone. Było ich tak dużo, że z pewnością sięgały jej do pasa.

– Tak – odparł głębokim głosem. Westchnął

i zamknął oczy. Wcale się nie śpieszył, nie miał ochoty stąd wychodzić. Delikatnie zacieśnił ucisk.

Kitty nawet nie drgnęła. Ze swojego miejsca

widziała wielki zegar z wahadłem. Wkrótce oboje będą musieli stąd wyjść, jednak w tej chwili była

niemal szczęśliwa. Nie miała się do kogo przytulić, kiedy umierał jej tata. Szkoda, że nie знаła wtedy Drew.

– Masz jakąś rodzinę? – szepnął jej do ucha.

Pokręciła przecząco głową.

– Miałam tylko tatę.

Ponownie pogłaskał ją po włosach.

– Po jego śmierci nikt ci nie został?

– Nie. – Dobrze pamiętała tamtą dogłębną samot-

ność. – Pan przynajmniej ma jej rodzinę, prawda?

– Nie... dotykają się – powiedział po chwili. – Są pełni rezerwy, nawet młodszy brat Eve. – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Nie zdawałem sobie sprawy

z tego, ile pociechy przynosi dotyk...

Urwał, jakby zrozumiał, że powiedział coś, czego

nie chciał zdradzać.

– Mnie nikt nie przytulał, nawet kiedy straciłam  
tate – powiedziała pośpiesznie Kitty. Westchnęła,  
przymykając oczy. – Każdy potrzebuje uścisku,  
przynajmniej od czasu do czasu.

Drew mruknął coś. On również zamknął oczy

**146**

*Diana Palmer*

i wdychał subtelny zapach jej ciała, aromat gardenii.

Zawsze ślicznie pachniała, była bardzo schludną

osobą, tyle że nie radziła sobie z zapinaniem guzi-ków. Przez chwilę pożałował, że tak starannie je  
pozapinał, bo gdyby tego nie zrobił, lepiej czułby teraz jej ciało.

Te myśli go zaniepokoiły. Nie wolno mu było

jeszcze pogarszać sytuacji. Nie mógł sobie pozwolić na romans z recepcjonistką.

Wkońcu ją puścił i popatrzył jej w oczy. Od-

wzajemniła jego spojrzenie, spokojnie, choć z ciekawością. Nadal źle oddychała. Pomyślał o jej  
per-

fumach i zmarszczył brwi.

– Czy perfumy ci nie przeszkadzają oddychać?

– spytał nagle.

– Perfumy? Nie, skąd... Właściwie nigdy o tym  
nie pomyślałam. Dlaczego?

– Nadal chrypisz. – Odwrócił się i wszedł do  
gabinetu. Po chwili wyłonił się z niego ze steto-  
skopem.

Posadził ją na brzegu biurka i wsunął dłoń pod jej bluzkę, żeby posłuchać serca. Biło bardzo szybko.



Drew uśmiechnął się, nasłuchując, pochlebiła mu ta reakcja. Nagle zmarszczył brwi. Usłyszał rżenie

w jej piersi i dziwne świsty.

– Weź głęboki oddech. Przytrzymaj. A teraz

wypuść powietrze, aż do końca. Jeszcze raz – mówił.

Wkońcu uniósł głowę i zabrał stetoskop.

– Od jak dawna tak rżesz?

– No... od... Od dzisiaj. – Wciąż usiłowała się

uspokoić.

– Od kiedy używasz tych perfum?

– Są nowe – wykrztusiła. – Kupiłam je wczoraj.

Pierwszy raz... Myśli pan, że to przez perfumy?

– Tak, właśnie tak myślę. Nie używaj ich więcej.

Jeśli do rana ci się nie polepszy, wyślę cię do alergologa. Tymczasem pij więcej kawy. Kofeina ci pomoże.

– Wiem – odparła cicho. Już dawno temu przekonana się, że kawa potrafi zapobiec atakom.

– Masz mój numer na wypadek, gdyby w nocy nastąpiło pogorszenie?

Teraz była naprawdę wzruszona.

– Mam – przytaknęła.

– Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

– Lekko dotknął jej policzka, zupełnie, jakby pod wpływem troski o dziewczynę całkiem zapomniał o swoim złym humorze. – Muszę iść – dodał po chwili.

Uśmiechnęła się z trudem i zrobiła krok do tyłu.

– Ja również.

Podniósł z krzesła jej torebkę i podał ją Kitty, próbując zapomnieć o smaku jej ust. Martwił się

zaistniałą sytuacją i doszedł do wniosku, że drink dobrze mu zrobi.

– Pozamykam – powiedział. – Idź już.

Kitty pokiwała głową.

– Do widzenia, panie doktorze.

Złapał ją za rękaw.

– Mów do mnie Drew – szepnął.

– O nie. – Przygryzła wargę. – Nie mogłabym. To

byłoby niewłaściwe.

**148**

***Diana Palmer***

Zirytowany, zmarszczył brwi.

– A czy całowanie mnie było właściwe? – spytał

z przekąsem.

Popatrzyła mu uważnie w oczy.

– Pewnie nie, ale źle bym się czuła, gdybym teraz

miała się z panem tak spoufalać. – Opuściła wzrok.

– Czasem ludzie robią coś, co wcale do nich nie

pasuje – dodała. – Coś, czego żałują już następnego dnia.

– Myślisz, że będę tego żałował?

– Tak – odparła szczerze. – Ale niepotrzebnie.

Miał pan kiepski dzień, a wspomnienia od czasu do

czasu potrafią nieźle dać się we znaki. Zachował się pan jak każdy człowiek, który cierpi i potrzebuje

pociechy, choćby tylko chwilowej. Sam pan powie-

dział, że dotyk przynosi pociechę. Mnie też było

przyjemnie, ale bez obaw, nie rozkleję się nagle i nie uznaję, że od teraz mam jakieś szczególne miejsce

w pańskim życiu.

Skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na nią

z ciekawością.

– Mówisz bez ogródek – zauważył.

– Dorastałam z żołnierzem. Nauczył mnie nigdy

nie kłamać. No cóż, może nie powiedziałabym

siostrze Turner, że w tej marchewkowej szmince

wygląda jak wyschnięta pomarańcza, ale to właś-

ciwie nie jest kłamstwo, tylko przemilczenie.

– Ja też nie – zachichotał. – Przecież ona ma

dostęp do tyłu igieł – wyjaśnił z konspiracyjnym

uśmiechem.

Rozpromieniła się, a Drew pomyślał, że dotąd

nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak lubi patrzeć na jej uśmiech. Dziś najwyraźniej zdołali osiągnąć pewien nowy stopień porozumienia.

– Nie chcę dzikiego seksu ani nowej żony – rzekł po chwili, z podobną szczerością. – Muszę jednak przyznać, że przytulanie się może uzależniać.

– Jest pan pewien co do dzikiego seksu? – zapytała, szeroko otwierając oczy. – Bo gdyby pan kiedyś zmienił zdanie, to wie pan, gdzie mnie szukać.

– Uprawiałaś kiedyś dziki seks z mężczyzną?

– zapytał z ciekawością, choć żartobliwie.

Kitty wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie uprawiałam seksu, i tyle, ale obecnie

nie oczekuję tego z drżeniem serca, jak kiedyś. No, to już pan wie – dodała z uśmiechem. – Ale proszę

mnie uprzedzić, żebym zdążyła się odpowiednio przygotować.

Wybuchnął serdecznym śmiechem, a ona oblała się rumieńcem.

– Idź wreszcie do domu! – ryknął. – Na litość boską, nie masz wstydu? Składać takie propozycje własnemu szefowi?

– Jeśli nie chce pan takich propozycji, to proszę mnie nie zaczepiać – odparła z błyskiem w oku.

– A teraz naprawdę idę do domu.

– Coltrainowie powiedzieli, że mogę cię ze sobą  
przyprować.

Miała ochotę mu towarzyszyć, jednak zmusiła  
się do tego, by nonszalancko pokręcić głową.

– Nie, nie, dziękuję. – Zawahała się. – I dziękuję za... zainteresowanie. Wyrzucę te perfumy. A na-  
150

### *Diana Palmer*

stępnym razem będę ostrożna w ich doborze. Dobra-  
noc panu.

Nie wiedział, dlaczego nie chciała z nim pójść, ale tylko się uśmiechnął i otworzył jej drzwi, a potem zamknął klinikę i odprowadził dziewczynę do auta.

Stał i patrzył, jak odjeżdżała, myląc biegi. Zastanawiał się, dlaczego mu aż tak odbiło. Przecież była tylko jego recepcjonistką.

### **Rozdział trzeci**

Coltrainowie zauważyli zmianę w Drew, i wcale  
nie dlatego, że rozpaczał. Wydawał się dziwnie  
zamyślony, a kiedy Jeb wspomniał Kitty, dłoń Drew  
podskoczyła.

Jeb i Lou byli zbyt powściągliwi, żeby zadawać  
mu pytania wprost. Przez cały posiłek rozmawiali  
o neutralnych sprawach, dopiero przy deserze od-  
ważyli się nieco wysondować przyjaciela.

– Jak tam twoja recepcjonistka? Pracuje dla ciebie już od prawie roku, prawda? – Chciała wiedzieć  
Lou.

– Tak i zupełnie nieźle sobie radzi. – Drew nie

odrywał spojrzenia od sernika. – Jeśli trzyma się

z dala od perfum o drzewnej nucie – dodał z zadumą i wyjaśnił, że astma Kitty ma wiele wspólnego z jej nową wodą kolońską.

– Wielu naszych pacjentów nie łączy używania

perfum z atakami astmy ani z migrenami. – Lou

z uśmiechem pokiwała głową. – O tym się za-

zwyczaj nie myśli.

**152**

*Diana Palmer*

– Teraz już Kitty będzie o tym myślała – za-

uważył.

– Czy Kitty i siostra Turner dobrze się dogadują?

– wypytywała Lou.

Drew zachichotał.

– Spiskują – mruknął. – Po południu losowały,

która pierwsza wyjdzie. Kitty przegrała. – Wes-

tchnął. – Zachowywałem się dzisiaj jak prawdziwy

potwór, mimo to nie powiedziała ani słowa.

– A co zrobiła? – spytał z ciekawością Jeb.

– Podniosła ręce do góry, jak więzień, a ja wybu-

chnąłem śmiechem.

– To urocza dziewczyna – zaśmiał się Jeb. – Pa-

miętam, jak w dzieciństwie maszerowała za swoim

tatą do sklepu. Naprawdę maszerowała, jak żoł-

nierz. Było mi jej żal. Ojciec Kitty został poważnie ranny w Wietnamie, musiał zrezygnować ze

służby,

choć wcale tego nie chciał. Zaproponowali mu pracę w Pentagonie, ale był zbyt dumny, by ją przyjąć.

Dlatego został w miasteczku, wspominając żołnierskie dzieje, a żona i córka cierpiały...

– Krzywdził je? – spytał Drew, zanim miał czas się zastanowić nad tym pytaniem.

– Ależ skąd – zapewnił go Jeb. – Nie był okrutnym człowiekiem, jedynie bardzo władczy i wymagającym. Kitty nigdy nie spotykała się z chłop-

cami. Nikt nie mógł pokonać staruszka, nawet kiedy skończyła liceum i poszła do szkoły dla sekretarek.

Odstraszał wszystkich młodych ludzi.

– Nie dziwię się – mruknął Drew, myśląc, że chętnie uściskałby za to staruszka. Pogrzebał widel-



cem w serniku. – Na pewno miała choć jednego stałego chłopaka – zaryzykował.

– A skąd – odparł Jeb. – Mowy nie ma. Pułkownik przeszedł zawał, kiedy zaczęła naukę w szkole

policealnej. Musiała się nim zajmować i iść do pracy, żeby dorobić do jego renty. – Pokręcił głową. – A kiedy miała wolną chwilę, siedziała w szpitalu na

oddziale nagłych wypadków z tym, co brała za nieustające przeziębienie, dopóki lekarze nie wy-

kryli u niej astmy. Trochę to potrwało, zanim

lekarstwa pomogły. Teraz jest lepiej, ale zawsze ma ataki astmy, gdy zaczynają pylić trawy.

– Przyjrzę się jej – obiecał Drew.

– I bardzo dobrze – odparł Jeb. – Kitty nie ma żadnych rozrywek. Dlatego zaproponowałem, żebyś ją dziś przyprowadził – dodał ze smętnym uśmiechem. – Nie próbowałem was wyswatać.

Dziewczyna pracuje dla ciebie, a ja ją lubię, i tyle.

– Przepraszam. – Mówił szczerze, było mu przykro. – Gdybym zdawał sobie sprawę...

– Jesteśmy ostatnimi ludźmi, którzy usiłowałiby cię pchnąć w ramiona kobiety – wtrąciła z uśmiechem Lou. – A już na pewno nie swatalibyśmy cię z Kitty.

Drew lekko zmarszczył brwi.

– A niby dlaczego nie z nią? – spytał zdumiony.

– Przecież nie jest w twoim typie. – Lou wbiła

spojrzenie w stół. – To zwykła dziewczyna, nieele-

gancka i niewyrobiona. Woli siedzieć w ogródku

i sadzić kwiatki, niż iść na przyjęcie, i nie ma pojęcia, jak się ubierać.

**154**

*Diana Palmer*

Przyszło mu do głowy, że Lou złośliwie wsadza

szpilki jego recepcjonistce, ale niemal natychmiast się zorientował, że tak nie jest. Wyglądało na to, że Lou naprawdę lubi Kitty i zwyczajnie się o nią

troszczy.

– Z takim wyglądem nigdy nie znajdzie sobie

chłopaka – ciągnęła ze smutkiem. – Drew, może

zdołałbyś coś z tym zrobić? Pokazać jej, jakie stroje ma wkładać, zaprowadzić ją do fryzjera, żeby wy-myślił jej nową fryzurę? Guy Fenton wciąż jest nią zainteresowany, ale Kitty nie wygląda jak dziewczyna, z którą chciałby się pokazywać młody męż-

czynna. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi?

– Chodzi ci o to, że nie ubiera się jak młoda,

atrakcyjna kobieta, która szuka partnera? – prze-

tłumaczył.

– Właśnie tak.

– Dlaczego ty się nią nie zajmiesz? – spytał.

– Niby jak? Obu nam byłoby głupio – stwier-

dziła trzeźwo Lou. – Tak naprawdę Kitty prawie

mnie nie zna.

– To tylko moja pracownica – odparł Drew.

– Ale słucha cię. Wiesz, jesteś dla niej kimś  
w rodzaju ojca... – Opuściła wzrok, żeby ukryć  
rozbawienie nagłą irytacją Drew.

– Jestem za młody na jej ojca – oznajmił z roz-  
drażnieniem.

Jeb Coltrain odchrząknął, żeby ukryć chichot.

– Lou miała na myśli coś innego – wyjaśnił  
przyjacielowi. – Kitty naprawdę uważa cię za swój  
autorytet. Nic by się nie stało, gdybyś nieco pomógł

jej zmienić wizerunek. Pamiętaj, że zamężne recepcjonistki nigdy nie odchodzą z pracy.

– Zasłużyła na kogoś lepszego niż Guy Fenton. – Przypomniał sobie, jak źle potraktował ją kowboj w zeszłym roku. – O ile pamiętam, wystroiła się dla niego, a on zrobił ją w konia na randce.

– Dla niej elegancki strój to zapięta pod szyję zwykła koszulowa bluzka – mruknęła Lou. – Poza tym Kitty nigdy nie rozpuszcza włosów.

Drew nie chciał o tym myśleć. Już od dawna marzył, by wyciągnąć z nich spinki i zobaczyć, jak włosy spływają dziewczynie na ramiona.

– Masz rację, potrzebuje kogoś lepszego – zauważył chłodno Jeb. – Guy Fenton ma swoje mroczne sekrety, a poza tym zbyt dużo pije. Przecież w mieście jest mnóstwo dobrych partii. Na przykład Matt Caldwell.

Matt był szorstkim, nieco dziwacznym człowiekiem, ale samotnym i na dodatek bardzo zamożnym. Drew nie zachwyił pomysł ewentualnego związku Matta z Kitty. Nie zachwycał go pomysł związku żadnego mężczyzny z Kitty, i właśnie

dlatego postanowił zostawić sprawy własnemu biogowi i w żadnym wypadku nie interweniować. Nie zamierzał wiązać się z Kitty. Gdyby zaczęła umawiać się z innymi mężczyznami, byłby bezpieczny.

– Jak wiesz, Jeb i ja zasiadamy w zarządzie sierocińca – przypomniała mu Lou. – Organizujemy letni bal dobroczynny, żeby zebrać pieniądze na rozbudowę budynku. Mam nadzieję, że przyjdiesz.

156

*Diana Palmer*

Mógłbyś przyprowadzić ze sobą Kitty, wtedy przedstawiłabym ją kawalerom do wzięcia.

Drew zmarszczył brwi.

– Drew, po prostu ją przyprowadź – nalegała

Lou. – Nie zmuszam cię, żebyś poprosił Kitty o rękę.

Możecie się spotkać na miejscu, jeśli nie chcesz być z nią widziany.

– Na litość boską, nie ma sprawy, mogę ją zaprosić – burknął.

– Świetnie – rozpromieniła się Lou. – I gdybyś jeszcze zdążył ją nieco zmienić, kto wie, co się wydarzy.

– Matt ją lubi – wtrącił Jeb – i mają ze sobą wiele wspólnego.

– Czy Matt również obawiał się jej ojca? – spytał z ciekawością Drew.

– Ani trochę. – Jeb wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Kiedyś skoczyli sobie do oczu z powodu operacji Pustynna Burza. Rezerwowa jednostka Matta brała w niej udział. Wkońcu Matt wyciągnął starego Carsona na środek miejscowego McDonalda i wylał na niego koktajl mleczny. Pułkownik chyba nigdy mu tego nie darował.

Drew zachichotał.

– Co na to Kitty? – zapytał.

– Nic. Nie odważyła się tego skomentować. Ale spróbuj powiedzieć w jej obecności „koktajl mleczny”, a z całą pewnością wybuchnie śmiechem.

Drew uznał to za bardzo zabawne. Pomyślał, że faktycznie pewnego dnia przeprowadzi taki eksperyment. Wbił wzrok w widelec.

– No dobrze, wezmę ją ze sobą na ten bal

– westchnął. – Kiedy dokładnie się odbędzie?

Lou wtajemniczyła go we wszystkie szczegóły.

– To oficjalna uroczystość – dodała. – Nawet

bardzo oficjalna.

– Dobrze, włożę smoking – powiedział niechętnie.

– Rozumiem, że Kitty ma przyjść w wieczorowej sukience.

– Pomóż jej coś wybrać – poprosiła Lou. – I zasugeruj jej wizytę u kosmetyczki i fryzjera oraz kupno szkieł kontaktowych. Byłaby całkiem ładna, gdyby

trochę nad sobą popracowała.

Czekał aż do poniedziałku, a kiedy siostra Turner wyszła na lunch, poprosił, żeby Kitty zajrzała do jego gabinetu.

Weekend dziewczyny nie był zbyt udany, przez cały czas rozpamiętywała, co zrobili, a brak snu uwidoczniał się w postaci ciemnych kół pod jej oczami. Zauważyła, że doktor Morris również marnie wygląda, ale ponieważ wciąż się przepracowywał, przypisała to nadmiarowi obowiązków. Nie mogła wiedzieć, że i on nie był w stanie spać,

usiłując wyrzucić tamto doświadczenie z pamięci.

– Podoba ci się Guy Fenton? – spytał bez ogródek, kiedy się pojawiła.

Nie miała pojęcia, dlaczego interesuje go jej życie prywatne. Poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Kiedyś mi się podobał. Chyba nadal uważam, że jest atrakcyjny. Ale już nie chcę się z nim umawiać.

**158**

*Diana Palmer*

– Nie dziwię ci się. A co powiesz na Matta Caldwellella?

– Matt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi.

Nie potrafił się dogadać z moim ojcem.

– Ze mną od czasu do czasu też nie potrafi, ale przyjdzie na letni bal dobroczynny w ośrodku sportowym i pomyślałem, że może chciałabyś pójść tam ze mną.

Wbiła wzrok w ścianę, zastanawiając się, czy nie ma przypadkiem omamów słuchowych. Może kieliszek wina, które wypić do sobotniej kolacji, dopiero teraz zadziałał...

– Mógłby pan powtórzyć? – poprosiła. – Bo chyba się upiłam i przesłyszałam.

– Co, upiłaś się kawą? – spytał ze zdumieniem.

– Wsobotni wieczór pozwoliłam sobie na kielis-



szek wina – wyjaśniła.

Kącki jego ust nieznacznie się podniosły.

– Czyżbym to ja wpędził cię w alkoholizm?

– zażartował. Zrobiło mu się głupio, kiedy po chwili ujrzał rumieniec na jej policzkach. – Nieważne.

Poprosiłem cię, żebyś poszła ze mną na letni bal

dobroczynny. Komitetowi przewodniczą Lou i Jeb,

zapraszają wszystkich kawalerów i panny w mias-

teczku, w tym Matta i Guya. – Popatrzył na swoje

ręce. – Coltrainom bardzo zależy na tym, żebyś była obecna.

Kitty niepewnie wpatrywała się w twarz doktora

Morrisa. Mówił tak, jakby w najmniejszym stopniu

nie miał ochoty jej zapraszać, a i bez żadnych

wyjaśnień wiedziała, że to Coltrainowie go do tego

zmuszają. Dziwne, jak wielkie poczuła rozczarowanie. Przecież знаła jego uczucia do zmarłej żony. Jak choć przez moment mogła pomyśleć, że Drew zaprasza ją na bal z własnej woli? Czyżby przez ten jeden pocałunek zaczęła marzyć o czymś więcej? – Właściwie to wolałabym nie... – zaczęła uprzejmie.

Uniósł wzrok i spojrzał na nią tak, że od razu umilkła.

– Chciałbym, żebyś poszła – powiedział.

Tak naprawdę wcale tego nie chciał, jednak jej odmowa go zirytowała. Kitty była młodą, dobrą dziewczyną i miała mnóstwo do zaoferowania.

Matt i Guy powinni skakać do góry z radości, gdyby przypadli do gustu takiej kobiecie. Zasłużyła na odrobinę szczęścia.

Kitty źle zrozumiała jego upór i uśmiechnęła się z zachwytem.

– Naprawdę? – spytała bez tchu.

Odwrócił się od niej.

– Jasne – burknął.

– Wobec tego przyjdę.

– Potrzebujesz sukienki – ciągnął, przekładając kartki papieru na biurku. – Ładnej, eleganckiej, wieczorowej.

– Będę.... będę musiała sobie jakąś kupić – zająk-  
nęła się.

– I mogłabyś coś zrobić z włosami.

– Obciąć je? – Niepewnie dotknęła koka.

– Nie! – Ugryzł się w język, zanim zdołał z siebie zrobić jeszcze większego głupca. – Chodziło mi o  
to, **160**

*Diana Palmer*

że mogłabyś je uczesać w jakąś wymyślną fryzurę.

Obciąć? – Wydawał się zaszokowany. – Obcinanie

takich włosów byłoby zbrodnią. – Jego wzrok

niechętnie prześliznął się po jej włosach, jak zwykle uczesanych w olbrzymi kok na karku. – Pewnie  
sięgają ci aż do pasa.

Uśmiechnęła się wstydliwie.

– Nawet dalej – wyznała. – Ale już nie noszę  
rozpuszczonych.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Mój ojciec uważał, że w takiej fryzurze wy-  
glądam jak Alicja w Krainie Czarów.

– Mogłabyś pleść je w warkocz – zasugerował.

– Właściwie to nie potrafię. – Roześmiała się.

Musiał ugryźć się w język, żeby nie zapropono-  
wać jej pomocy. Niechętnie podziwiał włosy Kitty.

Miały ciemnobrązowy odcień, który doskonale pa-  
sował do jej lekko oliwkowej cery i zielonych oczu.

Mimo okularów, które nosiła z uporem godnym

lepszemu sprawy, była bardzo atrakcyjna, a do tego

zgrabna. Gdyby tylko zechciała wykorzystać swoje

atuty i ich nie ukrywać! Z drugiej strony może tak jest lepiej, pomyślał. Nie mógł sobie wyobrazić

pracy, gdyby pomagała mu recepcjonistka o aparycji nimfy.

– Nieważne – mruknął. – Zrób z nimi, co ze-

chcesz. Tylko ubierz się ładnie...

– Którego zamierza pan rzucić mi na pożarcie?

– zapytała.

– Co takiego? – Popatrzył na nią uważnie.

– Który ma się dla mnie poświęcić, Guy czy Matt? – Uniosła brew. – Rozumiem, że wraz z Coltrainami postanowił pan ustrzec mnie przed staropanieństwem.

Jego twarz przybrała surowy wyraz.

– Myślałem, podobnie jak oni, że zasłużyłaś na odrobinę rozrywki. Nikt się nie będzie dla ciebie poświęcał. Chcemy cię tylko trochę... poprawić.

– Rozumiem.

– Guzik rozumiesz! – wrzasnął, zirytowany za-

równo własnymi myślami, jak i jej oporem. – Nic nie widzisz! Ubierasz się jak kłoszard, wiążesz włosy

w ohydny kok, chodzisz jak naćpana i jeszcze

pewnie się dziwisz, że żaden facet cię nie chce!

Była zaszokowana, gorzej – była po prostu zra-

niona do żywego. Nie sądziła, że doktor Morris ma

o niej aż tak kiepską opinię. Najwyraźniej nic w niej mu się nie podobało. Zastanawiała się, czy naprawdę pragnie jej pomóc, czy też próbuje wydać ją za

mąż, żeby raz na zawsze pozbyć się jej ze swojej

kliniki.

Wbiła wzrok w podłogę, ukrywając wściekłość

i zdumienie.

– Nie wiedziałam, że mam tak niewiele do

zaoferowania.

– Nie o to chodzi – burknął. – Masz mnóstwo

do zaoferowania i już nie mogę patrzeć, jak stra-

szaście to marnujesz! Jesteś niezwykle atrakcyjna, ale byłabyś o wiele bardziej, gdybyś odrobinę nad

tym popracowała. Twój ojciec już nie będzie od-

ganiał potencjalnych zalotników, Kitty. Nie musisz **162**

*Diana Palmer*

ukrywać swojej urody. Nie ma nic złego w tym, że

kobieta ładnie się ubierze i zademonstruje swoje

atuty.

Kitty westchnęła ze złością.

– Dobrze – odparła sztywno. – Zrobię to dla

pana.

Jej oczy zalśniły jak szmaragdy w bladej twarzy.

Bardzo nie spodobały się jej słowa doktora Morrisa, ale jeśli chciał tylko potrząsnąć nią, aby coś zrozumiała, to zapewne wyjdzie jej to na dobre.

– Kup sobie coś w butelkowym kolorze – powie-

dział nagle. – Obcisłego w talii i z dużym dekoltem.

Taki kolor sukienki podkreśli zielen twoich oczu. Są niezwykle – dodał łagodnie. – Przypominają żywe

szmaragdy.

– Co takiego? – Jej serce zaczęło walić jak

młotem.

Drew odchrząknął i szybko spojrzął na zegarek.

– Za pół godziny mam zebranie z radą szpitala

– oznajmił. – Będziemy usiłowali ich przekonać,

żeby zatrudnili na stałe lekarza na oddziale nagłych wypadków, tylko wówczas reszta z nas będzie mogła trochę odpocząć po godzinach.

– Trzymam za pana kciuki – westchnęła. Mówi-

ła zupełnie szczerze, wiedziała dobrze, że miejscowi lekarze muszą ciężko pracować, by oddział nagłych

wypadków jakoś działał.

– Dziękuję, oby poskutkowało. Na wszystko

brakuje pieniędzy.

– Wielu ludzi nie może wykupić ubezpieczenia

– przypomniała mu, zadowolona, że przestali roz-

mawiać o jej niedostatkach. – A niektórych osób  
zwyczajnie na to nie stać.

Drew pokiwał głową.

– Świat nie jest zbyt wesołym miejscem, praw-

da, Kitty? – mruknął. – Pieniądze nie powinny być

czynnikiem decydującym o życiu i śmierci. I u nas, w Jacobsville, na szczęście nie są, mimo skąpego

budżetu. Ale do prawidłowego funkcjonowania

szpitala nie wystarczy dobra wola i poświęcenie

personelu.

– Wiem o tym. – Wzruszyła ramionami. – To

chyba bardziej skomplikowane, niż może się wyda-

wać laikowi.

– To skomplikowane nawet dla zawodowców.

Powoli podeszła do swojego biurka.

– I co z tym balem? – spytał. – Pójdiesz ze mną

czy nie?

Nie patrzyła na niego, tylko na komputer.

– Pójdę – odparła, ale bez entuzjazmu.

Wiedziała dobrze, choć doktor Morris nie chciał

się do tego przyznać, że otrzymała to zaproszenie

tylko dlatego, by mógł ją zaprezentować Guyowi

i Mattowi. Było jej z tego powodu bardzo przykro.



I właśnie fakt, że tak to przeżyła, mocno ją zaniepokoił.

– To dobrze – mruknął. Nie miał pojęcia, co

jeszcze mógłby powiedzieć, więc wrócił do gabinetu po marynarkę i wyszedł z kliniki.

Kitty samotnie udała się na zakupy. Drew uznał,

że nie powinien kusić losu, proponując dziewczynie **164**

### *Diana Palmer*

swoje towarzystwo, więc nie powiedział już ani

słowa na temat stroju ani fryzury.

Postanowiła poszukać odpowiedniej sukienki

w Houston. Wyjechała wczesnym sobotnim ran-

kiem. Jazda była bardzo przyjemna, choć lekko

mżyło. Zieleń mieniła się tysiącem odcieni, po obu stronach drogi Kitty widziała strumyki, a na pastwiskach dostrzegła krowy. Pomyślała, że ta pora

roku sprzyja miłości młodych ludzi i wybuchnęła

śmiechem. Drew nie był ani młody, ani nią zainteresowany, więc powinna zignorować te dziwne uczu-

cia, które ją nachodziły. Mimo jego zmowy z Colt-

rainami i zaproszenia na bal nie mogła zapominać,

że Drew nie chce jej dla siebie. Zamierzał zaferować ją Guyowi albo Mattowi.

Pomyślała, że właściwie powinna mu na to

pozwolić. Może nie mylił się, mówiąc, że Kitty ma

pewien potencjał. Przez całe życie polegała na zdaniu swojego ojca w kwestii mężczyzn. Gdy była

młodsza, jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, że ojciec był bardzo samotnym człowiekiem, niezwykle od niej zależnym. Na pewno przerażała go myśl,

że mógłby ją utracić, ale miał zbyt dużo dumy, by się do tego przyznać. To wyjaśniałoby jego niechęć do

związku córki z jakimkolwiek mężczyzną. Wydawał się niezależny i dominujący, ale pod maską twardego żołnierza był bardzo niepewny, co się jeszcze nasiliło po śmierci jej matki.

Czasem wspominała mamę, zdumiewając się

tym, jak ta łagodna i skromna kobieta radziła sobie z humorami i wymaganiami ojca. Ale już dawno

zrozumiała, że to jej matka, Martha, była podporą  
swojego męża, i że po jej śmierci całkiem się załamał.

Od tamtego dnia Kitty przejęła rolę matki, a ojciec stawał się coraz bardziej zależny od córki. Mimo jej problemów ze zdrowiem, uczeplił się jej jak tonący, który nie umie o własnych siłach dopłynąć do brzegu. Odkąd przeszedł zawał, jego zależność od

niej była całkowita. Właśnie wtedy zaczął okazy-

wać strach, bo nie miał już siły go ukrywać. Starła się dbać o siebie, dla dobra ojca. Musiała być zdrowa, żeby móc odpowiednio się nim zająć. Czasem

jednak nie potrafiła wszystkiego przewidzieć

i współpracownicy zawozili ją na oddział nagłych

wypadków. Nie mówiła ojcu o atakach astmy, które

wymuszały coraz częstsza zmianę leków. Wkońcu

pewien lek sprawił, że odwiedziny w szpitalu nie-

mał odeszły w przeszłość.

Kitty pomyślała, że dopiero teraz widzi wyraź-

nie, jaką rolę pełniła u boku ojca. Nigdy nie czuła się jak córka, o którą troszczy się ojciec, a wręcz

przeciwnie. Zawsze usiłowała zastąpić ojcu i żonę, i matkę, szczególnie przez ostatnie żalosne lata jego życia. Wkońcu, tuż przed śmiercią, wypowiedział

z bólem i tęsknotą imię żony... Martha była jego

jedyną miłością.

Zamrugła, żeby odpędzić łzy. Jej rodzice byli

małżeństwem przez niemal trzydzieści lat. Może

Drew był taki sam po śmierci swojej Eve, jak

jej ojciec? Zagubiony, samotny i pełen strachu?

Jednak on nie miał córki, która by go pocieszyła.

Nic dziwnego, że był niecierpliwy, wybuchowy

166

*Diana Palmer*

i przepracowany. Choć zapewne praca ocaliła go przed rozpaczą i depresją po śmierci żony.

Woddali zamajaczyło Houston, jego znajoma panorama pomogła jej wrócić myślami do chwili obecnej. Kitty wiedziała, że w przeciwieństwie do Drew, nie może żyć przeszłością. Musiała patrzeć w przyszłość. Małżeństwo niegdyś wydawało się nierealną mrzonką, ale teraz wcale nie było takie nieprawdopodobne. Gdyby popracowała nad swoim wyglądem i była nieco bardziej towarzyska, zapewne mogłaby przebierać w propozycjach. Pano-

wała nad swoją astmą, musiała tylko trochę o siebie zadbać. Kto wie, być może udałoby się jej zainteresować jakiegoś miłego mężczyznę do tego stopnia,

że zapragnęłyby wziąć z nią ślub. Dobrze byłoby mieć własną rodzinę, kogoś, z kim mogłaby spędzać wolny czas i wychowywać dzieci.

Westchnęła. Wiedziała, że aby skłonić mężczyznę do małżeństwa, trzeba czegoś więcej niż nowej sukienki. Mimo to warto było spróbować.

Odwiedziła kilka sklepów, zanim znalazła su-

kienkę, która z pewnością przypadłaby doktorowi

Morrisowi do gustu – z ciemnozielonej tafty, z du-

żym dekoltem i krótkimi, bufiastymi rękawami,

długą do kostek. Gdy Kitty ją zmierzyła, była

zdumiona tym, co ujrzała w lustrze. Krój sukienki

pięknie podkreślał jej kształtne piersi i wąską talię, przywodził na myśl styl lat czterdziestych i dawno zapomnianą elegancję z tego okresu. Kitty odebrało mowę. Właściwie nie było jej stać na tę sukienkę, ale

i tak ją kupiła, a oprócz niej czólenka z zielonego atłasu i atłasową torebkę.

Obok sklepu był salon fryzjerski. Wstąpiła, aby

trochę podciąć włosy. Ale fryzjerka, zachwycona ich długością i gęstością, namówiła Kitty na nową fryzurę, twierdząc, że jest to fryzura wielu filmowych gwiazd i prezenterek znanych z telewizji.

Dziewczyna nieco się wahała, ale w końcu się

zgodziła i kilka godzin później, po wysuszeniu,

zdjęciu wałków i ułożeniu włosów na szczotce,

zaszokowała ją twarz patrząca na nią z lustra,

otoczona niezwykle pięknie układającymi się falami włosów.

Potem poszła prosto do optyka i dopasowała

szkła kontaktowe. Postanowiła użyć ich dopiero na

balu. To miała być niezapomniana noc.

Wponiedziałek rano włożyła białą koronkową

sukienkę z falbankami w hiszpańskim stylu, zaku-

pioną podczas wycieczki do San Antonio, mniej

więcej trzy lata temu, na którą wybrała się z kuzynką. Sukienka znakomicie pasowała do jej czarnych włosów i oliwkowej karnacji.

Do sukienki dopasowała jasne pończochy i wło-

żyła białe pantofelki na wysokich obcasach, no i po raz pierwszy rozpuściła włosy. Był to może nieco

zbyt strojny ubiór jak na pracę w recepcji w poniedziałkowy poranek, ale od soboty czuła się całkiem inną kobietą. Wkońcu kiedyś musiała sprawdzić, co

powie szef na jej nowy image.

Staneła przed dużym lustrem i zamyśliła się,

168

*Diana Palmer*

patrząc na swoje odbicie. Nawet w drucianych okularach wyglądała bardzo dobrze. Zrobiła wyjątkowo staranny makijaż. W nowym stroju i fryzurze czuła się niezwykle kobieco.

Złapała torebkę, koronkowy szal i wyszła, za-

stanawiając się, jak zareaguje na jej widok doktor Morris. Wydawało się, że była przygotowana na każdą reakcję, od łagodnego zaskoczenia po totalną obojętność. Jednak to, co zrobił, wprowadziło ją w ogromne zdumienie.

Był u siebie w gabinecie, gdy przyszła, pochylony

nad kartą zdrowia pacjenta. Nie ogolił się, co oznaczało, że albo nie spał przez całą noc, albo wstał bardzo wcześnie i po nocnym dyżurze w szpitalu nie miał okazji wrócić do domu.

Usłyszał jej kroki, kiedy weszła do gabinetu, ale wcale na nią nie spojrział.

– Przynieś mi kawę – mruknął. – Proszę – dodał, wciąż nie podnosząc głowy.

Nieco rozczarowana jego obojętnością, weszła do

małej kuchni i zaparzyła kawę. Postawiła ją na tacy, razem z cukrem i śmietanką, a po krótkim namyśle

dorzuciła kilka ciastek migdałowych. Doktor Morris nie chciał dziś zjeść śniadania, wiedziała to od siostry Turner, ale z pewnością czuł głód, jeśli nie kładł się w nocy.

Wśliznęła się do gabinetu i postawiła tacę na

skraju jego biurka.

– Dziękuję – mruknął, wciąż zajęty pracą. Nagle kątem oka zauważył coś białego, koronkowego, i podniósł wzrok.



Kitty pomyślała, że do końca życia nie zapomni tych kilku sekund.

Karta pacjenta wypadła mu z rąk. Zaszokowane spojrzenie Drew powędrowało od czubka głowy

Kitty, prześlizgnęło się po jej twarzy, biuście, talii, biodrach i wreszcie zatrzymało się na gęstych lokach, które sięgały jej dobrze za pas.

– Boże drogi – wymamrotał z wręcz nabożną czcią.

Jego dziwne zachowanie nieco ją zakłopotало.

– Mówił pan, żeby je jakoś uczesać... – wyjąkała.

Wstał od biurka, zapomniawszy o swoich notat-

kach, i stanął przed nią. Jak lunatyk wyciągnął ręce i zatopił je w jej długich, jedwabistych włosach.

Mocno zacisnął usta, a w pewnej chwili dotyk jego palców stał się wręcz bolesny.

Bliskość Drew onieśmiała Kitty. Jej serce było coraz szybciej, a usta lekko się rozchyliły. Drew wbił w nią spojrzenie i przysunął się bliżej.

– Pachniesz jak setki róż – wyszeptał, wdychając zapach jej perfum. Jak w transie pochylił się nad nią.

Gdy jego usta już miały dotknąć jej warg, drzwi wejściowe nagle się otworzyły i stanęła w nich siostra Turner.

Drew natychmiast puścił Kitty, a w jego oczach

zamigotał gniewny błysk.

– Proszę iść do domu i włożyć coś odpowiedniego do pracy! – krzyknął, niesłychanie rozzłoszczony wyglądem recepcjonistki i swoją reakcją.

– I to już, panno Carson! Nie prowadzę tu agencji towarzyskiej!

**170**

*Diana Palmer*

Jego zgryźliwość ubodła dziewczynę do żywego.

Nie mogła zrozumieć tej nagłej wściekłości. Po prostu zachowywał się irracjonalnie. Czy rzeczywiście ubrała się jak dziwka?

– I zrób coś z tą cholerną lwią grzywą! – dodał ze złością. – Najlepiej obetnij ją do gołej skóry!

Patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem. Wy-

chodząc z domu, czuła się po prostu wspaniale, teraz miała wrażenie, że jest brudna i naga. Bez słowa

wyszła z gabinetu i minęła pielęgniarkę.

– O rany! – wykrzyknęła siostra Turner. – Kitty, wspaniale wyglądasz!

– Nieprawda – powiedziała Kitty przez łyżę,

łapiąc szal i torebkę. – Podobno wyglądam jak

pracownica agencji towarzyskiej. Słyszałaś, że doktor Morris kazał mi iść do domu, zmienić strój i zrobić coś z tymi okropnymi włosami. Postaram się szybko wrócić.

Gdy szła do domu, pomyślała z gniewem, że

weźmie pierwsze lepsze nożyczki i zetnie włosy do gołej skóry, tak jak sobie tego życzył doktor Morris.

## **Rozdział czwarty**

Drew ledwie mógł myśleć. Do świtu siedział w szpitalu z małym pacjentem, który na szczęście przeżył mimo pękniętego wyrostka robaczkowego i zapalenia otrzewnej. Przez to wszystko naskoczył okrutnie na Kitty, której jedyną winą było to, że wyglądała jak anioł w bieli. Jej widok najpierw go zdumiał, potem zranił i zaniepokoił, bo za mocno przypomniał mu Eve w podobnej sukience tego wieczoru, gdy poprosił ją o rękę. Eve miała jasne włosy, ale równie długie i kręcone jak dzisiaj Kitty. Nagle, zbyt późno, przyszło mu do głowy, że Kitty biegnie teraz do domu ze łzami w oczach, z powodu jego bezsensownego wybuchu, i pewnie, gdy znajdzie się w mieszkaniu, od razu złapie za nożyczki i...

Przeraziło go to nie na żarty. Zerwał się od biurka i wypadł z gabinetu.

– Zaraz wracam. To nagły wypadek – wymamrotał po drodze do siostry Turner.

Na szczęście było jeszcze zbyt wcześnie na

obchód do szpitala, ale to musiało poczekać. Wskoczył do mercedesa i z piskiem opon ruszył do domu Kitty.

Wszedł do jej budynku tuż za młodą kobietą, która otworzyła drzwi wejściowe.

– Nie może pan... – zaczęła z oburzeniem.

– Właśnie, że mogę – burknął, przeskakując po

dwa stopnie, gdy biegł do Kitty, by powstrzymać ją przed tym, co, jak był pewien, zamierzała zrobić.

Walenie do drzwi było głośne i gwałtowne. Kitty

nie miała ochoty otwierać, ale było jasne, że jeśli tego natychmiast nie zrobi, jej sąsiedzi wpadną we wściekłość. Niektórzy z nich pracowali na nocną zmianę.

Podeszła i zerknęła przez dziurkę od klucza, choć dobrze wiedziała, kto tam stoi.

– Proszę odejść! – krzyknęła.

– Nie. Otwórz drzwi.

Wyglądało na to, że jeśli nie otworzy, doktor

Morris spędzi cały dzień na jej wycieraczce. Zastanawiała się przez chwilę i w końcu doszła do wniosku, że łatwiej jej będzie powiedzieć mu, co o nim myśli, jeśli Drew znajdzie się w jej mieszkaniu, więc otworzyła.

Wpadł do środka i zatrzasnął drzwi, ledwie łapiąc oddech, po czym uważnie na nią popatrzył. Zobaczył, że już zdążyła włożyć na siebie szlafrok,

a w dłoni ściska nożyczki. Najwyraźniej zdążył  
w ostatniej chwili. Była zarumieniona, miała oczy  
zaczerwienione od płaczu i ślady łez na policzkach.

A jej włosy, choć potargane, nadal prezentowały się wspaniale.

Drew podszedł do niej i spokojnym gestem wyjął

nożyczki z dłoni dziewczyny.

– Nie wyrównuj ze mną rachunków – powie-

dział cicho. – Nawet jeśli na to zasłużyłem. Ścięcie ich byłoby zbrodnią, Kitty. Są takie piękne.

Wpatrywała się w niego, drżąc.

Rzucił nożyczki na stół i z westchnieniem przy-

tulił do siebie dziewczynę. Dziwne, ale było to takie naturalne, takie miłe, takie... podniecające.

Zanurzył twarz w grzywie ciemnych włosów,

jego wargi zaś musnęły czoło Kitty. Objął ją moc-

niej, pochylił głowę i w tym samym momencie ich

usta się zetknęły.

Smakował kawą, którą hektolitrami wypijał

w szpitalu. Jego nieogolone policzki kłuły ją, ale Kitty nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Objęła go ramionami tak mocno, jakby jej życie od tego

zależało.

– Uwielbiam twoje włosy – mruzczał, jednocześnie-

nie kładąc ją na łóżku. – Uwielbiam ich zapach, ich długość. Nie wolno ci ich... ścinać... Słyszysz? Nie wolno!

Jego dłonie wśliznęły się pod szlafrok, a potem

pod bieliznę, dotykały, pieściły, głaskały, aż Kitty wydała z siebie pełen rozkoszy jęk....

Dużo, dużo później, gdy zdołał się od niej ode-

rwać, popatrzył na zaczerwienioną twarz dziew-

czynny, na jej spuchnięte, czerwone usta i szeroko otwarte oczy.

174

*Diana Palmer*

Szlafrok leżał obok łóżka, halka Kitty była

opuszczona do bioder. Popatrzył na jej piękne,

jędrne piersi i ślady po swoich ustach. Nie protestowała, kiedy ją pieścił, tylko patrzyła na niego w milczeniu.

– Wogóle nie spałem – burknął.

– Czy to ma być wytłumaczenie? – spytała bez tchu.

– Nie potrzeba mi wytłumaczenia. Jeśli jeszcze raz przyjdiesz tak ubrana do pracy, to mimo wyzwolenia kobiet i tak dalej, wezmę cię na podłódze swojego gabinetu... przysięgam!

Oddychał ciężko, podobnie jak ona. Kitty drżała, było jej niewiarygodnie gorąco. Czytała w książkach, że mężczyźni dotykają kobiet w taki właśnie sposób, ale aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, co to dokładnie oznacza.

Wkońcu Kitty chciała wstać, ale kiedy drgnęła, jej ciało znowu przeszła fala rozkoszy. Drew patrzył na nią z lekkim rozbawieniem. Nie zamie-

rzał posuwać się aż tak daleko, ale jej pełna zdumienia, zaszokowana mina sprawiła, że nie mógł się

opanować. Zachwyciła go reakcja dziewczyny na

pieszczoty, jakimi ją obdarzał. Uwielbiał ją całą. Już od lat nie dotykał kobiety w ten sposób. Odkrył, że jego ciało nadal reaguje tak jak należy, i fakt, że nie jest całkiem martwy od pasa w dół, sprawił mu

niezwykłą przyjemność.

Dotknął palcami twarzy Kitty. Po chwili wes-

tchnął i przytulił ją do siebie. Jej piersi dotykały pokrytego czarnymi włosami torsu lekarza. Koszulę



rzucił gdzieś na podłogę, razem ze szlafrokiem dziewczyny.

Wpewnej chwili wyciągnął rękę po telefon, po czym wystukał numer i poczekał.

– Siostra Turner? – zapytał cichym głosem.

– Proszę zadzwonić do szpitala i powiedzieć, że spóźnię się dwie godziny. Muszę się trochę prześpać. Wrazie czego niech dzwonią na pager. Tak.

Dziękuję. Nie przyszła? No cóż, zanim zaczniemy przyjmować pacjentów, pewnie zdąży wrócić. – Za-

chichotał. – E tam, przejdzie jej. Ciężko się ze mną dogadać, kiedy jestem niewyspany. Tak, przepraszę. Dziękuję.

Rozłączył się i przytulił do siebie rozmarzoną

Kitty. Po chwili oboje zasnęli.

Przyzwyczajony do krótkiego wypoczynku

Drew obudził się mniej więcej dwie godziny póź-

niej, czując dziwny ciężar na piersi. Otworzył oczy, przechylił głowę i jęknął.

Obok niego leżała Kitty, na wpół naga, a jej

cudowne włosy przykrywały niemal całą górną

część jej ciała. Wyglądała jak wróżka na obrazie,

który kiedyś widział w muzeum. Mimowolnie

uniósł rękę i dotknął jej piersi, obrysowując ich

kontury. Zareagowały natychmiast. Nawet we śnie

jej ciało rozpoznało dotyk rąk Drew.

Jęknął i raz jeszcze dotknął wargami miękkiej

skóry Kitty. Drgnęła i również wydała z siebie cichy jęk. Czowała się pożądana, piękna, wyjątkowa. Przytuliła jego ciemną głowę do swoich piersi i zaczęła się rytmicznie poruszać.

176

*Diana Palmer*

– Boże jedyny – wyszeptał Drew, próbując odzyskać panowanie nad sobą. – Co ja wyprawiam?

– Mnie nie pytaj. Jestem nowicjuską. – Roześmiała się cicho. – Ale nie mam nic przeciwko temu, co robisz.

Z ciężkim westchnieniem uniósł głowę i popatrzył na dziewczynę. Uśmiechnięta, odwzajemniła jego spojrzenie. Drew delikatnie dotknął jej twarzy.

Wstał, po czym się schylił i pocałował czule Kitty.

– Muszę iść na obchód do szpitala – wyszeptał.

– A ja wrócić do pracy – westchnęła.

Tak bardzo jej pragnął. Mógł ją mieć. Wiedział to na pewno, nie musiał pytać o zgodę. Był przygotowany, z pewnością nie zakończyłoby się to nieplanowaną ciążą.

Tylko co potem? Niechętnie przerwał pocałunek i przez długi czas patrzył w oczy Kitty.

Widziała, że ogarnęły go wątpliwości. Była pewna, że w myślach wykonał kilka kroków wstecz. Już

nic nie mogło się wydarzyć. Żelazna kontrola nie pozwoliła mu zapomnieć o bożym świecie i stracić głowy.

Puściła Drew i tylko leżała, patrząc na niego bez słowa.

Niespiesznie włożył koszulę, a potem sięgnął po pasek. Patrzenie, jak się ubiera, sprawiało jej dziwną przyjemność. Pomyślała, że chyba powinna być zakłopotana, jednak nic takiego nie czuła. Właśnie w tym momencie uświadomiła sobie, że pokochała doktora Morrisa.

Drew podniósł na nią wzrok.

– Ubierz się, Kitty – powiedział cicho. – Oboje powinniśmy wrócić do pracy.

Nie patrzyła na niego, gdy usiadła i poprawiła halkę. Wstając, odrzuciła włosy za ramiona. Drew dotknął jej ciepłej, miękkiej skóry.

– Nie będę kłamał, mówiąc, że nie sprawiło mi to przyjemności – rzekł. – Ale dla mnie jest jeszcze o wiele za wcześnie.

Popatrzyła mu spokojnie w oczy.

– Czy byłeś ze mną? – zapytała. – Czy z duchem..

– Z tobą, nie z duchem. – Od razu zrozumiał, co ją dręczy. – Jesteś bardzo atrakcyjna, myślę, że wiesz, jakie wrażenie robią na mnie twoje włosy.

Widziałaś w gabinecie, gdy straciłem panowanie nad sobą. Tak bardzo się bałem, że je obetniesz, zanim zdążę tu dotrzeć... – Roześmiał się. – Twoje włosy są nieprawdopodobne.

Odsunęła je z twarzy.

– Dlaczego byłeś taki zły? – Zadała mu pytanie, które wciąż ją nurtowało.

– Wdniu, w którym poprosiłem Eve o rękę, miała podobne uczesanie i białą suknię z koronki

– wyjaśnił. – Nie byłem przygotowany na to, że

twój nowy wizerunek tak mi się z nią skojarzy.

– Rozumiem. Przepraszam – szepnęła.

– Nie musisz mnie za nic przeproszać – odparł natychmiast. – Wyglądasz cudownie, Kitty. Noś tę fryzurę, gdy tylko zechcesz. Postaram się pohamować mój entuzjazm.

– Czyli to był entuzjazm? – spytała spokojnie.

**178**

*Diana Palmer*

Złapał ją w pasie i przyciągnął do siebie.

– Była to czułość przyprawiona czystym pożądaniem – powiedział. – Pragnę cię. Mówię poważnie. A kiedy z tobą jestem, nie myślę o żadnej innej kobiecie.

– Ale przez to masz poczucie winy.

Wzruszył ramionami.

– Owszem. Kochałem Eve. Nigdy o niej nie zapomnę. – Popatrzył jej prosto w oczy. – Nigdy. Za bardzo ją kochałem. Mogę całować cię namiętnie,

mogę się nawet z tobą przespać. Bóg mi świadkiem,

że tego pragnę. Ale to wszystko – dodał. Musiał być z nią szczery. – Tylko seks.

Wbiła wzrok w jego tors. Tak bardzo pragnęła go

dotknąć, pieścić, jednak nie wykonała żadnego

ruchu. Drew jej pożądał, ale wciąż kochał zmarłą

żonę. Nic na świecie nie mogło tego zmienić.

– Jeśli chcesz, zostaniemy przyjaciółmi – ciągnął.

– Nawet bardzo bliskimi przyjaciółmi. Ogromnie cię lubię. Nie nudzę się w twoim towarzystwie, a poza

tym... wiem, że jesteś szczerą.

– Przyjaciółmi? Tylko? – Spojrzała mu w oczy.

– Kochankami, jeśli wolisz to określenie – mruknął niechętnie.

– I wszyscy w mieście będą to wiedzieli. – Roześmiała się cicho.

– Obawiam się, że tak. Twoja twarz cię zdradza.

– Pewnie masz rację. – Odsunęła się od niego, po czym podniosła z podłogi szlafrok i opatuliła się nim. Teraz było jej bardzo zimno.

Drew podszedł do Kitty i dotknął jej brody.

– Nie mogę cię kochać – powiedział krótko.

– I nie mógłbym zaproponować ci małżeństwa.

– Wiem. – Przewiązała się paskiem. – A mnie nie zadowoli żaden substytut. – Odsunęła się od niego.

– Chcę mieć męża i dzieci.

Drew odetchnął głęboko.

– Przykro mi – powiedział ze smutkiem.

– Nic na to nie poradzisz. Może gdybym ja

w przeszłości spotkała kogoś cudownego, zadowolony byłabym się wspomnieniami. Nie czuję do ciebie żalu.

– Popatrzyła na niego. – Ale mam dopiero dwadzieścia cztery lata, całe życie przede mną. Nie mogę wciąż rozpamiętywać przeszłości.

– Pewnie nie. – Wsunął ręce do kieszeni.

Kitty wzięła głęboki oddech, po czym zakaszłała i wykrzywiła usta.

– Dziś jest bardzo wysokie stężenie pyłków

– mruknęła, szukając w torebce inhalatora. Trzymała je wszędzie: na nocnej szafce, w torebce,

w kieszeni marynarki. Użyty w porę inhalator

czasem zapobiegał atakom.

Po chwili oddychanie przestało jej sprawiać takie

trudności.

– Dziś rano poszłam do pracy pieszo – wyznała.

– Głupio zrobiłaś.

Wzruszyła ramionami.

– Było tak pięknie, a ja kocham kwiaty – westchnę-

ła ze smutnym uśmiechem. – Życie jest niesprawiedli-we, prawda? Za życia taty uprawiałam niewielki

ogródek. Podczas kwitnienia ledwie mogłam wytrzy-  
mać, ale wkładałam maskę i szłam grzebać w ziemi.

**180**

*Diana Palmer*

– Przynajmniej bez protestów bierzesz lekar-  
stwa. Mam pacjentów, którzy nigdy tego nie robią  
systematycznie.

– To ci sami, którzy o drugiej w nocy trafiają na  
oddział nagłych wypadków – mruknęła.

– Zgadza się. – Skinął głową z uśmiechem.

Wziął zegarek, który wcześniej odłożył na nocny  
stolik, i z grymasem na twarzy spojrzął na tarczę.

– Naprawdę jestem spóźniony.

– Podobnie jak ja – zauważyła.

Drew zapiął koszulę i włożył zegarek, po czym  
sięgnął po marynarkę. Wyciągnął z niej grzebień  
i zniknął w łazience, by uczesać zmierzwiłone włosy.

– Musisz się ogolić – powiedziała, gdy wrócił.



– Jakbym nie wiedział. Miałem zamiar się ogolić,  
kiedy nagle weszłaś do gabinetu, a wyglądałaś jak  
Wenus.

– Sam mi kazałeś uczesać włosy i kupić jakieś  
nowe ciuchy – przypomniała mu.

– Żebyś zwróciła na siebie uwagę Guya Fentona  
i Matta Caldwelli – warknął, marszcząc brwi. – Nie moją!

– Przepraszam. – Skrzyżowała ręce na piersi.

Przejechał dłonią po włosach, ponownie je mierz-  
wiąc. Nie mógł na nią patrzeć, bo gdy to robił,  
odczuwał wręcz fizyczny głód.

– Do zobaczenia w klinice. Powiedziałem siost-  
rze Turner, że pewnie jesteś przygnębiona i się  
spóźnisz. Wie, że zepsułem ci humor. – Westchnął  
głęboko. – Przepraszam – dodał szczerze. – Jednak  
nie żałuję ani chwili.

– Jak wszyscy mężczyźni – mruknęła.

– Zechciałabyś mi to wyjaśnić? – Uniósł brew.

– Raczej nie. – Ruszyła do drzwi.

Zanim zdążyła je otworzyć, złapał ją za rękę

i zmusił, żeby na niego spojrzała.

– Pójdiesz ze mną na ten bal – oświadczył

stanowczo.

– Na pewno tego chcesz?

Pokiwał głową.

– Wobec tego zgoda – westchnęła.

Po raz ostatni omiótł spojrzeniem jej sylwetkę

i smutną twarz.

– Nie sądziłem, że jesteś tak wspaniale zbudo-

wana – powiedział. – Masz piękne piersi.

Zaczerwieniła się.

– To cię krępuje? – spytał cicho i przysunął się

bliżej. – Nie masz powodów do niepokoju. Nikomu

nie powiem, co wiem o twoim ciele. Nigdy – oświad-

czył poważnie.

Rumieniec jeszcze przybrał na sile. Kitty spuściła wzrok.

– Nigdy wcześniej tego nie robiłam – wyznała.

Drew odetchnął głęboko, po czym delikatnie

dotknął jej długich włosów.

– Jesteś dość młoda, by cieszył cię taki pierwszy raz. Ale wiesz, że zatrzymaliśmy się tylko na pieszczotach? Nie mogłem posunąć się dalej...

Zaniepokojona, spojrzała mu w oczy.

– Czy dlatego, że ci się nie spodobało? – zapytała nieśmiało.

Drew zacisnął szczękę, a jego oczy zalśniły.

**182**

*Diana Palmer*

– Jasne, że mi się spodobało, do diabła – warknął przez zaciśnięte zęby. – Myślisz, że nie dostrzegłem twojej niewinności?

– I co? Śmiałeś się ze mnie?

– Ależ nie... No, może tylko troszeczkę... – Po-

chylił się i delikatnie pocałował ją w czoło. – Byłaś cudowna, kiedy tak krzyczałaś z rozkoszy. Wiedzia-

łem, że to twój pierwszy raz... pierwsze prawdziwe męskie pieszczoty... i to ze mną.

– A jaki był twój pierwszy raz? – wyszeptwała.

– Mój pierwszy raz był bardzo podobny do twojego. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Ze starszą ode mnie dziewczyną, która zbyt bała się ciąży, żeby pozwolić mi pójść na całość. Ale i tak było wspaniale.

– Czy po tym wszystkim czułeś wstyd?

– Trochę – wyznał. – Wychowano mnie w przekonaniu, że pewne rzeczy dzieją się tylko w małżeństwie.

- Mnie również. – Nie patrzyła mu w oczy.
- Masz piękne ciało. Pamiętaj, że w żaden sposób nie zagroziłem twojemu dziewictwu.
- Wiem. Ale wszystko, co robiłeś, było takie intymne...
- Tak. – Znowu musnął wargami jej czoło.
- Intymne.
- Nie mogłabym pozwolić, żeby ktoś inny tak mnie dotykał.
- Idę do domu się ogolić. – Odsunął ją od siebie.
- A ty zjedz lunch i wracaj do pracy. Czeka nas pracowite popołudnie.

– Jak zwykle.

Kiedy otwierał drzwi, raz jeszcze na nią popatrzył. Wydawała się taka bezbronna i... smutna.

Nie chciał jej zostawiać w takim stanie.

– Tylko się nie zadręczaj, Kitty – powiedział.

– A czy ty będziesz się zadręczał? – zapytała gorzko.

Zmarszczył brwi. Nie chciał o tym myśleć, choć wiedział, że nie zdoła tego uniknąć. Wzruszył ramionami, uśmiechnął się półgębkiem i wyszedł.

Kitty wróciła do pracy, udając, że nic się nie wydarzyło. Siostra Turner bez żadnych podejrzeń

uwierzyła w jej zapewnienia. Dostrzegła jednak, że Kitty znów ściągnęła włosy w kok i włożyła nieciekawą strój, w którym zawsze pojawiała się w pracy.

Drew mógł żałować swoich wypowiedzianych w gniewie słów, ale Kitty nie chciała ryzykować.

Wrócił z obchodu w szpitalu, spojrzał na nią wzrokiem zbitego psa i poszedł do gabinetu poczekać na pierwszego pacjenta.

Po jego zachowaniu Kitty domyśliła się, że powinna zapomnieć o całej sprawie. Nie protestowała.

Wiedziała, że dzięki temu sytuacja w pracy będzie

bardziej znośna. Robiła, co w jej mocy, żeby zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Tylko nocą na wspomnienie tych krótkich chwil z Drew ogarnęła ją dziwna tęsknota i Kitty pozwoliła sobie na myślenie o uczuciach. Nie groziło jej zdemaskowanie, była biegła w ukrywaniu emocji.

**184**

*Diana Palmer*

Wzielonej sukni czuła się jak pozbawiony energii

Kopciuszek. Żałowała, że kupiła strój w kolorze

zasugerowanym przez Drew. Jednak już nic nie mogła na to poradzić. Nie stać jej było na inną sukienkę.

Nie zdumiało jej, gdy przekazał, że ma nagły

wypadek w szpitalu i że spotkają się na miejscu.

Uśmiechnęła się do siebie, dobrze wiedząc, że ktoś z pewnością by go zastąpił na oddziale, gdyby tylko Drew o to poprosił.

Pojechała na bal sama, gniotąc piękną taftę w ciasnym aucie. Wysiadła, ściskając torebkę w dłoni, i po chwili weszła do budynku ośrodka sportowego.

Coltrainowie stali przy drzwiach, witając gości.

– Nic nie mów – odezwała się Lou na widok

Kitty. – Drew został wezwany do szpitala.

– Taki zawód – mruknęła Kitty.

Jebediah milczał. Uśmiechnął się, przywitał Kitty

i patrzył, jak samotnie zmierza do stołu z przekąskami. Lou wzięła go pod ramię.

– Drew się opiera – westchnęła.

– Niech to diabli – burknął, głaszcząc ją po dłoni.

– Mógł sobie znaleźć jakieś zastępstwo.

Przysunęła się bliżej, opierając jasną głowę na jego ramieniu.

– Droga do prawdziwej miłości bywa wyboista

– zauważyła.

Popatrzył na nią z uśmiechem.

– Ale warta pokonania – szepnął. Pochylił głowę

i ucałował żonę.

– Dość tych pieszczot! – zawołał do nich Matt

Caldwell, szczerząc zęby.

Oboje lekko się zaczerwienili. Nadal czuli się jak świeżo poślubieni małżonkowie, choć ślub brali niemal dwa lata temu.

Wsmokingu i z włosami zaczesanymi do tyłu

Matt wyglądał niezwykle korzystnie. Był najatrakcyjniejszym kawalerem do wzięcia w całym Jacobsville, ale dotąd nie zakochał się w żadnej dziewczynie, chociaż nie stronił od randek. Dziś jednak przyszedł sam.

– Gdzie Kitty? – spytał ich żartem.

Oboje zaczerwienili się jeszcze bardziej.

– Posłuchaj, Matt... – zaczęła Lou.

– Wszystko w porządku – przerwał jej błyskawicznie i wyciągnął rękę. – Wiem, po co mnie

zaproszono. Lubię Kitty. Poza tym i tak nie miałem kogo ze sobą zabrać. Gdzie ona jest?

– Obok misy z ponczem – westchnął Jebediah.

– Miała przyjść z Drew, ale wydarzył się nagły wypadek i Drew jest jak zwykle w szpitalu...

Matt patrzył na Kitty ze zmarszczonymi brwiami. Znał ją od czasów szkolnych, choć była cztery klasy niżej, jednak dotąd nie widział, żeby tak wyglądała!

– Biedak – mruknął. – On traci, ja wygrywam.

Do zobaczenia.



Natychmiast ruszył do Kitty, niemal nie zauważając ludzi, którzy po drodze coś do niego mówili.

Zatrzymał się tuż obok dziewczyny.

– Kopciuszek, jak mniemam? – Ukłonił się jej nisko. – Dzień dobry, księżę jestem.

Kitty wybuchnęła śmiechem. Jej smutna twarz

**186**

*Diana Palmer*

się rozjaśniła, gdy zaczęli tańczyć. Czowała się jak najpiękniejsza księżniczka na balu. Grali pięknego walca, ten taniec zawsze wychodził jej najlepiej,

podobnie jak Mattowi.

Wirowali po parkiecie z prawdziwą radością, inni

tancerze odsunęli się na bok. Matt patrzył tylko na Kitty, której piękne włosy fruwały w rytm tańca.

Naprawdę wydawał się nią zainteresowany.

Właśnie w tym momencie na bal przyszedł

Drew. Nagły wypadek okazał się zaledwie niegroź-

ną raną, do której zaszycia wystarczył jeden zwykły szew. Powitał Jebediaha i Lou Coltrainów, ale byli zajęci rozmową z Jane i Toddem Burke'ami, więc

ruszył przed siebie, z rękami w kieszeniach, by

sprawdzić, w co takiego wpatruje się tłum.

To, co ujrzał, zrobiło na nim piorunujące wrażenie.

Na środku parkietu jego recepcjonistka tańczyła z najbogatszym, najbardziej popularnym kawalerem do wzięcia w Jacobsville. Sądząc z wyrazu jej

twarzy, była tym zachwycona.

**Rozdział piąty**

Kitty czuła się jak księżniczka, wirując w ramio-

nach Matta. Wtym momencie wydawała się niemal  
piękna. Brakowało jej tchu, nie myślała zupełnie  
o niczym. Nie było przeszłości ani przyszłości, tylko chwila obecna, muzyka i jasne światła.  
Walc jednak dobiegł końca, zgromadzeni wokół  
tańczącej pary ludzie zaczęli bić brawa. Matt przytulił Kitty, a ona odwzajemniła jego czuły uścisk.  
– Świetnie się bawiłam! – wykrzyknęła do ucha  
partnera. – Naprawdę znakomicie!  
– Niezła z pani tancerka, panno Carson – za-  
chichotał i uśmiechnął się do niej.  
– Z ciebie również fantastyczny tancerz. Mar-  
nujesz się w biznesie.

Matt wzruszył ramionami.

– Na tańczeniu pewnie wiele bym nie zarobił.

Chyba jednak wolę kupować i sprzedawać konie.

Wtym biznesie jakoś sobie radzę.

„Jakoś sobie radzę” oznaczało, że Caldwell

**188**

***Diana Palmer***

Enterprises znajdowało się na liście pięciuset najbogatszych firm stanu Teksas. Imperium Matta było  
tak zróżnicowane, że nawet jeśli jedna z jego firm podupadała, inne odrabiały to z nawiązką. Matt  
naprawdę zrobił wielką karierę, choć w jego prze-  
szłości zdarzył się pewien nieciekawy incydent...

– Widzę, że dobrze się pani bawi, panno Carson

– usłyszała za sobą zimny głos.

Odwróciła się, zaczerwieniona i bez tchu, i ujrzała lodowate, ciemne oczy szefa.

– Rzeczywiście, doktorze – przytaknęła ze śmiechem. Jej zielone oczy błysnęły. – Od lat już nie tańczyłam.

Drew nie mógł oderwać wzroku od jej zielonej sukni. Matt uniósł brew i szybko zerknął w odległy kąt pokoju.

– Przepraszam na chwilę – powiedział grzecznie.

– Muszę porozmawiać z Justinem Ballengerem o inwentarzu. Zaraz wracam, Kitty.

Mrugnął do niej i skinął głową doktorowi Morrisowi, zanim odszedł ku braciom Ballengerom, którzy stali w kącie wraz z żonami.

– Jeśli przyszedłeś tu dla mnie, nie musiałeś się fatygować – powiedziała do Drew Kitty. Nie czuła do niego urazy. Nic nie mógł poradzić na to, że wciąż kochał zmarłą żonę. – Matt na pewno odwiezie mnie do domu.

Doktor Morris zdawał się zupełnie nie pasować do tego miejsca, mimo smokingu. Trzymał ręce w kieszeniach, a na jego twarzy widniał źle skrywany gniew.

– Chcesz się czegoś napić? – spytała, kiedy wciąż milczał. Rozejrzała się wokół i szepnęła: – Ludzie się na nas gapią.

– Gapią się na ciebie w tej sukience – odparł cicho. – Wyglądasz oszałamiająco. Na pewno Matt już ci to mówił.

– Niezupełnie. Ale przynajmniej się do mnie uśmiecha.

– A mnie nie jest zbyt wesoło – oznajmił.

– Wcale nie chcę tu być.

Serce ścisnęło się jej w piersi.

– Rozumiem. Masz za sobą ciężki dzień. Może pójdziesz do domu? Nie musisz dla mnie zostawać, naprawdę.

– Chyba faktycznie pójdę – mruknął półgłosem, obserwując powracającego Matta. – Najwyraźniej jestem zbędny.

Matt dołączył do nich i wziął Kitty za rękę.

– Fajnie, że przyszedłeś, Drew – stwierdził wesoło. – Przyprowadziłeś kogoś?

Drew zerknął na Kitty, która wbiła spojrzenie w podłogę.

– Nie – odparł krótko.

– Nie jestem zdziwiony. Nigdy nie przyprowadzasz. Ale dobrze, że zaczęłaś wreszcie wychodzić do ludzi. Człowiek nie może ciągle żyć przeszłością.

– Uśmiechnął się ze smutkiem. – Wiem, co mówię.

Kitty uniosła wzrok i poczuła, że przyjacielski,

pocziwy Matt, którego dobrze znała, stał się kimś innym, kimś, kto poznał ból i smutek.

– Zatańczmy – powiedział do niej. – Chyba że

**190**

*Diana Palmer*

chciałabyś jeszcze porozmawiać z Drew – dodał z uśmiechem.

– Nie – odparła szybko. – Nie muszę. Jak tam ten nagły wypadek?

– To nic groźnego – wyjaśnił Drew. – Ale chyba wpadnę do szpitala sprawdzić, co u pacjenta.

Nie zamierzał ujawniać, że „nagły wypadek” to jedynie szew w zranionym palcu.

– No to dobranoc – powiedziała dziarsko Kitty, usiłując ukryć swoje nie najlepsze samopoczucie.

Drew patrzył, jak odchodzi z Mattem Caldwellem. Trzymali się za ręce.

Guy Fenton stał obok urodziwej brunetki przy

stole z przekąskami. Przywitał się z Mattem i Kitty, gwizdząc z podziwem na widok dziewczyny. Drew

zaklął pod nosem, odwrócił się i wyszedł z budynku ośrodka sportowego.

– Popatrz tylko – mruknęła Lou Coltrain do  
męża. – Chyba jeszcze nigdy Drew nie był taki  
nieprzyjemny.

– Po co w ogóle się fatygował? – spytał ze  
zdumieniem Jebediah. – Przecież nie chciał przyjść.

Przez niego Kitty czuje się jeszcze gorzej. – Zerknął  
na jej poważną twarz. Cała wesołość dziewczyny  
zniknęła po wejściu Drew. – Kitty robi dobrą minę  
do złej gry.

– Biedactwo. – Lou pokręciła głową. – Pewnie  
przez resztę wieczoru będzie walczyła ze łzami...

Coś podobnego!

Znieruchomiała na widok doktora Morrisa, który  
nagle wrócił do budynku.

– A jednak cuda się zdarzają. – Jebediah wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Kitty martwym wzrokiem wpatrywała się w swój poncz, podczas gdy Matt i Guy prowadzili rozmowę o swoich krewnych.

Zanim zdołała się zorientować, co się dzieje, ktoś wyjął jej z ręki szklankę z ponczem i postawił na stole. Ujrzała przed sobą Drew, który prowadził ją na parkiet.

Przytulił ją do siebie i ruszyli w rytm lekkiej, uwodzicielskiej ballady Julio Iglesiasa. Serce Kitty biło jak oszalałe. Drew mocno ścisnął jej dłoń. Poruszał się zręcznie i płynnie.

– Tańczysz jak baletnica – wyszeptał jej do ucha.

Zadrzała. Jej wszystkie marzenia spełniły się jednego wieczoru! To wystarczyło, żeby odebrało jej mowę. Drew wrócił. Wrócił!

Przytulił ją mocniej. Nie wiedział, że jest aż tak zaborczy względem Kitty, dopóki nie zobaczył, jak Matt trzyma ją za rękę. Chciał rozerwać go na strzępy. Dziwne, jak na człowieka, który brzydzi się przemocą.

Ładnie pachniała, lekkimi, kwiatowymi perfumami. I swobodnie oddychała, o dziwo wcale dziś nie rzeziła.

– Dobrze tańczysz – westchnęła.

– Kiedyś to uwielbiałem. Od lat nie tańczyłem.  
– Poglaskał ją po plecach. – Wrócisz ze mną do domu. Chociaż cię nie przyprowadziłem, jesteś moja na resztę wieczoru. Nie wyjdiesz z tego budynku z Mattem Caldwellem i już. Nawet jeśli Matt tańczy lepiej ode mnie.

192

*Diana Palmer*

Jej serce podskoczyło. Oparła czoło o wgłębienie na szyi Drew i znów zadrżała. Drew jęknął cicho.

Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem tak się czuł. To musiało być tuż po tym, jak poznał Eve. Znów był chłopcem. Znów tęsknił i marzył.

Jego wargi musnęły ucho dziewczyny.

– Miałem rację – wyszeptał niskim głosem.

– Przepięknie ci w zieleni. Perfumy ci nie szkodzą?

– Tylko... trochę – zdołała wykrztusić drżącym głosem. Jego bliskość przyprawiała ją o zawrót głowy. – Niektóre z obecnych tutaj pań użyły perfum na bazie piżma i trochę... ciężko mi oddychać. – Zakaszłała spazmatycznie.

Zatrzymał się raptownie na środku parkietu.

– Gdzie twój inhalator? – zapytał.

Otworzyła torebkę w poszukiwaniu lekarstwa.

Potrząsnęła inhalatorem i z grymasem na twarzy



uświadomiła sobie, że jest niemal pusty.

– Nigdy nie sprawdzasz tego cholerstwa? – mruknął Drew. – To niebezpieczne, Kitty.

– Chyba mam jeszcze jeden w domu. Nic mi nie będzie.

– Torbę zostawiłem w aucie. Jeśli poczujesz się gorzej, dam ci epinefrynę, żeby zapobiec atakowi, albo zawiozę cię na oddział nagłych wypadków. Nie bądź taka lekkomyślna.

– Za bardzo przejęłam się balem – odparła, próbując się bronić.

Drew odetchnął głęboko.

– Ja też – stwierdził. – A ten wypadek był prawdziwy, to nie była wymówka, wcale nie próbo-

wałem się wykręcić – dodał. – Chodziło o syna

Adamsów, tego z mukowiscydozą. Zranił się w palec. Wiesz, jaka jest jego matka.

– Tak, wiem, biedactwo. – Uśmiechnęła się, zadowolona, że jednak nie wystawił jej do wiatru.

– Myślisz, że szukałem pretekstu, żeby cię spławić? – Uważnie popatrzył jej w oczy. – Nie.

Naprawdę chciałem się z tobą spotkać.

– Zamierzałeś oddać mnie Mattowi.

– Ale tylko na samym początku – przyznał niechętnie.

– Dlaczego wróciłeś?

– Kiedy się dowiem, nie omieszkam cię poinformować. Tańcz.

Posłuchała i tańczyli ze sobą przez cały wieczór.

Potem Drew jechał za nią aż na parking przed jej domem. Tam wysiadł i odprowadził ją pod same drzwi jej mieszkania.

– Idziesz jutro do kościoła? – Najwyraźniej nie śpieszył się do domu.

– Chyba tak – odparła

– Podjadę po ciebie o wpół do jedenastej, jeśli nic mi nie wypadnie. Wrazie czego zadzwonię.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Coś się zmieniło. Nie umiała powiedzieć co, ale zdecydowanie teraz było inaczej.

Drew westchnął i ujął jej twarz w dłonie.

– Nie chcę cię zostawiać – wyszeptał.

Pocałował ją, najpierw delikatnie, a potem głęboko, powoli, tak że przywarła do niego i jęknęła.

Po chwili oderwał się od niej.

**194**

*Diana Palmer*

– Po kościele urządzimy sobie piknik. Coś przygotuję, pojedziemy po to po mszy.

– Będę musiała się przebrać.

– Ja też. – Pocałował jej powieki. – Mam nadzieję, że nie będzie padało.

– Oby nie – wyszeptała.

– Do zobaczenia rano. No, idź już i dobrze zamknij drzwi – dodał stanowczym tonem.

Kitty prawie wcale nie spała w nocy. Jej serce waliło jak młotem, gdy myślała o tańcu z Drew.

Było tak, jak to sobie wymarzyła.

Rano podjechał punktualnie, by zawieźć ją do

kościółka. Siedzieli obok siebie, niemal nieświadomi ciekawskich spojrzeń, i korzystali z jednego śpiewnika. Po mszy trzymali się za ręce w drodze do

mercedesa.

Drew podrzucił Kitty do jej mieszkania, by mogła przebrać się w coś swobodnego, po czym przyjechał po nią po półgodzinie, sam też przebrany, niosąc duży koszyk z jedzeniem.

Pojechali na brzeg rzeki, gdzie ustawiono mały kamienny stół i ławy. Tam Drew rozłożył ceratę i postawił na niej koszyk z jedzeniem.

– Dawno tego nie robiłam – stwierdziła roz-

bawiona Kitty. Wletniej biało-żółtej sukience i sandałach wyglądała bardzo świeżo i dziewczęco.

Drew patrzył na nią z prawdziwą przyjemnością.

Była taka młoda, ładna i seksowna w tym wydekol-towanym stroju.

On miał na sobie dzinsowe spodnie i zieloną

sportową koszulę. Wydawał się młodszy i o wiele bardziej zrelaksowany niż w pracy. Gdy wypakowywał jedzenie, Kitty zerknęła na jego dłoń i zrozumiała, że długa droga przed nimi. Na jego serdecznym palcu pobłyskiwała obrączka. Nigdy jej nie zdejmował. Oczywiście, to był dopiero początek ich romansu, a Kitty czuła się dzisiaj większą optymistką niż kiedykolwiek, więc się nie przejęła tym.

Po zimnym lunchu Drew z westchnieniem wyciągnął się na trawie. Otworzył jedno oko, gdy Kitty usiłowała stłumić kaszel.

– Chyba wzięłaś inhalator?

Pokiwała głową.

– Grzeczna dziewczynka. – Uśmiechnął się.

Położyła się obok niego, w milczeniu podziwiając piękno tego zakątka.

– Wolna niedziela – mruknął sennie. – Od lat nie miałem wolnej niedzieli.

– Założę się, że nie chciałeś mieć.

– Fakt, nie chciałem. – Przekręcił się na brzuch i popatrzył na nią. – Ostatnio zapragnąłem wielu rzeczy, bez których, jak sądziłem, umiem się obyć.

Chodź tutaj, Kitty.

Mijały długie minuty, a oni cały czas wymieniali pocałunki, początkowo delikatne, potem coraz gwał-

towniejsze. Wkońcu oderwali się od siebie, walcząc o oddech.

– Moglibyśmy to robić w każdą niedzielę – mruk-

nął z zamkniętymi oczami. – Właściwie wystarczy,

jeśli będę miał dyżur tylko w jedną niedzielę w mie-siącu. – Uśmiechnął się z zadowoleniem i wes-

**196**

*Diana Palmer*

tchnął. – Do szczęścia brakuje nam tylko tupotu

dziecięcych nóżek, prawda, Eve?

Eve?

Kitty zamarła. Czuła, że zgasła w niej ostatnia

iskierka nadziei.

Drew zaklął pod nosem. Sam się zdumiał, że

wypowiedział imię żony, gdyż zdawał sobie spra-

wę, że trzyma w ramionach Kitty. Pomyślał, że

trudno się pozbyć starych nawyków.

Niestety, jego żal był spóźniony. Kitty już zdąży-

ła wstać i właśnie wrzucała rzeczy do koszyka.

– Nie chciałem tego powiedzieć – szepnął ze

smutkiem w głosie, gdy siedzieli już w samochodzie.

– Wiem. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła

się z trudem. – Wciąż jest za wcześnie, prawda?

Popatrzył na nią bezradnie, na próżno szukając

słów, które naprawiłyby szkodę.

– To nic – szepnęła. Wjej oczach widać było

rozpacz, choć próbowała mówić lekkim tonem.

– Możemy jechać? Dziś wieczorem jest mój ulubiony serial, nie chciałabym go przegapić. Dobrze?

– Dobrze.

Odwiózł ją do domu. Nie wiedząc, jak przeprosić Kitty, zostawił dziewczynę pod drzwiami jej mieszkania i odszedł bez słowa.

Płakała bardzo długo, aż w końcu zasnęła. Była tak zestresowana, że rano zapomniała wziąć lekarstwo. Poza tym znowu poszła na piechotę do pracy. Po drodze minęła wielki trawnik, który właśnie koszone. Tuż po wejściu do kliniki runęła na

podłogę, kaszłąc tak gwałtownie, jakby miała wypluć sobie płuca.

Ledwie była świadoma tego, że Drew klęczy obok niej i wydaje jakieś polecenia siostrze Turner.

– Trzymaj się, skarbie – wyszeptał do ucha

Kitty. – Trzymaj się. Wszystko będzie dobrze. Tylko nie panikuj.

Siostra Turner pomyślała, że to raczej on potrzebuje tych zapewnień. Kiedy Drew wybiegł z kliniki z Kitty w ramionach, pielęgniarka zadzwoniła na oddział nagłych wypadków, informując lekarzy,

że jedzie do nich doktor Morris z pacjentką. Wnioskując z jego zachowania, uznała, że raczej nie będzie w stanie zapanować nad sytuacją.

Gdy szalejący z niepokoju Drew wcisnął hamulec

pod szpitalem, pielęgniarka i lekarz dyżurny wypadli z budynku z noszami i chwilę później Kitty była już bezpieczna, przyjmując środek rozszerzający oskrzela.

Drew klął głośno, a personel szpitala przyglądał

mu się z szeroko otwartymi oczami ze zdumienia.

Z jednej strony Kitty pochlebiało, że lekarz tak się o nią troszczy, z drugiej wolałaby, żeby zachowywał się nieco mniej demonstracyjnie. Pomyślała, że cały szpital będzie miał o czym plotkować.

Kiedy mogła już w miarę swobodnie oddychać,

usiłowała się wytłumaczyć.

– Kosili... trawnik, a ja nie miałam... maski

– wykrztusiła, zanim nałożono jej maskę, by wdy-



chała resztę środka rozszerzającego oskrzela.

– Po co w ogóle poszłaś piechotą do pracy?

– spytał zimno. – Kiedy brałaś lekarstwo?

**198**

*Diana Palmer*

– Zamierzałam... – Skrzywiła się.

– Boże, chroń nas przed takimi idiotkami!

– wrzasnął. Zaczął chodzić nerwowo po pomiesz-

czeniu. Spojrzał ze złością na zegarek. – Pacjenci już się pewnie biją w poczekalni.

– No to wracaj do kliniki – warknęła.

– Pójdę, kiedy będzie mi się podobało.

Zamilkła, była zbyt wyczerpana, by się z nim kłócić.

Być może Drew zapomniał, co powiedział wczoraj,

ona jednak dobrze to pamiętała. Nazwał ją imieniem zmarłej żony. Nigdy nie zdołaliby się z tym uporać, choć nie miała już wątpliwości, że mu na niej zależy.

Teraz stał nad nią i łypał wściekle, aż w końcu

mogła się podnieść i wypełnić stosowne dokumen-

ty. Zostawił ją na chwilę, by odwiedzić pacjenta,

którego przyjmował tu w sobotę. Kiedy wychodzili,

milczał. Pomógł Kitty wsiąść do auta i pojechali

prosto do apteki. Na szczęście było pusto i dziew-

czyna bez problemu kupiła inhalator. Pokazała mu

go, gdy wsiadała do samochodu.

– Mimo wszystko pamiętaj, że to moje płuca

– burknęła.

– Ale pracują dla mnie – stwierdził. – Od teraz

nie zapominaj o lekarstwach.

– Tak jest.

Zawiózł ją do kliniki i odprowadził aż do jej biurka, idąc przez poczekalnię pełną zdumionych pacjentów.

– To jej wina. – Wskazał na Kitty. – Zapomniała

wziąć lekarstwo i miała ciężki atak astmy. Wszyscy będziemy siedzieli tu do północy, bo ona nie potrafi o siebie zadbać!

Wpadł do gabinetu, trzaskając drzwiami, a rozbawieni pacjenci i zażenowana recepcjonistka patrzyli za nim z osłupieniem.

Przez cały tydzień Drew był lodowaty i zupełnie niedostępny. Wpiątkowe popołudnie przyprowadził swoich teściów i przedstawił im Kitty.

– Spędzą ze mną cały weekend. Idziemy na ryby – oznajmił z mściwym błyskiem w oku. – Jesteśmy sobie bardzo bliscy.

– Tak, wiem – odparła łagodnie Kitty i z uśmiechem przywitała się z teściami Drew.

Najwyraźniej to go jeszcze bardziej rozzłościło.

Niemal wypchnął starszych państwa za drzwi i zgromił Kitty spojrzeniem.

– Dziwnie się zachowuje – zauważyła siostra Turner, gdy zamykały klinikę. – Rany boskie, nie przyprowadzał ich tutaj od pięciu albo i więcej lat.

Wiem, że spędza z nimi pierwszy dzień świąt, ale przez resztę Bożego Narodzenia zazwyczaj siedzi w hotelu i ogląda telewizję. Nie wraca do domu, bo chce, by wszyscy myśleli, że dobrze się bawi. Oprócz Eve i wędkowania nie ma z tymi ludźmi nic wspólnego. – Pokręciła głową. – I w ogóle dziwnie

się zachowuje. Myślałam, że będę musiała wezwać do niego karetkę tamtego ranka, kiedy tu wszedł i zobaczył cię na podłodze. Zazwyczaj nic nie jest w stanie nim wstrząsnąć. Nic... – Pewnie boi się moich ataków astmy – zasugerowała niepewnie Kitty. – O nie. Wogóle nie mogę go zrozumieć. – Popatrzyła na Kitty. – Może się zakochał?

**200**

*Diana Palmer*

– Jeśli tak, to żal mi jego wybranki – stwierdziła Kitty. – Nigdy nie zdoła wygrać z jego pięknym duchem.

– Kto wie. – Siostra Turner uśmiechnęła się do niej i poszła do domu.

Kitty znienacka została zaproszona na niedzielny obiad z Drew i jego teściami, których przyprowadził ze sobą do kościoła. Postanowiła jednak, że inaczej spędzi ten dzień. Wybierała się do kina z Guyem Fentonem. Zgodziła się na tę randkę trochę wbrew sobie. Guy obiecał, że nie zajmie się inną dziewczyną podczas seansu, a poza tym bardzo chciała zobaczyć ten film. Reakcja Drew na jej odmowę trochę ją zaniepokoiła. Wściekł się i nie potrafił tego ukryć.

Kiedy usiadła w kinowym fotelu, Guy otoczył ją ramieniem.

– Zdziwiłem się, że przyjęłaś zaproszenie – mruknął cicho. – Ostatnim razem nie byłem dla ciebie zbyt miły.

– Chciałam obejrzeć ten film – odparła z uśmiechem.

– Ja też lubię science fiction.

Film był niezły, ale Kitty oglądała go jednym okiem. Cały czas nie mogła przestać myśleć o tym, że Drew demonstracyjnie ją lekceważy. Sprowadził teściów po to, by trzymała się od niego z daleka.

Naprawdę musiał marzyć o tym, żeby ją spławić.

Zrobiło jej się smutno na myśl, że tak mu na niej nie zależy. Wiedziała, że do końca życia nie zapomni tamtego incydentu nad rzeką.

Guy odprowadził ją do domu i pocałował, ale od razu zrozumiał, że Kitty nic do niego nie czuje.

Żartobliwie dotknął jej nosa.

– Za każdym razem, gdy będziesz czuła się zagubiona, możemy iść do kina. Nie szukam żony ani dziewczyny na stałe, ale bardzo cię lubię.

– Dziękuję – odparła. – Ja ciebie też.

– Nie rozpaczaj zbyt wiele z powodu twojego dok-

torka – poradził jej cicho i uśmiechnął się kącikiem ust. – Nic by z tego nie wyszło. Wszyscy wiedzą, jak bardzo kochał żonę. Nie możesz konkurować ze

wspomnieniem o idealnej kobiecie.

– Wiem o tym.

– Jasne, że tak. Nie jesteś głupia. – Pocałował ją w policzek. – Śpij dobrze, mała.

– Dzięki za kino.

– Nie ma za co. Następnym razem najpierw pójdziemy na pizzę, a dopiero potem na film.

– Bardzo chętnie. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Zadzwoń do ciebie.

Pomachał jej i zbiegł ze schodów. Kitty pomyś-

łała, że Guy jest dla niej wielką zagadką. Żałowała, że nie oddała serca komuś takiemu jak on albo Matt

– komuś, kto może by ją zechciał.

Weszła do mieszkania i usiadła na sofie. Musiała

coś zrobić. Nie mogła codziennie widywać Drew ze świadomością, że mu wcale na niej nie zależy.

## **Rozdział szósty**

Następnego ranka Drew głośno opowiadał o swoich gościach i o tym, jak wielką przyjemność sprawia mu ich towarzystwo. Nikt nie wiedział, że kłamie jak z nut.

Zdumiewając wszystkich, a już najbardziej sie-

bie, Kitty napisała wypowiedzenie i położyła je na biurku lekarza. Popatrzył na nią uważnie, zanim je przeczytał.

– Chcesz odejść? – spytał po chwili.

Wjego twarzy nie było nic, co by wskazywało, że robi to na nim jakiegokolwiek wrażenie, więc powiedziała:

– Owszem, chcę.

– Dobrze. Zadzwoń od razu do agencji i spy-

tam, kiedy przyślą kogoś na twoje miejsce. Jeśli od razu znajdą chętną, możesz odejść od jutra. Napiszę ci referencje i dostaniesz dwutygodniową odprawę.

Nie kłóciła się z nim. Nie miała już sił na ciągłe nieporozumienia.

– Dziękuję – odparła i wyszła.

Drew wpatrywał się w zamknięte drzwi. Powinien czuć ulgę, był już bezpieczny. Mógł żyć prze-

szłością, wciąż kochać swojego ducha. Kitty, która tak go niepokoiła, miała odejść na zawsze. Dlaczego zatem wcale nie było mu lżej? Oparł głowę na

dłoniach i zamknął oczy. Jeśli w ogóle coś czuł, to żal. Tym razem jednak nie za swoją zmarłą żoną.

Agencja poszła mu na rękę, nowa recepcjonistka

miała się zjawić już jutrzejszego ranka. Kitty po

południu uprzątnęła biurko, gotowa odejść pod

koniec dnia.

Siostrze Turner było przykro z powodu jej odej-

ścia, ale bez trudu domyśliła się przyczyny.

– Przykro mi, że wam nie wyszło – powiedziała.

– Będę za tobą tęskniła.

– A ja za tobą. – Kitty włożyła sweter. – On nie

jada śniadań, ale moja następczyni mogłaby od

czasu do czasu podrzucić mu bułkę albo rogalik. Zje, jeśli podsunie mu się to pod nos, wraz z kawą.

– Zauważyłam – odparła siostra Turner.

– To tylko taka sugestia.

Pielęgniarka uścisnęła Kitty.

– Dokąd pójdziesz? – zapytała.

– Dla dobrej recepcjonistki zawsze znajdzie się

praca – odparła Kitty.



– Nie pożegnasz się z nim? – Siostra Turner

wskazała głową zamknięte drzwi.

Kitty zawahała się na moment.

– Nie – odrzekła krótko i bez słowa wyszła z kliniki.

**204**

*Diana Palmer*

Dwa tygodnie później popijała kawę, kiedy jej nowy szef, Matt Caldwell, zajrzał do sekretariatu.

– Skopiowałaś tę dyskietkę? – spytał.

Podawała mu ją z uśmiechem.

– Dzięki Bogu, że znudziło ci się bycie recepcjo-

nistką akurat wtedy, gdy moja sekretarka poszła na urlop macierzyński. Ocaliłaś mi życie. Chcę pokazać te dane potencjalnemu kupcowi. – Wsunął dyskietkę do kieszeni. – Prawdziwy z ciebie skarb, dziew-

czyno. Nie mam pojęcia, co ja bym bez siebie zrobił.

– Sądzę, że dałbyś sobie radę – zauważyła. – Pew-

nie połowa kobiet w Jacobsville przybiegłaby tutaj, gdybyś zamieścił ogłoszenie, że szukasz sekretarki.

– Dlatego właśnie go nie zamieściłem – mruknął.

– Świetna ze mnie partia, nie uważasz? Przystojny, bogaty, wykształcony i czarujący, a do tego nadzwyczaj skromny. – Ukłonił się jej.

– Tak, przede wszystkim rzuca się w oczy ta skromność.

– Idź wcześniej do domu, jeśli chcesz. – Otworzył drzwi. – Dziś już nie wrócę do pracy.

– Posiedzę jeszcze, żeby odbierać telefony.

– A co zrobisz potem, gdy wróci z urlopu moja sekretarka? – Zmarszczył brwi. – Może mógłbym znaleźć ci jakąś robotę...

– Dziękuję, ale mam już umówione dwie rozmowy w sprawie pracy w Victorii – przerwała mu.

Matt się skrzywił i pokręcił głową.

– Posłuchaj, dziecko, nie musisz wyjeżdżać z miasta tylko dlatego, że Drew Morris żyje przeszłością.

– Owszem, muszę – odparła. – Nie zamierzam wpadać w depresję za każdym razem, kiedy go zobaczę. Będę szczęśliwsza w Victorii. Poznam kogoś, wyjdę za niego i urodzę mu pięcioro dzieci.

– Jeśli chcesz, weź ślub ze mną – zaproponował.

– Nie jestem nikim zainteresowany. Przynajmniej będę miał pewność, że nie wychodzisz za mnie dla pieniędzy.

– Dziękuję, Matt, ale wątpię, żeby którekolwiek z nas było usatysfakcjonowane małżeństwem bez miłości. – Uśmiechnęła się ciepło.

– Czemu nie? – Wzruszył ramionami i westchnął.

Znając jego przeszłość, domyśliła się, że również on by na to nie przystał, ale nic nie powiedziała.

– Doceniam twoją propozycję – oświadczyła poważnie. – Będę o niej pamiętała i zamierzam triumfować w duchu za każdym razem, gdy jakaś lokalna piękność zacznie się do ciebie wdzięczyc.

– Zobaczymy. – Rzucił jej szelmowskie spojrzenie.

Po jego wyjściu uprzątnęła dokumenty, a potem

siedziała nieruchomo, wpatrując się w wyłączony monitor. Czuła się fatalnie. Właściwie nie oczekiwała, że Drew zadzwoni – i nie zadzwonił – ale nie traciła nadziei, że jednak za nią tęsknił. Niestety, nic na to nie wskazywało. Pewnie był szczęśliwy, że nikt już nie odrywa go od wspomnień o jego ukochanej Eve.

Trochę jej było wstyd za siebie, z powodu

**206**

***Diana Palmer***

zazdrości o byłą żonę Drew. Czuła, że jej nigdy by tak nie pokochał. Nieodwzajemniona miłość to ciężki orzech do zgryzienia.

Zastanawiała się, jak doszło do tej sytuacji.

Nawet po śmierci ojca nie była tak przygnębiona

i nieszczęśliwa. Gdyby chociaż potrafiła wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu w związku ze zmianą

pracy. Pomyślała, że może znajdzie w Victorii coś, co podziała jak balsam na jej zranioną duszę.

Najgorsze było to, że w Jacobsville wciąż od

czasu do czasu wpadała na Drew. Choć miasteczko

nie należało do najmniejszych, funkcjonowały tu

jedynie dwa banki, a ona i Drew trzymali swoje

oszczędności w tym samym. Spotkała go na drugi

dzień po tym, jak złożyła rezygnację. Był uprzejmy, ale zachowywał się tak, jakby ledwie ją znał.

Następnym razem wpadli na siebie w spożywczym,

ale Drew udawał, że nie widzi Kitty. To ją naprawdę zabolalo. Uznała, że musi jak najszybciej wyjechać z miasteczka.

Niestety, chwilowo nikt w Victorii nie potrzebo-

wał sekretarki ani recepcjonistki, więc w desperacji Kitty zatrudniła się jako kelnerka w nowo otwartej kafejce.

Nie mówiła Mattowi, gdzie będzie pracować.

Podziękowała mu jedynie za czasowe zatrudnienie

i spakowała swoje rzeczy.

Było jasne, że prędzej czy później Drew i Matt

wpadną na siebie.

– Koszmarnie wyglądasz – zauważył szczerze

Matt na widok zmęczonego i jak zwykle zirytowanego lekarza.

– Całą noc siedziałem przy pacjencie – wymamrotał Drew. Popatrzył uważnie na Matta. – Wiem,

że Kitty dla ciebie pracuje. Pilnujesz, żeby brała lekarstwa? Nie pada, więc w tym tygodniu stężenie pyłków znacznie wzrośnie.

– Kitty tu nie ma – odparł z lekkim zdziwieniem

Matt. – Wzeszłym tygodniu dostała pracę w Victorii i tam się przeniosła.

– Co takiego?

Zaszokowany wyraz twarzy lekarza mówił sam za siebie.

– Potrzebowałem jej pomocy jedynie na krótki

czas – wyjaśnił Matt. – Muszę mieć kogoś na stałe, a Kitty nie chciała zostać w Jacobsville.

– Dlaczego? Przecież się tutaj urodziła.

– Nie pytaj. Nie mogła się doczekać, kiedy wyje-

dzie. – Matt dobrze wiedział, dlaczego Drew tak

kiepsko wygląda. – To miła dziewczyna. Poprosiłem ją, żeby za mnie wyszła.

Drew poblądł i otworzył szeroko oczy.

– I co ona na to? – spytał, dobrze wiedząc, jaka

jest wartość Matta na małżeńskim rynku.

– Odmówiła – prychnął Matt. – Chyba nie

jestem aż tak atrakcyjny, jak sądziłem.

Drew wyraźnie się odprężył. Wsunął ręce do kieszeni.

– Kitty nie zna nikogo w Victorii, prawda?

Z całą pewnością nie ma tam rodziny.

**208**

*Diana Palmer*

– Nic nie mówiła na ten temat – odparł szczerze

Matt. Zmrużył oczy, patrząc na doktora Morrisa.

– To taka miła i ładna dziewczyna, że nie będzie musiała długo czekać na mężczyznę. Zobaczysz, że

jakiś szczęściarz lada dzień poprosi ją o rękę. Będzie z niej cudowna żona i wspaniała matka. Szkoda, że

nie moich dzieci.

Drew wcale na niego nie patrzył. Był tak zazdros-

ny, że z trudem to ukrywał. Ostatnie tygodnie

okazały się wyjątkowo trudne. Gdziekolwiek spoj-

rzał, widział Kitty. Gdy ją zobaczył w sklepie

spożywczym, nie mógł się nawet do niej odezwać,

z obawy, że od razu domyśli się, jak bardzo mu jej brakuje.

– Na litość boską, naprawdę zamierzasz ją sobie

odpuścić? – spytał bez ogródek Matt.

– A niby dlaczego nie? – burknął doktor.

– Bo ją kochasz – oznajmił ze śmiertelną powagą

Matt.

Drew przez chwilę wyglądał tak, jakby nie mógł oddychać. Patrzył w oczy Matta, szukając w nich odpowiedzi, której nie mógł tam znaleźć.

– Nie wiedziałeś o tym? – dodał Matt.

Drew milczał, po czym nagle obrócił się na pięcie i odmaszerował.

Kochał ją? Kochał...

Gdy dotarł do samochodu, zamknął oczy. Dobry

Boże, oczywiście, że ją kochał! Niby dlaczego mart-wił się stanem jej zdrowia, upewniał, że wzięła lekarstwa, ciepło się ubrała, nie przemokła na deszczu? Oparł się o maskę auta. Kochał ją już od dawna,



ale nie chciał się do tego przyznać, bo byłby niełojalny wobec Eve.

Eve też kochał, ona jednak zmarła. I nagle do

niego dotarło, że Eve wcale by nie chciała, by żył tak jak teraz, samotny i zgorzkniały, myśląc o świecie, który przestał istnieć.

Eve miała dobre i czułe serce. Nigdy nie żądałaby

od niego, by po jej śmierci był jej wierny aż do chwili swojej śmierci. Jednak próbował być jej wierny, bo czuł taką potrzebę. Sam od siebie wymagał tej

wierności...

Uniósł głowę i rozejrzał się wokół. Wparku po

drugiej stronie ulicy biegały dzieci. Popatrzył na nie z tęsknotą. Pamiętał Kitty z małymi pacjentami na

kolanach, pamiętał wyraz jej twarzy, gdy patrzyła

na maluchy. Kitty uwielbiała dzieci, one ją również.

Przejechał dłonią po masce samochodu. Przecież

Kitty też go kochała. Widział to, czuł, jednak nie przyjmował tego do wiadomości, więc udawał, że

nic się nie dzieje. A teraz nagle stało się to najważ-

niejsze w jego życiu. Kitty go kochała. On kochał

ją... To dlaczego, na litość boską, ciągle tu tkwił?

Wsiadł do auta i od razu zadzwonił do kliniki, by

powiedzieć recepcjonistce, że ma pilną sprawę do

załatwienia i dziś już się nie zjawi. Trzeba więc na nowo poumawiać oczekujących pacjentów, trudno,

on na to nic nie może poradzić...

Przerwał połączenie i ruszył do Victorii.

Wytropił ją dopiero po kilku godzinach. Wiktor

była sporym miasteczkiem i znajdowało się w niej

210

### *Diana Palmer*

kilka agencji pośrednictwa pracy, lecz w żadnej

z nich Kitty nie zostawiła danych. Znalazł ją

przypadkiem, kiedy zmęczenie zmusiło go do wstą-

pienia na kawę do jednej z okolicznych kafejek.

Od razu ją zobaczył. Stała przy stoliku, trzy-

mając w rękach talerz, na którym znajdował się

kurczak w sosie i puree z ziemniaków.

Drew bez wahania podszedł do niej i przyklęknął

na jedno kolano. Wziął dziewczynę za rękę, patrząc na jej zaskoczoną twarz.

– Kitty Carson, czy wyjdiesz za mnie? – spytał

głośno.

To, co stało się po tych słowach, można było

– niestety! – przewidzieć. Kitty upuściła talerz,

a gęsty sos rozprysnął się na elegancki garnitur

lekarza.

– Och, Drew – wyszeptała i również opadła na

kolana, wprost w puree i sos. Objęła Drew za szyję i pocałowała go z całej siły.

– Wydajesz się zmęczona. Nie bierzesz le-

karstw? – zapytał z troską. – Czy ty w ogóle

dojadasz? Strasznie zeszczuplałaś.

– Ty również – wyszeptała drżącym głosem.

– I też jesteś zmęczony. Wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spał...

– Mało śpiam, odkąd odeszłaś. Potrzebuję cię.

Kocham cię. Chcę, żebyś została moją żoną. Chcę

mieć z tobą dzieci...

Zamknęła mu usta pocałunkiem. Przywarli do

siebie, nieświadomi bałaganu, jaki narobili, ani roz-bawionych spojrzeń właściciela kawiarni. Dla niego

był to zabawny incydent, który urozmaicał codzienną rutynę.

Wkońcu Drew zdołał wstać i pociągnął za sobą zarumienioną, promienną Kitty. Popatrzył na właściciela kawiarni z zawstydzonym uśmiechem.

– Przepraszam za ten bałagan – powiedział. – Ale

tak się spieszyłem... Pozwoliłem jej odejść... i nie mogłem jej odnaleźć... więc, kiedy ją tu zobaczyłem, to... Przepraszam, taki wstyd...

– Wstyd? – zachichotał szef Kitty. – No, to

uciekajcie stąd, oboje, i najlepsze życzenia na nową drogę życia. Obyście mieli dziesięcioro dzieci!

– Spróbujemy! – odparła z zapałem Kitty i ujrzała, jak jej przyszyły mąż oblewa się rumieńcem.

– I bardzo dziękujemy za życzenia – dodała z promiennym uśmiechem.

Niemal wszyscy mieszkańcy Jacobsville stawili się na ślubie. Było to najważniejsze wydarzenie towarzyskie tego lata. Panna młoda wyglądała przepięknie w białej koronkowej sukni. Drew włożył frak i promieniał z dumy, gdy składali słowa przysięgi i wsuwali sobie nawzajem obrączkę na palec.

Potem, gdy przenosił pannę młodą przez próg swojego mieszkania, od razu zauważyła, że ni-

gdzie nie ma zdjęć Eve, choć wcześniej było ich tu pełno.

Drew popatrzył w oczy Kitty i pocałował ją

delikatnie.

– Nigdy nie zapomnę przeszłości – powiedział

cicho. – Ale obiecuję ci, że już nie będę nią żył.

**212**

*Diana Palmer*

Zacniemy razem nowe życie. Teraz ty jesteś moją

żoną i bardzo cię kocham.

– I ja cię kocham – wyszeptała wzruszona Kitty.

Uśmiechnęła się przez łzy. – Teraz, kiedy to już

jasne, może zechciałbyś mi pokazać, jak bardzo

mnie kochasz?

Roześmiał się serdecznie i natychmiast zaniósł ją

do sypialni.

– Mam nadzieję, że nie jesteś głodna – powie-

dział z zawadiackim uśmiechem. – Bo to trochę

potrwa.

I rzeczywiście potrwało.

# **JOBE DODD**

## **Rozdział pierwszy**

Sandy natychmiast zauważyła jego niechęć. Jobe

Dodd nie ukrywał zniecierpliwienia, kiedy stał przy jej biurku i udawał, że słucha tego, co miała mu do powiedzenia na temat komputerów.

– To ranczo mojego brata – oznajmiła z naciskiem, patrząc ze znużeniem na wysokiego, jasnowłosego zarządcę. – Skoro mówi, że musisz wreszcie unowocześnić księgowość, to może ją unowocześnisz, do diabła!

Wąskie, szare oczy mężczyzny załśniły z pogar-

dą. Sandy doskonale wiedziała, jakie zdanie o tych piekielnych maszynach i o niej samej ma Jobe. Może i brakowało mu akademickiego wykształcenia, ale zdecydowanie nadrabiał pewnością siebie.

– Słyszałeś, co mówiłam? Ted kazał nam to

zrobić – upierała się, zakładając za ucho niesforny kosmyk ciemnych włosów. Wciąż dochodziła do siebie po wyjątkowo męczącej grypie. Wtrakcie jej choroby żona Teda i jednocześnie najlepsza przyjaciółka Sandy, Coreen, troskliwie się nią zajęła.

**216**

*Diana Palmer*

Dzięki temu dziewczyna czuła się coraz lepiej. Czy też raczej czuła się coraz lepiej aż do tej chwili.

– Ted ma jeszcze jedno ranczo, w Victorii – po-

wiedział powoli Jobe. Miał na myśli ranczo, na

którym pracował, zanim Ted i Sandy przenieśli się

do dawnego domu rodziców w Jacobsville. – Może

będzie lepiej dla wszystkich, jeśli tam wrócę.

– Doskonały pomysł. Popracuj tam sobie, dopóki

Ted nie poprosi mnie o zmodernizowanie księgowości i na naszym drugim ranczu.

Jobe rzucił jej spojrzenie, które wyprowadziłoby z równowagi nawet świętego, a co dopiero niezbyt cierpliwą młodą kobietę.

– Powiem Tedowi, że proponujesz mu wszechstronną modernizację – mruknął.

Wfurii zacisnęła usta. Nie potrafiła strawić tego człowieka, prześladował ją mniej więcej od jej

piętnastych urodzin. Wkońcu uwolniła się od niego, wyjeżdżając do college'u, który ukończyła z doskonałymi ocenami. Potem znalazła sobie bardzo dobrą

pracę. Niestety, jego dokuczliwe żarty i zaczepki

wcale się nie skończyły, nadal nie przepuszczał

żadnej okazji, by ją sprowokować. Miał solidne

ogólne wykształcenie i skończony kurs gospodarki

hodowlanej, ale kompletnie nie znał się na sprzęcie elektronicznym – w przeciwieństwie do Sandy.

Strasznie mu to przeszkadzało, chociaż za żadne

skarby nie chciał się do tego przyznać.

– Działa ci na nerwy, że mam wyższe wykształ-

cenie, co? – wysyczała zjadliwie. – Przeszkadza ci, że kobieta rozumie coś, o czym ty nie masz pojęcia?

– Nie muszę znać się na komputerach – odparł

Jobe z wielką pewnością siebie. – Chyba że ty

zostaniesz specjalistką od genetyki. Pewnie następnym razem spróbujesz wepchnąć krowy do tego

ustrojstwa. – Ruchem głowy wskazał komputer

stojący na biurku.

– Szczerze mówiąc, tak właśnie zamierzałam

postąpić – powiedziała Sandy z zimnym uśmie-

chem. – Zamierzam wszczepić krowom komputero-

we czipy...

– Po moim trupie – przerwał jej natychmiast.

– Dzięki temu będziemy mogli zaoszczędzić

mnóstwo czasu przy chowie bydła – kontynuowała,

niezrażona.

– Sam doglądam chowu.

– Lepiej byś sobie radził z pomocą komputera

– zauważyła nie bez racji Sandy.

– Powiem ci, co możesz zrobić ze swoim kom-

puterem – oświadczył niebezpiecznie spokojnym

głosem.

Westchnęła i uniosła rękę do czoła. Wciąż była

niewiele osłabiona, a po kłótniach z Jobe'em zawsze

dopadały ją bóle głowy. Usiłowała go zbywać,



traktować jako niedogodność, ale przez Jobe'a jej

pobyty w domu Teda wiązały się z ciągłymi komplikacjami. W ostatnich miesiącach pod byle pretekstem

wykręcała się od wizyt u brata i bratowej, gdyż

narażało ją to na bliski kontakt z Jobe'em i nieuchronne konflikty. Potem przyszła grypa i Sandy już nie mogła dać sobie rady sama. Choć była dorosła,

wiedziała, że brat i bratowa troskliwie się nią zajmą.

**218**

*Diana Palmer*

Niestety, Ted uważał za rodzinę także i swojego

zarządcę, gdyż brata Sandy i ojca Jobe'a niegdyś

łączyły interesy. Obopólna niechęć Sandy i zarządcy rancza ani trochę nie przeszkadzała Tedowi. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że oboje są

zawodowcami i mimo tych animozji jakoś zdołają

ułożyć swoje stosunki. Jednak Sandy kosztowało to

mnóstwo wysiłku.

– Musisz nabrać trochę siły, zanim zaczniesz ze

mną walczyć – mruknął nieco łagodniej Jobe. – Jes-

teś bardzo osłabiona.

– Daj mi kij, to ci pokażę, jaka jestem osłabiona.

– Zgromiła go spojrzeniem błękitnych oczu. – Czy

Ted ci mówił, że musisz się nauczyć obsługi komputera i wprowadzania danych?

– Co takiego? – Teraz nie udawał, naprawdę był zaszokowany.

– Przecież wyjadę i nie będę mogła zajmować się

programowaniem – ciągnęła. – Musisz się nauczyć wprowadzania danych dotyczących stada i chowu, i czego tylko zechcesz.

Popatrzył na nią wściekłym wzrokiem.

– Żebyś się nie zdziwiła. Niczego nie będę się uczył! – wrzasnął. – Gdyby Pan Bóg chciał, żeby ludzie obsługiwali komputery, rodzilibyśmy się z klawiaturą.

– Czyżby? – Uśmiechnęła się do niego złośliwie.

Czuła, że tym razem ma nad nim przewagę, co

raczej jej się często nie zdarzało. – No cóż, tak czy owak Ted kazał ci się tego nauczyć i nie ma dyskusji.

Jobe uniósł brew.

– Nauczę się programowania, kiedy ty nauczysz się gotować, złotko – oświadczył.

– Umieję gotować! – Znowu spiorunowała go wzrokiem.

– Aha! – Teraz dobrze się bawił. Zdołał ją podejść. – Pamiętam, jak pomagałaś nam podczas grilla. – Popatrzył na nią kpiąco. – Pierwszy raz w życiu widziałem, żeby hodowcy bydła jedli ryby, bo nic innego nie było. I to ja musiałem je usmażyć.

– Przecież mięso wyszło mi całkiem przyzwoicie. Było chrupkie. Dobre danie z grilla musi być przypieczone.

– Ale nie czarne i w połowie spalone – zauważył.

– Potrafię gotować, smażyć, piec i grillować, kiedy mam na to ochotę! – podniosła głos Sandy.

– Widocznie tamtego dnia nie miałam.

Usłyszeli za sobą stłumiony śmiech. Sandy odwróciła się i ujrzała brata. Jego przedwcześnie posiwiałe włosy lśniły w jaskrawym słońcu.

Popatrzył na rozbawionego Jobe'a i wściekłą siostrę, a potem westchnął ciężko.

– Dawno temu walczyłem w Wietnamie – za-

uważył. – Zdumiewające, jak często sobie o tym ostatnio przypominam. I to wtedy, kiedy was widzę.

Sandy oblała się rumieńcem, ale nie zamierzała ustępować.

– Twój zarządca mówi, że chce pracować na ranchu w Victorii, żeby nie uczyć się obsługi komputera! – warknęła.

Jobe milczał, co jeszcze pogarszało sprawę.

**220**

*Diana Palmer*

Ted popatrzył na siostrę, a potem przeniósł spojrzenie na zarządcę.

– Musimy iść z postępem – powiedział. – Bóg wie, że opierałem się najdłużej jak tylko było można. Ale nawet Ballengerowie pogodzili się z nie-uchronnym, i to już dobrych kilka lat temu.

– Wszystko przez te ich dzieciaki – mruknął

Jobe. – Bracia nie chcą, żeby ich synowie umieli coś, o czym oni nie mają pojęcia.

– To możliwe. – Ted z zadumą pokiwał głową.

– Przecież nasz maluch ma zaledwie rok, a już dostał własny komputer.

– Bardzo praktyczne – oświadczyła Sandy z szerokim uśmiechem, bo to właśnie ona podarowała bratankowi, rocznemu Pryce'owi Reganowi kom-

puter dla maluchów.

– Jeśli małe dziecko umie sobie z tym poradzić,

ty też zdołasz – zapewnił Ted Jobe’a.

Zarządca uniósł jasną brew i wykrzywił usta.

– Nie lubię maszyn – mruknął.

– Tylko dlatego, że jeden jedyny raz prasa

do siana zahaczyła o twoją kurtkę... – zaczęła

Sandy.

– To cholerstwo niemal urwało mi rękę!

– Komputer tego nie robi, bez obaw.

Jobe zmrużył oczy.

– Tak mówią – westchnął. – Ale nie zaprzeczysz,

że małe dzieciaki korzystają z niego także po to,

żeby konstruować bomby.

– Absolutnie się z tobą zgadzam, że pewnych

treści nie wolno umieszczać w sieci – przytaknęła

# JOBÉ DODD

221

Sandy. – I przydałyby się jakieś programy zabezpieczające dla rodziców.

– Miło z twojej strony, że tym razem się nie

sprzeciwiasz – odparł Jobe. – Jednak moje dzieci

będą zbyt zajęte, żeby mieć czas na siedzenie przed komputerem z nosem w Internecie. Będą pracowały

przy bydle i uczyły się podchodzenia zwierzyny.

– Przez całą dobę? – spytała niewinnie. – A skąd

ty wytrzaśniesz takie pracowite dzieci? Kto ci je

urodzi? O ile pamiętam, żadna kobieta nigdy nie

była dla ciebie dość dobra!

– Na pewno nie będę miał tych pracowitych

dzieci z tobą – zgodził się z uprzejmym uśmiechem.

Sandy wstała gwałtownie z krzesła, lekko się

chwiejąc.

– No no. – Ted stanął pomiędzy nimi. – Mieliś-

my wprowadzać dane do komputera, a nie wszczy-

nać trzecią wojnę światową. – Popatrzył na oboje

uważnie i westchnął ciężko. – Chcę, żebyście przy-

najmniej spróbowali żyć w zgodzie. Musicie wspól-

nie nad tym popracować. To nic trudnego, napraw-

dę. Wystarczy odrobina dobrej woli. Jeśli ciągle

będziecie ze sobą walczyć, nigdy nie dobierzemy się do systemu...

– Ja bym raczej chciała dobrać się do tego faceta

– wymamrotała ponuro Sandy.

– Nie bądź wulgarna, dziewczyno – powiedział

Jobe wyniosłym tonem.

Uświadomiła sobie nagle, jak mogły zostać zrozumiane jej słowa, i jej twarz oblała się purpurowym rumieńcem.

**222**

*Diana Palmer*

Ted pokręcił głową.

– Wpędzicie mnie do grobu, oboje. – Patrzył na nich ze smutkiem. – Pragnę tylko unowocześnić ranczo, i tyle.

– Komputery to przekleństwo – oświadczył ponuro Jobe.

– No to masz pecha, bo kiedy Sandy albo ktoś inny uruchomi system, będziesz musiał się nauczyć korzystać z komputera. – Ted miał już dosyć tej rozmowy.

Kiedy Ted Regan używał tego tonu, nikt nie protestował. Nawet najwięksi twardziele milczeli.

Szerokie ramiona Jobe'a uniosły się i opadły. Zarządca nie powiedział ani słowa, tylko patrzył z

wściekłością na Sandy.

– Moja siostra jest w tym niezła – zapewnił go

Ted. – Lepsza niż inne znane mi osoby.

– Wobec tego niech ona się wszystkim zajmie.

Albo znajdź sobie kogoś innego na moje miejsce.

Przecież zarządców nie brakuje. – Jobe skinął głową Tedowi i ruszył przed siebie.

– Oszalałeś? Chyba nie odejdiesz! – wrzasnął

Ted.

Jobe obejrzał się przez ramię.

– I owszem. – Nawet nie zwolnił kroku.

– Wcałym Teksasie nie ma już rancza, na

którym nie używano by komputerów! – krzyknął

z rozpaczą Ted.

– Wobec tego pojedę do Nowego Meksyku, Ari-

zony albo Montany – spokojnie odpowiedział Jobe.

– Co z tobą, Jobe, boisz się, że jesteś za mało



# JOBE DODD

223

bystry, żeby się tego nauczyć? – spytała go słodkim głosem Sandy.

Jobe stanął jak wryty. Kiedy się odwrócił, bardzo

powoli, jego oczy lśniły niczym bryłki węgla.

– Coś ty powiedziała? – W jego głosie zabrzmia-

ła złowroga nuta.

Widziała już dorosłych mężczyzn, którzy wyco-

fywali się, kiedy tak wyglądał. Właśnie dlatego był

takim dobrym zarządcą. Nie musiał uciekać się do

fizycznej przemocy, jego przeciwnikom wystarcza-

ła świadomość, że jest gotów jej użyć. Jednak Sandy nie zamierzała się poddać. Choć czuła szacunek do

Jobe'a, w ogóle się go nie bała.

– Powiedziałam, że się boisz – odparła, patrząc

na niego wyzywająco.

– Pewnie, że mógłbym się nauczyć. – Położył

ręce na biodrach. – Po prostu nie chcę tego robić.

– Jasne. – Wzruszyła ramionami i odwróciła

głowę.

– Mógłbym!

W odpowiedzi raz jeszcze wzruszyła ramionami.

Policzki Jobe'a poczerwieniały. Ted z trudem

stłumił śmiech. Nikt nie potrafił zaleźć Jobe'owi za skórę tak jak Sandy. Ted był bardzo ciekaw, czy

któres z tej dwójki kiedykolwiek pomyślało o tym,  
że pod tą pozorną antypatią może kryć się coś więcej niż zwykły gniew.

– No dobra, spróbuję. – Jobe mówił teraz do

Teda, nie do Sandy. – Ale jeśli mi się to nie spodoba, odejdę.

– Nie ma sprawy – przytaknął Ted. – Myślę, że

224

*Diana Palmer*

przekonasz się do komputerów, kiedy odkryjesz, ile czasu dzięki nim zaoszczędzisz.

– Po co mi tyle wolnego? – Jobe popatrzył mu

w oczy.

– Chociażby po to, żebyś mógł przygotować

lepszy program hodowli – zasugerował Ted.

– I skończył rozmaite kursy, które zawsze cię

interesowały. Jeśli zechcesz, wyślę cię na konferen-cję dotyczącą najnowszych teorii w genetyce.  
Poza

tym wreszcie będziesz miał czas na naukę, może

nawet zrobisz dyplom z hodowli zwierząt.

Widział, że taka perspektywa jest niezwykle

kusząca dla Jobe'a. Zarządca zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Wkońcu skinął głową.

– Kiedy mamy zacząć?

– Kiedy Sandy dojdzie do siebie – odparł Ted.

– Jest jeszcze bardzo osłabiona po tej grypie. Chcę, żeby całkiem wyzdrowiała, zanim zabierze się  
do

tego projektu.

– Nic mi nie jest – zaprotestowała dziewczyna,

ale atak kaszlu zaprzeczył tym słowom.

– Jak widać – mruknął Jobe. – Nie powinnaś była

tak wcześnie wstawać z łóżka, wariatko!

– Nie wyzywaj mnie – warknęła i znów się

rozkaszłała. – Sama potrafię o siebie zadbać.

– Jasne. – Skinął głową. – Patrz, jak świetnie

sobie poradziłaś. Gdyby Ted nie przyjechał po ciebie do Victorii, umarłabyś z wycieńczenia, zupełnie

sama w tym mieszkaniu.

Sandy bardzo chętnie by o tym podyskutowała,

ale brakowało jej sił. Zamiast się wyklócać, głośno

# JOBE DODD

225

wydmuchała nos i wetknęła chusteczkę do kieszeni marynarki.

– Zaczniemy w przyszłym tygodniu – oznajmiła stanowczym tonem. – Dzięki temu popracuję trochę nad oprzyrządowaniem i programami. To nie-zbyt wyczerpujące, dam sobie radę.

– A teraz natychmiast wracaj do łóżka – nakazał jej brat. – Ja muszę jeszcze obgadać z Jobe’em kilka spraw.

– Dobrze – zgodziła się. Czowała się bardzo słaba, ale na odchodnym rzuciła zarządcy wyzywające spojrzenie.

Popatrzył na nią spode łba. Jego ręce mimowolnie zacisnęły się w pięści.

– Najchętniej bym... – mruknął pod nosem.

Weszła na schody, a Ted starannie zamknął za nią drzwi.

– Przestań ją drażnić – poradził zarządcy.

– Powiedz jej, żeby ona przestała mnie drażnić

– odparł Jobe. – Dobry Boże, ona się na mnie ciągle zasadza! Te złośliwie uwagi, ten jej sarkazm...

Myślisz, że bym to znosił tak cierpliwie, gdyby była facetem, a nie dziewczyną i w dodatku twoją siostrą?

– Od początku skaczecie sobie do oczu – zauwa-

żył słusznie Ted. – Chcesz się czegoś napić?

– Nie piję – przypomniał mu Jobe.

– Lemoniada czy mrożona herbata? – ciągnął

niezrażony Ted.

– Przepraszam – roześmiał się Jobe. – Myślałem

o czymś innym. Poproszę lemoniadę.

**226**

*Diana Palmer*

Ted wyjął dzbanek z małej lodówki i napełnił

dwie szklanki. Było bardzo gorąco jak na sierpień, mimo klimatyzacji. Zarządca westchnął ciężko, po-pijając napój, i zmrużył jasne oczy.

– Nie przeszkadza mi to, że zna się na kom-

puterach – mruknął. – Tylko to, że bez przerwy się tym wychwala. Nie może przestać. Cholera, mnie

nie interesują maszyny. Za to spróbuj mi dorównać

w znajomości genetyki i hodowli zwierząt.

Ted wiedział, że chodzi wyłącznie o urażoną

dumę Jobe’a. Zastanawiał się, czy Sandy w ogóle ma świadomość, jak bardzo go rani. Pewnie nie. Robiła, co mogła, by deprimować albo ewentualnie ignorować zarządcę.

– Jasne, że jesteś w tym najlepszy – przytaknął

Ted. – Ale moja siostra wcale się nie przechwala.

Dobrze wiesz, że po prostu uwielbia swoją pracę.

Może faktycznie ma do niej nieco zbyt entuzjas-

tyczne podejście.

Jobe zmierzwił dłonią włosy.

– Sandy cierpi chyba na manię wielkości – za-

uważył. – Jacobsville zawsze było dla niej za małe.

Od dzieciństwa chciała światel wielkiego miasta

i eleganckiego towarzystwa.

– Chyba tak jak większość młodych ludzi – za-

myślił się Ted.

Jobe wzruszył ramionami.

– Ja w młodości byłem całkiem inny. Marzyło mi

się życie na ranczu. Miałem dużo czasu, wokół siebie dobrych ludzi, a jeśli czułem się gorzej, mogłem iść do baru po pociechę. Nie brakowało mi też przyja-

ciól, którzy nie opuszczali mnie w potrzebie. – Po-ważnie popatrzył na Teda. – Czy te rzeczy nigdy nie były ważne dla Sandy?

– Jasne, że były – odparł Ted. – Ale jest bardzo

bystra i chciała to wykorzystać. Postanowiła zrobić karierę w branży, w której nie ma zbyt wielu kobiet.

– O tak – mruknął szorstko Jobe. – Koniecznie

musiała wszystkim udowadniać, że kobieta potrafi

radzić sobie równie dobrze jak mężczyzna, albo

i lepiej.

– Jeśli faktycznie tak jest, to tylko twoja wina.

– Ted wyciągnął rękę, nie pozwalając Jobe’owi dojść do głosu. – Dobrze o tym wiesz – ciągnął niezrażony. – Zawsze się z niej wyśmiewałeś, kiedy

próbowała pomóc przy maszynach, albo krytyko-

wałeś ją, kiedy nie mogła podnieść beli siana jak

mężczyźni. Już jako nastolatka nabawiła się przez

ciebie kompleksu niższości. Sandy dorastała z jedną myślą. Za wszelką cenę chciała udowodnić ci, że

potrafi robić coś lepiej od ciebie. No i udowodniła, temu nie możesz zaprzeczyć.

Jobe machnął ręką ze złością.

– Przez te wszystkie lata narzekała, że Jacobs-

ville to taka zapadła miejscina – rzekł. – Nie chciała spędzać tu życia, marzył się jej blichtr, bogactwo, wystawne ulice i eleganckie sklepy. Pamiętam, jak

często powtarzała, że nie zamierza skończyć jako

żona kowboja, ubrana w lichą bawełnianą sukienkę

i otoczona wianuszkami dzieci.

Ted zmrużył oczy, patrząc na Jobe'a. Po chwili odwrócił wzrok i westchnął.

228

*Diana Palmer*

– Przecież dzieci nie wiedzą, co jest w życiu

ważne, dopóki nie dorosną. Myślę, że nastawienie

Sandy do naszego miasteczka bardzo się zmieniło.

Sandy wariuje na punkcie naszego synka. Sam

wiesz, że bez przerwy bawi się z Pryce'em.

– Bo to nie jej dzieciak – powiedział Jobe. – Może go w każdej chwili zostawić, jeśli się nim znudzi.

A gdyby to było jej własne dziecko i nie mogłaby się od niego uwolnić?

– Spytaj ją.

– A niby po co? – Roześmiał się zimno. – Jeśli

kiedykolwiek się ożenię, to na pewno z miłą,

łagodną dziewczyną, która nie zamierza robić kariery w wielkim świecie i nie ściga się z mężczyznami.

Pragnę matki dla swoich dzieci, a nie eksperta

komputerowego.

Żaden z nich nie wiedział, że Sandy zapomniała

swojej lemoniady i zeszła po nią z góry. Zatrzymała się przed drzwiami i tam właśnie przyszło jej

wysłuchać głośno wypowiedzianych słów Jobe'a.

Jej twarz posmutniała. Sandy zrezygnowała z le-

moniady i w milczeniu weszła z powrotem na

schody. Czowała się tak, jakby ktoś kopnął ją w brzuch.



Cóż, zawsze wiedziała, że Jobe nie związałby się

z kimś takim jak ona. Nie interesowała go odnosząca sukcesy specjalistka od komputerów. Zresztą ona

też nie zamierzała wiązać się z męskim szowinistą, który pragnął potulnej żonki, bez sprzeciwu rodzą-

cej jedno dziecko po drugim.

Nigdy nie robiła sobie żadnych nadziei. Dziwne,

że teraz poczuła się aż tak zaszokowana. Cóż, Jobe

potrafił ją zranić boleśniej niż ktokolwiek inny. Przy nim czuła się mała, gorsza, całkiem bezwartościowa.

A przecież wcale taka nie była. Była inteligentna, inteligentniejsza od wielu mężczyzn; na pewno inteligentniejsza od niego.

Co do małżeństwa – wielu mężczyzn byłoby

dumnych z żony specjalistki od komputerów. Myś-

lami wróciła do swoich wielbicieli z przeszłości,

krzywiąc się z niesmakiem. Cóż, wielu facetów

miało ochotę na romans z nią, jednak nie otrzymała poważnych propozycji małżeństwa.

No i dobrze. Przecież i tak postanowiła zostać

kobietą interesu i postawić na karierę. Świat stał

przed nią otworem. Mogła przebierać w propozy-

cjach pracy, niepotrzebny był jej żaden mężczyzna, żeby czuła się spełniona. Poza tym i tak nie planowała dzieci, mimo uwielbienia dla synka Teda

i Coreen. Jej oczy zasnuły się mgłą, gdy pomyślała o tym, jak uroczy jest Pryce.

Wprzeciwieństwie do Jobe'a, który był najbar-

dziej irytującym facetem, jakiego w życiu widziała.

Pech chciał, że zmuszona była pracować z nim na

ranczu brata.

Gdyby tylko Ted go zwolnił! Z pewnością dzie-

siątki mężczyzn wykonywałyby tę pracę lepiej od

Jobe'a. Wkońcu nie brakowało facetów z wykształ-

ceniem i dogłębną znajomością genetyki, którzy

znali się na hodowli, sprzedaży i kupnie bydła,  
i pobiliby każdego kowboja smalącego cholewki do  
młodszej siostry Teda...

Niechętnie przypomniła sobie czasy jeszcze

**230**

***Diana Palmer***

sprzed wyjazdu do college'u, kiedy Jobe był wobec

niej niezwykle opiekuńczy. Ted nie miał czasu

zajmować się Sandy i na nią uważać; Jobe robił to za niego. Zawsze pojawiał się tam, gdzie umówiła się

na randkę, na przykład wstępował na napój do

kawiarni, w której jadła kolację ze swoim aktual-

nym chłopakiem, albo kupował prażoną kukurydzę

w kinie, do którego Sandy szła na seans. Na szczęś-

cie był w pobliżu również tamtego najgorszego

wieczoru w jej życiu, kiedy jeden z chłopaków

Sandy się upił i mimo jej protestów usiłował ją

zaciągnąć na tylne siedzenie swojego auta.

Jobe złapał chłopaka, odciągnął go za pasek

i mocno stłukł, po czym wezwał policję. Zaszoko-

wani rodzice chłopca zapłacili kaucję, by wydostać syna z aresztu, a następnego dnia młody człowiek

wyjechał do swojej babki. Nigdy już nie wrócił do

Jacobsville.

Niektórzy dokuczali Jobe'owi, że tak przesadnie

dba o młodszą siostrę Teda. Myśleli, że się w niej podkochiwał i był zazdrosny o każdego, kto

spojrzał

na nią łaskawym okiem. Sandy jednak знаła prawdę. Jobe był po prostu dominujący, okropny i postanowił, że Sandy nie wyjdzie za nikogo z okolicy.

Sam to kiedyś powiedział. Chciał, żeby wyniosła się z miasteczka i z jego życia. Nie zamierzał dopuścić do tego, by wyszła za chłopaka z sąsiedztwa i zamieszkała w pobliżu.

Tymczasem on zmieniał kobiety jak rękawiczki.

Był miły, uważny, rycerski, ale z żadną dziewczyną nie związał się na dłużej. Najwyraźniej, jako kawa-

ler z krwi i kości, wycofywał się w chwili, gdy jego sympatia wspominała coś o ewentualnym ślubie i założeniu rodziny. Obecnie Jobe miał już trzydzieści sześć lat i na razie nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek zostanie mężem i ojcem.

Sandy miała to w nosie. Jeśli o nią chodzi, mógł pozostać kawalerem do końca swoich dni. Nienawidziła go. Nienawidziła! Był okrutny, niegodziwy i okropny...

Łzy spływały po jej policzkach, gdy dotarła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Dlaczego, dlaczego musiała kochać akurat tego mężczyznę, skoro on nie miał jej nic do zaoferowania?

### Rozdział drugi

Słyszając przejmujący szloch, Coreen Tarleton

Regan otworzyła drzwi pokoju Sandy. Delikatnie

zamknęła je za sobą, usiadła obok przyjaciółki

i wzięła ją w ramiona.

– Nienawidzę go – chlipnęła Sandy, z wściekłością ocierając łzy. – To idiota!

– Tak, wiem – powiedziała Coreen z łagodnym uśmiechem. Wyciągnęła chustkę do nosa i wręczyła

ją Sandy. – Wytrzymaj oczy. Na szczęście Ted wysłał

go na resztę dnia do Victorii, żeby wziął z naszego biura jakieś dane dotyczące stada.

– I dobrze! – wysyczała. – Mam nadzieję, że

gdzieś po drodze porwą go kosmici!

– Daj spokój, tęsknilibyśmy za nim.

– Ja na pewno nie!

Coreen znowu się uśmiechnęła.

– Naprawdę nigdy nie przyszło ci do głowy, że

Jobe cię lubi? – spytała. – Wszystkie te docinki mogą być tylko próbą zwrócenia na siebie twojej uwagi.

# JOBE DODD

233

Sandy wbiła w nią wściekłe spojrzenie.

– Nie – warknęła i znów wybuchając szlochem,

dodała: – Na pewno mnie nie lubi...

– Kiedyś był twoim cieniem – przypomniała jej

Coreen. – Dopóki nie wyjechałaś do college’u.

– Nie moim cieniem, tylko cerberem, to chciałaś

powiedzieć. – Sandy wbiła wzrok w ścianę. – Zresz-

tą wtedy też ciągle się ze mnie wyśmiewał i mi

dokuczał.

– Jesteś bardzo inteligentna. Może czuł się za-

grożony. Niektórzy mężczyźni tak mają.

– Przecież Jobe też jest inteligentny – zauważyła

niechętnie. – Problem w tym, że on po prostu nie

toleruje bystrych kobiet. Słyszałam, jak dziś na dole powiedział coś takiego Tedowi... coś tak okropne-go... Powiedział, że chce, aby jego żona urodziła mu gromadę dzieciaków, które nie odróżnią myszki od

klawiatury. – Jej oczy zalśniły nagłym gniewem.

– Tak jakbym ja w ogóle chciała mieć dzieci z takim facetem!

Coreen poklepała ją po ramieniu, usiłując ukryć

bezradność. Zastanawiała się, czy Sandy wie, jak

łatwo ją przejrzeć. Pewnie nie miała o tym pojęcia, bo byłaby tym zapewne straszliwie zażenowana.

Choć Sandy z uporem maniaka udawała, że wcale

nie zależy jej na Jobie, bardzo się z nim liczyła.

Coreen, weteranka kilku burzliwych związków, wiedziała dobrze, przez co przechodzi jej przyjaciółka i szwagierka.

– Okropnie się czujesz, prawda? – zapytała ze współczuciem. – Może utniesz sobie drzemkę?

234

*Diana Palmer*

– To niezły pomysł. – Sandy zmusiła się do uśmiechu. – Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, wiesz?

– A ty moją – odparła ciepło Coreen. – Nie przejmuj się, jeśli sytuacja ulegnie pogorszeniu, pomogę ci zepchnąć Jobe’a do oceanu pełnego rekinów i przysięgnę, że nie mam pojęcia, co się z nim stało.

Sandy uśmiechnęła się przez łzy.

– Oto prawdziwa przyjaźń – chlipnęła.

– Właśnie. – Coreen pokiwała głową.

Jeśli Sandy miała nadzieję, że jednodniowa nie-

obecność Jobe’a sprawi, że sytuacja na ranchu nieco się uspokoi, srodze się zawiodła. Jobe wrócił w pas-kudnym humorze i unikał dziewczyny przez resztę

tygodnia. To akurat jej odpowiadało, miała czas

przemyśleć, jak nauczyć Jobe’a korzystania z komputera.

Wnastępny poniedziałek stawił się o wyznaczo-



nej porze w gabinecie Teda. Wyglądał jak człowiek  
skazany na egzekucję.

Sandy, w spodniach i byle jakim podkoszulku, ze  
związanymi włosami, wydawała się spokojna,  
przynajmniej pozornie. Jobe włożył dzinsy, kow-  
bojki i koszulę w kratę, jak zwykle. Wyglądał jak  
modelowy kowboj. Sandy wiedziała, że potrafi  
ujeżdżać wszystko, od byka do najbardziej złoś-  
liwego i narowistego ogiera Teda.

Rozbawiło ją, że Jobe zawsze zapinał koszulę na  
ostatni guzik, tuż pod szyją. Był skromnym, wręcz

# JOBIE DODD

235

pruderyjnym człowiekiem. Nigdy nie widziała go bez koszuli, nigdy nie pokazywał się ze zmierzwionymi włosami. Był jednym z najbardziej schludnych kowbojów, jakich kiedykolwiek widziała.

– No dobra – westchnął, przygnębiony i zrezygnowany. – Do rzeczy.

– Może najpierw usiądź. – Sandy podsunęła mu krzesło stojące przy komputerze.

Zerknął na nie ze złością.

– To będzie masakra – mruknął. – Nie radzę sobie z takimi sprzętami.

– Spokojnie, nawet ty nie rozwalisz tego komputera. Jest niemal głupkoodporny.

– Jak się go włącza? – spytał ze zmarszczonymi brwiami.

– Całość uruchamia się tym czerwonym przyciskiem. – Zademonstrowała mu. – Włączy się wszystko, łącznie z drukarką.

Jobe w skupieniu popatrzył na ekran.

– Nic tu nie ma – zauważył.

– Daj mu chwilę.

Czekali, i w końcu na ekranie pojawiło się menu.

– Widzisz? – powiedziała z uśmiechem Sandy.

– Teraz zobacz opcje. To, czego potrzebujesz, jest tutaj.

Ruszyła myszką i kliknęła właściwą ikonkę. Po

chwili na ekranie ukazały się wszystkie dane stada Teda.

– Skąd to się wzięło? – spytał zdumiony Jobe.

– Wpisałam to do komputera pod twoją nieobec-

**236**

*Diana Palmer*

ność w zeszłym tygodniu. To tylko część. Resztę musisz dokończyć w wolnej chwili. Wten sposób wybierasz opcje i wprowadzasz zmiany.

Szło to wyjątkowo opornie. Jobe nigdy wcześniej nie miał do czynienia z komputerem, nawet jako młody chłopak nigdy nie grał w gry komputerowe.

Sandy odnosiła wrażenie, że uczy dziecko, męczyło

ją to. Jobe nawet nie ukrywał, że uważa tę naukę za zupełnie niepotrzebną.

– To strata czasu – powiedział w końcu, gdy

szósty raz przerabiali wstępne czynności. – Mam te dane w głowie. Mogę opowiedzieć ci wszystko o każdej krowie i każdym byku.

– Wiem – odparła spokojnie Sandy. Jobe nie

blefował, rzeczywiście słynął ze znakomitej pamięci.

– A jeśli się rozchorujesz albo będziesz musiał

wyjechać? Kto oprócz ciebie to wie?

Jobe wzruszył ramionami.

– Nikt. – Popatrzył na nią. – Czy Ted planuje

mnie zwolnić? – spytał. – Czy dlatego chce mieć to wszystko w komputerze?

– Jeśli ma cię dosyć, to chyba coś długo zwleka

z pozbyciem się ciebie, nie sądzisz? – Uśmiechnęła się do niego. – Pracujesz tu przecież od niepamiętnych czasów.

– To prawda. – Nie lubił, kiedy mu o tym

przypominała. Wbił spojrzenie w ekran komputera.

– Skoro już wprowadziliśmy zmiany, co robić, żeby

nie zniknęły?

Pokazała mu, jak zachować plik i jak się go

otwiera i zamyka.

# JOBÉ DODD

237

– Mam nadzieję, że kiedyś do tego przywyknę.

– Westchnął ciężko.

– Pewnie, że tak – zapewniła go. – To wcale nie jest trudne, uwierz mi. Nawet małe dzieci to potrafią. Teraz dorastają w otoczeniu komputerów i od małego uczą się je obsługiwać.

– Pewnego dnia wyśiądzie elektryczność i nikt już nie będzie umiał niczego policzyć ani napisać

– wymamrotał Jobe. – Cywilizacja zniknie z powierzchni ziemi, a wszystko przez to, że ludzie wykorzystali maszyny, żeby odwalały za nich całą robotę.

– Podejrzewam, że mimo wszystko nie stanie się to tak szybko, abyśmy oboje tego doczekali – powiedziała Sandy.

Popatrzył na nią spod zmrużonych powiek.

– Jak mam nadzorować to ranczo i ranczo w Victorii, pracować, spać, jeść i jednocześnie wpisywać wszystkie dane do tego przeklętego komputera?

– spytał bezradnie.

Sandy gwizdnęła przeciągle.

– Ciekawe, czy Ted o tym pomyślał. – Pokiwała

głową. Popatrzyła na pociągłą twarz zarządcy. – Naprawdę musisz spać i jeść? Nie będziesz mógł się bez tego obejść?

– Nie.

– Wtakim wypadku Ted będzie musiał zatrudnić kogoś, kto ma doświadczenie w pracy na komputerze.

– Zgadza się.

– Damy ogłoszenie...

– Nie ma potrzeby. – Jobe wstał. – Missy Harvey

**238**

*Diana Palmer*

niedawno skończyła szkołę, jest teraz dyplomowaną programistką komputerową. Dziewczyna potrzebuje pracy, a ja lubię jej towarzystwo.

– Ted o tym zadecyduje – oświadczyła sztywno

Sandy. Dobrze wiedziała, że Jobe od kilku tygodni spotyka się z Missy.

– Porozmawiam z nim – oznajmił Jobe, po czym wstał i wyszedł bez pożegnania.

Gapła się na drzwi, nie wiedząc, co o tym

wszystkim myśleć. Wcale nie chciała widywać tu

Missy, ale jak mogłaby zaprotestować, nie robiąc

z siebie zazdrosnej złościcy? Co?! Ona miałaby być zazdrosna o Jobe'a? O, nie! Nigdy! Niedoczekanie

jego!

Jednak kiedy przy kolacji Jobe wspomniał Tedo-

wi o ewentualnym zatrudnieniu Missy, Coreen

niespokojnie popatrzyła na Sandy.

– Nie jest nam potrzebna na stałe – podkreślił

Jobe. – Jednak nie dam sobie rady ze wszystkimi  
obowiązkami.

Ted w zadumie marszczył czoło.

– O tym nie pomyślałem – powiedział po chwili.

Zerknął na Sandy. – Ty pewnie nie zechcesz się tym zająć?

Skrzywiła się.

– Już wykorzystałam chorobowe na ten rok, Ted

– wyjaśniła. – Muszę wracać do pracy, bo inaczej ją stracę.

– Boże broń – mruknął z przekąsem Jobe. – Tego

byśmy nie chcieli, prawda?

Rzuciła mu krzywe spojrzenie.

# JOBE DODD

239

– Kocham swoją pracę równie mocno jak ty swoją – odparła. – Przestań wreszcie mi dogryzać.

Odłożył widelec i popatrzył na nią.

– To ty mi dogryzasz, złotko.

– Nie mów do mnie złotko! To poniżające.

Jobe wstał. Widać było, że kipi gniewem.

– Dla ciebie samo bycie kobietą jest poniżające, ot co – oświadczył, ignorując ostrzegawczy pomruk

Teda. – Nie masz o tym pojęcia, prawda? Ubierasz się jak facet, pracujesz jak facet, myślisz jak facet.

Cholera, nawet zachowujesz się jak facet! Zawsze musisz wiedzieć więcej i robić więcej niż jakikolwiek mężczyzna.

Ona również wstała, trzęsąc się z wściekłości.

– Nie jakikolwiek mężczyzna – poprawiła go.

– Więcej niż ty! Tak! Masz rację. Zawsze muszę być lepsza od ciebie.

– Sandy... – mruknął Ted.

– Dlaczego wciąż usiłujesz go bronić? – Z furją cisnęła serwetkę na stół. – On zaczął to wszystko.

Robił głupie uwagi i poniżał mnie, kiedy miałam

zaledwie szesnaście lat. Bez przerwy powtarzał, że nic nie umiem! – Nieco zniżyła głos. – Teraz mam



dwadzieścia sześć lat i potrafię zrobić o wiele więcej niż on. I, jeśli chcesz wiedzieć, naprawdę czuję się wspaniale, kiedy mogę zapędzić Jobe'a Wszech-mogącego Dodda w kozi róg!

Jobe popatrzył na nią spod zmrużonych powiek.

– To dopiero będzie dzień, kiedy mnie zapędzisz

w kozi róg, złotko – prychnął pogardliwie.

– Bez obawy, nie jest to specjalnie trudne. Może

**240**

*Diana Palmer*

mi powiesz, tępy mózgowcu, czym się różni klawisz

„delete” od klawisza „enter”? – zapytała ze złośliwym uśmiechem.

liwym uśmiechem.

Jobe zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć.

Spojrzał na Sandy pełnym nienawiści wzrokiem, po

czym wstał, obrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł

z jadalni.

Sandy momentalnie poczuła się tak jak balon,

z którego uszło całe powietrze.

– To był najgorszy błąd, jaki mogłaś zrobić.

– Ted popatrzył jej prosto w oczy. – Nie wyśmiewa

się faceta takiego jak Jobe.

– Niby dlaczego mnie nie wolno? – syknęła,

bliska łez. – On mnie cały czas wyśmiewa.

– Usiądź.

Usiadła posłusznie, pokonana i zmęczona.

Ted oparł się na łokciach i popatrzył na żonę. Nie miał wątpliwości, że Coreen rozumie, co czuł, jak

zwykle zresztą.

– Sandy, matka Jobe’a była naukowcem – zaczął cicho.

– Ted, lepiej nie – wtrąciła ostrzegawczo Coreen.

Wyciągnął rękę, chcąc ją uciszyć.

– Musi się dowiedzieć. Matka Jobe’a pracowała w renomowanym ośrodku badawczym. Jego ojciec był kowbojem, tak jak i on, znał się na pogodzie, bydle i właściwie na niczym więcej. Matka Jobe’a miała stopień naukowy i przez większość życia

robiła wszystko, by jego ojciec czuł się głupi i nikomu niepotrzebny. Udało jej się to na tyle skutecznie, że strzelił sobie w głowę, gdy Jobe miał dziesięć lat.

# **JOBE DODD**

**241**

Sandy pomyślała, że zaraz zemdleje. Podniosła szklankę z mrożoną herbatą i przycisnęła ją do rozpalonego policzka.

– Mój Boże – wyszeptała.

– Ale to nie zrobiło na niej specjalnego wrażenia

– dodał zimno Tom. – Ani to, że pewnego pięknego dnia mały Jobe trafił do ośrodka dla młodocianych przestępców.

– Jak to? Myślałam, że najpierw trzeba zrobić coś złego i trafić do aresztu...

– Właśnie. – Ted uśmiechnął się niewesoło. – Jo-

be ukradł konia i chociaż właściciel nie chciał wnieść skargi, chłopaka aresztowano i oskarżono. Matka go nie chciała – jej zdaniem był niewystarczająco

inteligentny – więc opiekował się nim stan Teksas, dopóki Jobe nie osiągnął pełnoletności. Szkoda, że nigdy nie zapytałaś, dlaczego chcę, żebyś nauczyła go obsługi komputera. Komputeryzacja rancza nie

jest nieodzowna już w tym momencie, ale Jobe

cieszy się coraz mniejszym szacunkiem swoich

pracowników, bo większość z nich zna się na

komputerach, a on nie.

Sandy ukryła twarz w dłoniach.

– Przepraszam – wyszeptała.

– Jemu to powiedz, nie mnie – poradził jej zimno

Ted.

– Przecież ona o niczym nie wiedziała – wtrąciła

Coreen. Wstała i objęła Sandy. – Szkoda, że żadne

z nas nie uznało za stosowne wcześniej opowiedzieć ci tej historii.

Sandy otarła łzy.

**242**

*Diana Palmer*

– Przecież Jobe nie jest głupi! – powiedziała ze

złością. – Jego matka z pewnością zdawała sobie

z tego sprawę.

– Przede wszystkim w ogóle nie chciała go mieć

– wyjaśnił smutno Ted. – To jedna z tych pruderyj-

nych kobiet, dla których najważniejsze jest za-

chowywanie pozorów. Miała romans z kowbojem,

zaszła w ciążę. Wyszła za niego za mąż, bo tak

chciała jej rodzina, ale ojciec Jobe’a każdego dnia musiał za to płacić bardzo wysoką cenę.

– Gdzie ona jest teraz?

– Tego nikt nie wie. Jobe nigdy o niej nie mówi.

– Ted pokręcił głową. – Właściwie może to i dobrze, że się nie lubicie. On nigdy ci nie wybaczy tego, co dziś powiedziałaś. Nazwałaś go przy nas „tępym

mózgowcem”.

Sandy poczuła, że ją mdli. Opuściła wzrok.

Coreen podała jej chusteczkę i niezręcznie poklepała przyjaciółkę po plecach.

– Rozumiem, że zatrudnisz Missy? – spytała po

chwili Sandy, nie patrząc na brata.

– Tak – odparł głucho. – Missy należy do tych kobiet, przy których mężczyźni odżywają. Mam nadzieję, że naprawi szkody, które ty poczyniłaś. To dobra dusza.

– Szczerze wątpię, czy Jobe potrzebuje dobrej duszy – syknęła przez zaciśnięte zęby.

Ted przechylił głowę i popatrzył na siostrę.

– A skąd ty miałabyś wiedzieć, czego mu potrzeba? – spytał. – Nigdy cię szczególnie nie interesował.

# JOBE DODD

243

– Chyba faktycznie... nie wiem. – Niespokojnie

poruszyła się na krześle. – Ale wiem, że Missy mnie nie lubi.

– Nie dziwię się. Biedna dziewczyna myśli, że

Jobe się w tobie podkochuje.

Serce Sandy załomotało.

– A ty jak uważasz?

– Lepiej, że nie słyszysz, co czasem Jobe mówi

o tobie, kiedy cię nie ma w pobliżu – zaśmiał się Ted.

– Uraziłaś jego dumę, ale żadna kobieta nie dotrze do jego serca. Mówią, że matka Jobe'a pogrzebała je

żywcem.

Sandy cisnęła chusteczkę i nieco się zgarbiła.

– Nie chciałam tego powiedzieć. Przecież wiesz,

że to on pierwszy zawsze mnie atakuje. Po prostu

miałam dosyć.

– Przecież ja go wcale nie bronię – zauważył Ted.

– Jobe potrafi sam bronić się przed tobą. Chodzi mi tylko o to, że ciosy poniżej pasa są nie fair.

– Więcej tego nie zrobię.

– Nie będziesz miała okazji – oznajmił jej brat.

– Nie sądzę, żeby jeszcze kiedykolwiek dopuścił cię aż tak blisko siebie. – Popatrzył na nią z ciekawością.

– Wracając do Missy: rozumiem, że dasz sobie radę

ze wszystkim, co ona schrzani?

– Pewnie tak. – Uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Wkońcu jestem twoją mądrą siostrą.

Słowa Teda okazały się prorocze. Jobe nigdy nie wspomniał o tym, co powiedziała mu Sandy, ale jego stosunek do niej zmienił się o sto osiemdziesiąt **244**

### *Diana Palmer*

stopni. Traktował ją dokładnie tak samo jak Teda, grzecznie, z chłodnym szacunkiem, ale to było wszystko. Zniknął nawet dawny antagonizm między nimi. Najwyraźniej Jobe postawił na obojętność. Zero emocji.

Missy jednak traktował całkiem inaczej, uprzejmie, wręcz ciepło. Zauroczenie dziewczyny Jobe'em

było oczywiste. Missy pojawiła się kilka dni po

pamiętnej kłótni. Długie, czarne włosy okalały jej owalną twarz, w której uwagę przykuwały przede wszystkim bardzo duże brązowe oczy. Miała ładne

usta i miły uśmiech, i choć była wyjątkowo szczup-

ła, robiła przyjemne wrażenie.

Missy nie lubiła Sandy i nawet nie starała się tego ukryć. Słuchała w milczeniu, gdy Sandy tłumaczyła

jej, co będzie wchodziło w zakres jej obowiązków.

Missy nie musiała nic mówić: w jej oczach widać

było wszystkie uczucia.

Sandy lada chwila miała jechać do pracy, więc

ubrała się w elegancki szary kostium, włożyła czar-ne skórzane czółenka, włosy zaś splotła we fran-

cuski warkocz. Wręczyła Missy dokumenty Teda

i rozejrzała się wokół, żeby sprawdzić, czy wszystko załatwiła.

– Jeśli będziesz miała jakieś pytania do Teda,

a on gdzieś zniknie, spytaj o niego Coreen – powiedziała do dziewczyny. – Zawsze wie, co się dzieje z jej mężem.

– Jeśli będę miała jakieś pytania, spytam Jobe’a

– odparła zimno Missy, nie patrząc na nią. – Wkoń-

cu to on jest tu szefem, nie ty... Och!



# JOBE DODD

245

Jęknęła, kiedy Sandy nagle złapała za oparcie jej krzesła i mocno nim zakręciła.

– Pracujesz dla Reganów – wycedziła Sandy.

– Właśnie dlatego również ja jestem twoją szefową.

– Pochyliwszy się nad Missy, szepnęła: – Znalazłaś się tu tylko dlatego, że mój brat chciał oddać przysługę Jobe’owi. Ja jednak nie jestem mu nic

winna, więc jeśli jeszcze raz tak się do mnie ode-

zwiesz, wylecisz stąd szybciej niż myślisz – dodała z lodowatym uśmiechem. – Mam nadzieję, że to dla

ciebie jasne?

Missy, blada i drżąca, skinęła głową.

– To dobrze. – Sandy się wyprostowała. Jej oczy miały błyskawice.

– Prze... Przepraszam – wyjąkała Missy.

Sandy nawet nie chciało się odpowiadać. Wzru-

szyła ramionami i wyszła z biura, niemal zderzając się w progu z Jobe’em.

Popatrzył nad jej głową na łzy spływające po policzkach Missy.

– Widzę, że już miałyście okazję bliżej się poznać

– powiedział lodowato. – Missy, jeśli coś będzie ci sprawiało trudności, przyjdź do mnie.

– To mój dom – wysyczała z furią Sandy. – Nikt

nie będzie mnie tu traktował jak rodzinnej maskotki.

Spróbuj to wytłumaczyć swojej dziewczynie. Chyba  
wbiła sobie do tej małej główki, że pracuje dla ciebie.

Przepchnęła się obok niego i wyszła, z twarzą tak  
czerwoną, jakby miała wysoką gorączkę.

Gdy tylko zniknęła, Missy natychmiast rzuciła  
się w ramiona Jobe'a.

**246**

*Diana Palmer*

– Była dla mnie okropna! Strasznie niedobra

– zaszlochała.

Raczej niechętnym gestem pogłaskał ją po ciem-  
nych włosach.

– No dobrze, dobrze. Już wszystko w porządku

– mruknął. – Będę cię bronił przed nią, nie masz się czego obawiać.

Missy przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

– Och, Jobe, jesteś taki silny...

Sandy usłyszała tę ostatnią uwagę, gdy wchodzi-  
ła na schody, i jej usta wykrzywił okropny grymas.

Słowa Missy zabrzmiały sztucznie i nieszczerze,

chyba Jobe nie miał co do tego wątpliwości? Wzru-

szyła ramionami, pomyślała jednak, że dla niego to wcale nie musi być takie oczywiste. Skoro miał  
za

matkę władczą, niezależną kobietę z silną osobowo-

ścią, osoba pokroju Missy mogła mu przypaść do

gustu jako jej przeciwieństwo.

Cóż, Sandy była zbyt dumna, żeby udawać

bezradną, zagubioną kobietkę. Od dzieciństwa Ted

wkładał jej do głowy, że nie jest byle kim. Po-

chodziła z rodziny Reganów, a to zobowiązywało.

Spakowała walizkę i zeszła z nią do auta, nawet

nie patrząc w kierunku gabinetu brata. Była bardzo ciekawa, jak pójdzie im modernizacja księgowości,

jeśli nowa pracownica będzie przez cały czas wdzię-

czyła się do zarządcy. A kiedy Ted straci w końcu

cierpliwość, Missy znajdzie się w o wiele gorszym

położeniu niż dzisiaj.

Sandy nie wracała przez cały tydzień, jeździła

# JOBE DODD

247

służbowo po całym wschodnim Teksasie. Była bardzo zmęczona, kiedy wjechała swoim małym sportowym samochodem na podjazd przed domem

Teda i Coreen. Wlokąc za sobą dwie walizki, z trudem weszła na schody prowadzące do budynku.

Miała klucz w dłoni, ale drzwi były otwarte.

Popchnęła je i weszła do środka, zamykając je cicho na wypadek, gdyby dziecko spało. Nie chciałyby go

obudzić, bo Ted i Coreen mieli teraz niewiele czasu dla siebie, maluch zrobił się wyjątkowo żywy, domagał się nieustannej uwagi.

Dźwięki dochodzące z gabinetu Teda przyciągnęły jej uwagę. Drzwi były otwarte, a kiedy podeszła bliżej, nie miała wątpliwości, co to za odgłosy.

Stała w progu ze wzrokiem lodowatym jak zimowe niebo. Missy siedziała na kolanach Jobe'a, z głową na jego ramieniu. Kiedy mężczyzna nagle uniósł wzrok i ujrzał Sandy, jego przystojna twarz przybrała dziwny wyraz.

– Och, nie przeszkadzajcie sobie – powiedziała

powoli Sandy. Missy zerwała się na równe nogi,

obciągając spódnicę. – Rozumiem, że Ted teraz płaci wam za testowanie sprężyn w sofie. – Obróciła się

na pięcie i weszła na schody, ignorując surowy

męski głos, który wykrzykiwał jej imię.

Powinna była się domyślić, że nie należy tak traktować Jobe'a. Bez wahania wszedł za nią na schody i do jej sypialni.

– Na litość boską! – powiedziała ze złością, patrząc na niego. – Zostaw mnie w spokoju! Jestem bardzo zmęczona! Załatwiał te sprawy z Tedem. To

**248**

*Diana Palmer*

twój szef, o czym bardzo lubisz mi przypominać.

Nie mam tu nic do powiedzenia, mogę jedynie doradzić bratu, żeby pozbył się takiej pracownicy...

Oderwała wzrok od jego koszuli, tym razem rozpiętej aż do mostka. Nienawidziła tego człowieka.

– Nie chcę, żeby Missy cierpiała przez coś, za co odpowiadam wyłącznie ja – oznajmił.

Wzdychając ciężko, usiadła na brzegu łóżka i odsunęła kosmyk włosów z czoła. Nadal nie chciała na niego patrzeć.

– Nic mu nie powiem – oznajmiła sztywno.

– Ted jednak nie byłby zadowolony.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Potarła dłonią czoło.

– Głowa mi pęka. Wychodząc, zamknij drzwi, dobrze?

Jobe nawet nie drgnął.

– Przesłać do ciebie panią Bird z aspiryną?

– Mam własną aspirynę. – Popatrzyła na niego z nieskrywaną pogardą.

Jobe zacisnął szczękę.

– Czyżbyś ty nigdy nie całowała swojego szefa w jego gabinecie, Sandy? – zapytał.

Ta szydercza uwaga oczywiście natychmiast zdenerwowała ją, ale opanowała się, nie okazując gniewu.

– Wyobraź sobie, że mój szef to prawdziwy dżentelmen – odparła z godnością. – Studiował na Harvardzie i jest bardzo dystyngowany. Nigdy nie pozwoliłby sobie na macanki z kobietą na sofie w swoim gabinecie, a już na pewno nie z pracownicą.

# JOBÉ DODD

249

Jobe zmrużył oczy. Wyraz jego twarzy nieznacznie się zmienił.

– A czy ten twój szef w ogóle wiedziałby, co

z tobą robić, gdybyście jednak wylądowali razem na jego sofie? – spytał tonem, którego nigdy dotąd nie używał w rozmowach z Sandy.

Patrzyła na niego, świadoma nagłej ciszy w poko-

ju, gorącego spojrzenia Jobe'a, własnego chrypliwego oddechu.

– Nie masz.. prawa... mówić tak... do... mnie

– wyjąkała.

– Może mam większe prawo, niż myślisz – po-

wiedział ponuro.

– Mów tak do swojej Missy – ucięła.

– Przynajmniej ona nie ma wątpliwości co do

tego, że jest kobietą – oświadczył.

Sandy patrzyła na niego bez mrugnięcia okiem.

Nie powinna czuć się zdradzona, a jednak tak

właśnie było.

– No to masz szczęście. – Wzruszyła ramionami.

– Ty tego nigdy nie próbowałaś... jakoś nigdy nie

próbowałaś mnie poderwać – ciągnął lekkim tonem.

– Szkoda. Może byś się czegoś nauczyła.

Zaczerwieniła się mocno.

– Nie podrywam mężczyzn – powiedziała drżącym głosem.

– Jasne, że nie. – Jobe wzruszył ramionami.

– Masz zbyt wysokie mniemanie o sobie, żeby choć o tym pomyśleć. Mama powinna cię była nauczyć, jak sobie radzić z facetami.

Sandy raptownie zerwała się z miejsca.

**250**

*Diana Palmer*

– Jak śmiesz robić uwagi o mojej matce!

– A dlaczego nie? – Uniósł brwi.

– Każdy wie, jaką była kobietą – prychnęła gniewnie. – Zostawiła naszego ojca i uciekła z innym mężczyzną, a potem zostawiła tamtego dla następnego. Żaden nie mógł jej usatysfakcjonować.

Cóż, ja nie jestem taka jak ona i zapewniam cię, że nigdy nie będę. Zresztą w ogóle nie potrzeba mi mężczyzny.

Jobe milczał. Przez dłuższy czas wpatrywał się w bladą jak płótno twarz Sandy.

– A więc o to chodzi – mruknął, bardziej do siebie niż do niej. – Wiedziałem, że Ted przed pojawieniem się Coreen stronił od kobiet. Nigdy nie rozumiałem dlaczego. – Zagryzł wargę i pokiwał głową.

– Pewnie matka załatwiła was oboje, co?

Sandy wyprostowała się dumnie.

– To, co zrobiła nam matka, to nie twoja sprawa.



– Polemizowałbym, ale powiedzmy, że na razie możemy zostawić ten temat.

– Jeśli już skończyłeś z dokuczaniem mi, to wyjdź, bo chciałabym odpocząć. Bardzo długo jechałam tu z Houston.

Jobe wsunął ręce do kieszeni dzinsów i popatrzył na nią niespokojnie.

– Jutro mamy grilla, przy okazji aukcji koni Teda – oznajmił.

– Na pewno ty i Missy będziecie się dobrze bawili – odparła. – Nie mam zamiaru przychodzić, jeśli to poprawi ci humor.

– Dlaczego tak mówisz? – Zmarszczył brwi.

Roześmiała się smutno.

– Na litość boską, wiem, co do mnie czujesz

– powiedziała bezbarwnym głosem, patrząc w bok.

– Zawsze wiedziałam.

– Niby co do ciebie czuję? – spytał dziwnym

tonem.

– Nie cierpisz mnie – odparła. – Wręcz nienawi-

dzisz. Naprawdę myślałeś, że tego nie widzę?

### Rozdział trzeci

Jobe w milczeniu patrzył na dziewczynę. Zupeł-

nie nie wiedział, co o tym myśleć.

– Kto ci to powiedział? – zapytał w końcu.

– Nikt nie musiał mi mówić – powiedziała ze

smutkiem. – Kiedy byłam młodsza, nie podobało ci

się nic, co robiłam. Latami próbowałam cię zadowo-

lić, ale nic mi z tego nie wyszło. – Objęła się rękami, jakby nagle zmarzła, i wyrzała przez okno.

– Wkońcu się poddałam.

Jobe zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem – przyznał. – Przecież ciebie

kompletnie nie obchodzi moje zdanie na żaden temat.

Przy każdej nadarzającej się okazji skaczesz mi do oczu.

– To prawda. – Roześmiała się gorzko.

– Dlaczego?

Winnej sytuacji z całą pewnością by mu tego nie

powiedziała. Teraz jednak była zbyt zmęczona

i wręcz chora po tym, co ujrzała wcześniej na dole, w gabinecie brata. Straciła resztki złudzeń. Jej

uczucie do Jobe'a już nie miało żadnego znaczenia.

– Żebyś się nie zorientował, że jestem w tobie

zakochana – odrzekła, nie patrząc na niego, ale i tak wyczuła nagłe napięcie w pokoju. Odetchnęła głę-

boko. – Nie przejmuj się, już mi przeszło – dodała, wbijając spojrzenie w okno.

– Co za ulga. – Mówił tak, jakby się dławił.

– Domyślam się. – Pokiwała ze smutkiem głową.

– Nic o tobie nie wiedziałam. Ani o twoich rodzicach. Może gdybym wiedziała... – Zamknęła oczy.

– Pewnie już od dawna masz dość kobiet, które postawiły na karierę.

– Kto ci powiedział o mojej matce?

– Ted. – Przejechała dłonią po włosach. – Po naszej ostatniej awanturze... Przykro mi z powodu tego, co ci wtedy powiedziałam – szepnęła. – Owszem, chciałam ci zrobić przykrość... przepraszam.

Zapadło długie milczenie.

– Nie ma sprawy – odezwał się w końcu.

To nieprawda, pomyślała, jest sprawa, ale nie ciągnęła tego tematu. Oparła rozpalone czoło o chłodny parapet.

– Masz sporo roboty na dole – zauważyła. – A ja naprawdę muszę się położyć. Głowa mi pęka.

Po chwili usłyszała szcęk zamykanych drzwi,

a potem kroki. Dopóki nie zamarły, nawet nie

zdawała sobie sprawy z tego, że płacze.

Już po godzinie przeraziła się tym, co wyznała

Jobe'owi. Pewnie nieźle się z tego uśmieł, i to razem z Missy. Tego dnia, kiedy Sandy ją mijala, dziewczyna za każdym razem patrzyła na nią z jawną

**254**

***Diana Palmer***

wrogością, choć nie pozwalała sobie na żadne złośliwe uwagi.

Następnego dnia, już od pierwszych chwil trwania

przyjęcia z okazji aukcji koni Teda, Missy

zachowywała się jak gospodyni. Na szczęście przy-

sza Coreen i natychmiast przywróciła porządek. Jej oczy miały błyskawice, kiedy słodkim głosem

nakazała Missy iść do kuchni i szybko zaparzyć

kawę dla gości. Sandy dostrzegła, że Jobe trzyma

urazoną Missy za rękę, żeby złagodzić cios.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła Coreen. – Wi-

działaś? Chyba przewróciło się jej w głowie.

– Jobe jej na wszystko pozwala – zauważyła

Sandy bez emocji.

– No to będzie jej na wszystko pozwalał gdzie

indziej, jeśli ta dziewczyna jeszcze raz się tak

zachowa – oświadczyła Coreen. – Nie zamierzam

tego tolerować.

Sandy nie odezwała się ani słowem. Coreen

zmarszczyła brwi.

– Sandy, co się dzieje? – spytała łagodnie. – Ostatnio zachowujesz się zupełnie inaczej niż zwykle.

Coś ci dolega?

– Nie, skąd.

– Czy to właśnie dziś ma przyjechać twój szef, żeby podrzucić ci dokumenty, które zostawiłaś w Houston?

– Widziałaś już ten faks, który wysłał z biura, tak? Powiedział, że być może tu wpadnie, ale szczerze w to wątpię. Pan Cranson nie przepada za tego typu rozrywkami. Interesuje go tylko praca.

– A jeździ czarnym mercedesem? – spytała od niechcienia Coreen.

– Owszem, jeździ.

– No to najwyraźniej właśnie przyjechał. – Coreen uśmiechnęła się szeroko. Po chwili zagwizdała na widok postawnego mężczyzny o ciemnych włosach, który wysiadł z auta. – Rany boskie, nie mówiłaś, że to taki przystojniak!

– Prawda? – mruknęła Sandy. – Bardzo mi się podoba. Ale niestety kocha inną. I podejrzewam, że chyba bez wzajemności.

– Szkoda.

– Pewnie, że szkoda – przytaknęła.

Po chwili wstała z krzesła i wyszła na podjazd, by powitać szefa.

– Cieszę się, że pan przyjechał, panie Cranson.

– Myślę, że zważywszy na okoliczności, możesz mówić mi po imieniu. Nie jesteśmy w biurze.

– Wręczył jej grubą teczkę. – A to twoje dokumenty.

– Tak, panie... tak, Philipie – poprawiła się. – To moja bratowa, Coreen. A to mój szef, pan Cranson.

– Miło nam pana poznać – powiedziała z uśmiechem Coreen. – Ted i ja wiele o panu słyszeliśmy.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy – mruknął

i spojrzął na Sandy, a następnie na swój kosztowny, elegancki garnitur. – Chyba jestem niezbyt

stosow-nie ubrany...

– Mamy tu małe przyjęcie, a potem planujemy

tańczyć kadryla – wyjaśniła Coreen. – Proszę z nami zostać.

Carson znowu popatrzył na Sandy.

**256**

***Diana Palmer***

– Bardzo bym tego chciała – oznajmiła szczerze.

– Wtakim razie z przyjemnością zostanę.

Po chwili zdjął marynarkę i wmieszał się w tłum

wraz z Sandy u boku.

Był nieprawdopodobnie przystojny. Sandy częs-

to się zastanawiała, dlaczego jest zgorzkniały, pełen rezerwy w stosunku do kobiet. Z całą pewnością

ktoś zaprzętał mu myśli. Nigdy nie opowiadał

o sobie. Bywało, że całymi dniami nie wychodził ze swojego gabinetu, tylko piorunował wzrokiem mło-de pracownice, które miały do niego jakąś sprawę.

– Zawsze tu mieszkałaś? – spytał po chwili

Sandy, kiedy przystanęli, by wypić kawę.

– Przez większość życia – przytaknęła. – Uwiel-

biam Jacobsville. To małe miasteczko, ale ma bardzo ciekawą historię.

– Naprawdę? No to opowiedz mi o Jacobsville.

Zaczęła opowiadać, a on słuchał z ciekawością.

Żadne z nich nie zauważyło wściekłego spojrzenia

Jobe'a, który już od dłuższego czasu nie spuszczał

z nich wzroku. Jego szare oczy patrzyły na Sandy

i jej szefa coraz bardziej gniewnie.



Wpewnej chwili Jobe nie wytrzymał i podszedł

do Teda i Coreen.

– Kto to taki? – spytał bez ogródek.

– Jej szef – mruknął Ted, unikając spojrzenia  
zarządcy. – Przystojniak, prawda? Zawsze byłem  
ciekaw, co to za typ. Kiedy o niego pytam, Sandy  
zachowuje się bardzo tajemniczo i nabiera wody  
w usta.

– Jest starszy od niej. – Jobe zmrużył oczy.

# JOBÉ DODD

257

– Dużo starszy. I chociaż Sandy też nie jest już dziewczynką, to przecież nadal nie ma pojęcia o mężczyznach.

Jeśli Teda zaszokowały słowa Jobe’a, zupełnie tego po sobie nie pokazał.

– Sandy ma dwadzieścia sześć lat, Jobe – przypomniał. – Już czas, żeby pomyślała o małżeństwie i dzieciach.

– Przecież ona nigdy nie wyjdzie za mąż. – Oczy Jobe’a błysnęły gniewnie. – Dla niej liczy się tylko kariera.

– Bzdura – powiedziała krótko Coreen. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Sandy uwielbia dzieci, i nic nie sprawia jej większej przyjemności niż objazd rancza. Nie wyobrażam sobie, żeby z własnej woli chciała z tego zrezygnować.

– Ale nadal nie ma pojęcia o gotowaniu – burknął Jobe.

– Doskonale wiesz, że nigdy nie musiała gotować. – Ted wzruszył ramionami. – Zawsze mieliś-

my gospozię. Za to Sandy świetnie radzi sobie z igłą i doskonale robi na drutach. – Popatrzył uważnie na siostrę i jej szefa. – Dobrze razem wyglądają. Tyle że ten facet jest z wielkiego miasta. To się od razu rzuca w oczy.

– I nie dość, że taki przystojny, to pewnie zna komputery na wylot – dodał gniewnie Jobe.

– A właśnie, że nie – wtrąciła Coreen. – Sandy wspominała, że jest znakomitym biznesmenem, ale średnim znawcą nowinek technicznych. I nie potrafi jeździć konno.

**258**

*Diana Palmer*

– Szkoda – westchnął Ted. – Bo zupełnie nie wyobrażam sobie, że Sandy zamieszkałaby gdzieś, gdzie nie mogłaby jeździć konno. Przecież uwielbia konie.

– Gdyby faktycznie mu na niej zależało, mógłby się nauczyć jeździć – zauważyła Coreen.

Jobe pobladł, po czym wymamrotał coś niewyraźnie i odszedł. Już po chwili przechwyciła go Missy.

– Widzę, że szefowa znalazła sobie kogoś – zauważyła. – Nawet jest niezły, chociaż stary.

Jobe milczał. Nadal patrzył spode łba na Sandy i jej szefa.

Missy przytuliła się do niego.

– Może chcesz iść gdzieś, gdzie wreszcie będziemy sami? – wymruczała uwodzicielsko.

Zmarszczył brwi i spojrzał na nią. Nie miał w tej chwili pojęcia, dlaczego wcześniej go pociągała.

Missy była miła i urocza, całkiem ładna, ale strasznie dziecinna i... namolna. Po kilku pocałunkach zaczęła sobie wyobrażać, że Jobe jest jej własnością. Zastanawiał się, czy inni już zdążyli to

zauważyć.

– Posłuchaj, Missy – powiedział cicho. – Pracujemy razem i bardzo cię lubię, ale to wszystko. Nie jesteśmy parą. Nie licz na nic więcej.

Missy uniosła brwi.

– Przecież całowałeś mnie – przypomniała mu z wyrzutem w głosie.

– Całuję mnóstwo dziewczyn – odparł szczerze.

– Jesteś słodka, skarbie, ale nie mam ochoty na żaden romans.

# JOBE DODD

259

– Ja też nie! Za kogo ty mnie uważasz? – Zaczerwieniła się aż po cebulki włosów.

– Ani na małżeństwo – dodał stanowczo. – Nie chcę się żenić. Ani teraz, ani w ogóle.

Missy wyglądała tak, jakby Jobe uderzył ją w żołądek. Zrobiła krok do tyłu.

– Ja... rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz – oznajmił szorstko. – Nie

chodzi o to, że cię nie lubię. Po prostu nie zamierzam się z nikim wiązać. Dobrze mi tak, jak jest i nie chcę tego zmieniać.

Wyglądała tak młodo. Do jej oczu napłynęły łzy.

Jobe miał poczucie winy, naprawdę było mu wstyd za to, że niepotrzebnie zawrócił jej w głowie. To przez niego wymyśliła sobie, że mogliby być razem... na zawsze, aż po grób.

– Przepraszam – powiedział cichym głosem.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem, no i zawiodłem, ale... – Urwał. Naprawdę nie wiedział, co

mogłby dodać.

Przywarła do niego, pochlipując. Przytulił ją mocno.

– Cholera jasna, Missy! – zaklął. – Przestań płakać!

– Nie gniewaj się – zaszlochała. – Nie będę ci

stała na drodze, bez obaw. Po prostu pamiętaj, że

zawsze możesz przyjść do mnie, kiedy poczujesz się samotny.

Nawet jej nie słyszał. Nie spuszczał oczu z Sandy.

Jej cholernie przystojny szef objął ją teraz ramieniem i poszli w stronę grilla. Serce Jobe’a ścisnęło się **260**

***Diana Palmer***

z żalu i wściekłości. Nigdy dotąd nie był tak

zazdrosny, aż sam się zdziwił intensywnością tego

uczucia.

Missy poczuła, jak Jobe sztywnieje i odsuwa się

od niej. Szybko otarła oczy chusteczką wyciągniętą z torebki.

– Co się stało? – zapytała.

Nie odpowiedział. Spojrzała na niego i zobaczyła,

że patrzy nienawistnie na Sandy oraz na wysokiego, przystojnego bruneta u jej boku.

– Nie lubisz jej, co? – oświadczyła z nieskrywaną

satysfakcją. – I bardzo dobrze. Może wyjdzie za tego swojego szefa i wyjdzie stąd na zawsze. Nie cierpię, kiedy tak cię przygnębia.

– Ona mnie wcale nie przygnębia – oświadczył.

– A jej opinia o mnie nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

– No to dobrze. A teraz chodź ze mną, zatań-

czymy. – Zaciągnęła go na parkiet.

Poszedł za nią posłusznie, ale myślał tylko o jed-

nym. Nie mógł oderwać oczu od Sandy. A niech ją

diabli!

Sandy, zupełnie nieświadoma reakcji Jobe'a, jadła

żeberka z grilla w towarzystwie swojego przystoj-

nego szefa i opowiadała mu rozmaite ciekawostki

o komputerach. W pewnej chwili skoczna melodia

zmieniła się w powolną i zmysłową i nagle usłyszała za sobą głos Jobe'a:

– Masz ochotę zatańczyć?

Podskoczyła. Nie miała pojęcia, że stał tak blisko.

Popatrzyła na niego niepewnie.

# JOBE DODD

261

– Idź, Sandy. – Philip Cranson uśmiechnął się do niej. – Przez cały wieczór rozmawiamy o pracy.

Masz prawo się odprężyć.

Jobe popatrzył na niego niechętnie, ale uprzejmie skinął głową, biorąc Sandy za rękę.

Gdy zaczęli tańczyć, była tak sztywna i napięta, jakby lada moment miała się rozpaść na kawałki.

– Odpręż się wreszcie – mruknął ze złością. – Jak myślisz, co ci zrobię na parkiecie? Czego się boisz?

Pomyślała, że mocno by się zdziwił, gdyby wiedział, o co naprawdę chodzi. Jej serce biło jak oszalałe, oddychała ciężko, ugiwały się pod nią nogi.

Właśnie dlatego była sztywna jak kij, bo za wszelką cenę chciała zachować resztki godności. O niczym

bardziej nie marzyła, jak o tym, żeby przytulić się do niego, jak to wcześniej robiła Missy, i poczuć jego siłę. Na to jednak nigdy by się nie odważyła.

Jobe położył jedną rękę na plecach dziewczyny, palce drugiej splótł z jej palcami.

– Zawsze pachniesz jak fiołki – wymruczał cicho w jej włosy.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Ona również czuła jego lekko korzenny zapach. Czuła go tylko wówczas, kiedy przebywała blisko Jobe'a,



czyli rzadko. Dotąd tańczyła z nim tylko raz, i to kadryła. Tym razem było zupełnie inaczej. Ten taniec był zbyt intymny. Sandy czuła się bezbronna, i to jej przeszkadzało.

– Jestem... bardzo... zmęczona – przystanęła,

usiłując wyswobodzić się z jego objęć.

– Nieprawda, nie jesteś – odparł, nie puszczając

**262**

***Diana Palmer***

jej. Popatrzył w oczy dziewczyny. – A teraz napraw-dę się odpręż – polecił jej cicho.

Najwyraźniej ciało Sandy postanowiło go po-

słuchać. Powoli rozluźniała mięśnie. Wielką, silną dłońią Jobe głaskał ją po plecach. Sandy zadrzała.

Wpewnej chwili oparła policzek na jego szerokim,

muskularnym ramieniu, przypominając sobie wszyst-

kie zapomniane tęsknoty z przeszłości.

Jobe westchnął niepewnie. Bliskość Sandy wy-

woływała w nim dziwne reakcje. Było mu dobrze,

lepiej niż to sobie wyobrażał. Zamknął oczy. Czuł

pod palcami miękkie ciało dziewczyny. Wtej części

ogrodu było stosunkowo ciemno, znajdowali się

z dala od innych tancerzy. Mimowolnie pochylił

głowę, aż dotknął wargami jej ciepłych, miękkich

ust. Jęknął cicho i znieruchomiał. Nagle rozchylił

wargi i już pewnie i zaborczo zaczął dotykać jej

drżących ust. Sandy znowu cała zesztyniała, ale

tylko na moment, bo nagle z całych sił przywarła do Jobe'a i z jej gardła wydobył się jęk.

Jobe położył rękę na szyi dziewczyny, pieszcząc

ją i głaszcząc. Nie mogła przestać drżeć.

– Sandy – jęknął Jobe, rozglądając się wokół

siebie. Tuż obok rosło wielkie drzewo. Na razie inni tancerze nie zwracali na nich uwagi, więc pociągnął

Sandy za drzewo i oparł ją o pień.

– Zaczekaj – wyszeptał, kiedy niepewnie usiło-

wała się uwolnić. – Proszę, skarbie, nie walcz ze

mną.

Znowu dotknął jej warg, a ona objęła go za szyję.

Przestała protestować. Całował ją tak gwałtownie,

że zapewne by upadła, gdyby nie podtrzymywał jej

pień drzewa i ramiona Jobe'a. Tyle marzeń spełniło się w ciągu tych kilku minut, tyle bolesnych tęsknot.

Sandy nawet nie wyobrażała sobie, że można kogoś

tak pożądać. Pragnęła Jobe'a z całego serca. Kochała go, był jej niezbędny do życia. Świat zniknął, zostali tylko oni i pożądanie, które narastało z każdą

chwilą.

Wkońcu Jobe musiał przerwać pocałunek. Zig-

norował protesty pobudzonego ciała. Dopiero po

chwili, gdy się uspokoił, wziął Sandy w ramiona,

nagle łagodne i opiekuńcze.

Nie mogła przestać drzeć. Jobe kołysał ją w mil-

czeniu. Z oddali dobiegała łagodna muzyka.

Po dłuższej chwili Sandy otworzyła oczy. Wi-

działa nad sobą liście, a między nimi gwiazdy.

Odnosiła wrażenie, że tkwi w jakiejś przestrzeni

poza czasem. Bała się przerwać tę ciszę. Nie chciała go pytać, dlaczego to zrobił. Nie chciała wiedzieć.

Wystarczyła jej świadomość, że Jobe jej pragnął,

choćby przez krótką chwilę. Pomyślała, że to jej

wystarczy do końca życia. Znowu zamknęła oczy

i tylko tak stała, o nic nie pytając i nie protestując.

Wpewnej chwili Jobe ją puścił i cofnął się o krok.

Jego twarz znowu była surowa i nieprzystępna, jak zazwyczaj, ale Sandy nie widziała jego oczu, bo nisko opuścił głowę.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że bardzo głośno oddycha. Nie odważyła się spojrzeć na Jobe'a i też opuściła głowę. Objęła się ramionami, gdyż poczuła przenikliwe zimno. Nogi wciąż pod nią drżały.

**264**

*Diana Palmer*

Przez pewien czas milczeli, ale wkrótce rozległ się przenikliwy głos Missy, nawołującej Jobe'a.

Uniósł głowę i rozejrzał się wokół. Zaklął cicho pod nosem, po czym odwrócił się i bez słowa poszedł w kierunku szukającej go dziewczyny.

Nawet nie pożegnał się z Sandy. Może nie chciał oglądać jej w takim stanie, bezbronnej i słabej?

– No, nareszcie jesteś, Jobe. Szukałam cię. – Missy bezceremonialnie wzięła go pod ramię. – Za chwileczkę zagrają ostatnią piosenkę, zatańczmy? A potem wyjdziemy razem, dobrze? Fajnie było, prawda?

Nie odpowiedział. Kręciło mu się w głowie.

Sandy po chwili doszła do siebie i ruszyła na poszukiwania Philipa Cransona, uśmiechając się uprzejmie do mijanych po drodze ludzi. Nikt, kto

na nią patrzył, nie mógłby się domyślić, że chwilę wcześniej całowała się z mężczyzną. Przez resztę wieczoru była idealną gospodynią. Nawet uśmiechnęła się uprzejmie do Missy i Jobe'a, kiedy wyszli razem po ostatnim tańcu, jednak nie spojrzała mu w oczy. Nie była pewna, czy kiedykolwiek zdoła to zrobić po tym, co się działo pod drzewem.

Wnocy przewracała się z boku na bok, próbując sobie wmówić, że to wszystko wcale się nie wydarzyło, że to jedynie wytwór jej bujnej wyobraźni.

Wkońcu zasnęła, a zbudziła ją niezadowolona Coreen.

– Wstawaj, śpiochu, nie możesz spędzić całego

dnia w łó¿ku – narzekała. – Chcę pojeździć konno,  
i to w twoim towarzystwie.

– Pojeździć? – powtórzyła rozespana Sandy.

– Przed świtem?

– Już prawie południe, wariatko. – Coreen zachichotała. – Ted posiedzi z małym, kiedy my będziemy pędzić na koniach w siną dal.

Te słowa otrzeźwiły Sandy.

– No nie, muszę to zobaczyć – powiedziała,  
wstając.

I rzeczywiście, Ted siedział w salonie ze swoim synkiem. Uśmiechał się, trzymając małego w ramionach. Po ślubie przeszedł niezwykłą przemianę, z samotnego ponuraka stał się kochającym mężem i zadowolonym ojcem. Nie zawsze taki był. Przysporzył Coreen wiele bólu, zanim w końcu postanowił zaryzykować i wyznać jej swoje uczucia, a do tego przestał wydziwiał nad różnicą wieku między nimi.

Gdy weszły do salonu, uniósł wzrok.

– Nie musicie się spieszyć – oświadczył wspaniało-  
myślnie. – Dziś posiedzę w domu.

Coreen uściskała go i cmoknęła w usta, po czym

pocałowała w czołko syna, który uśmiechnął się z zachwytem.

– Czy to nie prawdziwy cud? – westchnęła.

Ted patrzył na nią czule.

– Moje życie jest nieustającym cudem, odkąd wsunąłem ci obrączkę na palec.

Sandy poczuła się jak intruz.

– Pójdę osiodłać konie, Coreen – zaproponowała z uśmiechem.

**266**

*Diana Palmer*

– Kazałem Jobe'owi się tym zająć – oświadczył

Ted. – Ale może potrzebować pomocy.

Oczy Sandy błysnęły.

– Jest z nim Missy? – spytała.

– Missy nie pracuje w soboty – przypomniał jej

Ted.

– Zdumiewające – mruknęła zgryźliwie. – Wo-

bec tego pójdę po kapelusz – oznajmiła na głos, bo nie chciała iść do stajni i być tam sam na sam z Jobe'em. Nie po ostatnim wieczorze.

– Tylko się nie guzdrz! – zawołała za nią Coreen.

– Podobno później ma padać.

– Jasne!

Wróciła do salonu po mniej więcej pięciu minu-

tach, po czym obie wyszły z domu.

Jobe opierał się o belę siana, kiedy weszły do

stajni. Nic nie powiedział, ale spojrzenie, jakie rzucił

ubranej w obciste dżinsy Sandy, onieśmieliłoby

każdą kobietę. Nie uśmiechał się ani nie żartował, po prostu patrzył. To wystarczyło.

– Dzięki, Jobe – powiedziała Coreen, gdy dosiad-

ły koni.

– Nie ma sprawy. – Wzruszył ramionami. – I tak

muszę sprawdzić, co z maszyną do belowania siana.

Wcześniej mieli z nią problemy, a podobno wkrótce

ma padać. Mogę z wami pojechać?

– Jasne, że tak – odparła radośnie Coreen, ig-

norując zboląły wzrok szwagierki.

Jobe wyprowadził z boksu własnego, już osiod-

łanego konia i lekko na niego wskoczył. Przez kilka minut jechali w przyjemnej ciszy.



# JOBE DODD

267

– Nie ciągnij tak mocno za wodze – upomniał

w pewnej chwili Sandy. – Boli go pysk.

Natychmiast popuściła wodze. Nie upierała się

przy swoich racjach ani nie odwarknęła. Było to tak nietypowe, że Coreen rzuciła jej zaniepokojone spojrzenie.

Kiedy jednak ujrzała wyraz twarzy przyjaciółki,

musiała szybko ukryć uśmiech.

– Podjadę na chwilę do Hanka i pogadam z nim

o naszym nowym źrebaku – oznajmiła. – Zaraz do

was wracam!

Sandy chciała ją zawołać, ale przecież nie mogła

się przyznać, że czuje strach przed pozostaniem sam na sam z Jobe’em. Sam na sam? O czym ona mówi?

Przecież wszędzie dookoła byli ludzie.

Jobe ani razu nie spojrzał na Sandy, obojętnie

wpatrywał się w przestrzeń. Po chwili poprawił

kapelusz, nasuwając go głębiej na czoło.

– Najlepiej by było, żeby deszcz spadł dopiero za

jakieś dwa dni – powiedział. – Mam nadzieję, że się wstrzyma, dopóki nie zbierzemy siana.

– Czy trudno będzie... naprawić maszynę?

Odwrócił głowę i popatrzył dziewczynie prosto

w oczy. Ujrzał w nich zdenerwowanie i zupełnie

nietypową dla Sandy bezbronność. Podjechał nieco bliżej.

– Nie bój się – rzekł nieoczekiwanie.

– Naprawdę myślisz, że się boję? – Wybuchnęła niepewnym śmiechem. – Kogo? Ciebie?

– Nie zamierzam kontynuować tego, co zacząłem w sobotę, Sandy – oznajmił bardzo poważnie.

**268**

*Diana Palmer*

– To była chwila zapomnienia. Nie masz się czym przejmować.

Jej serce ścisnęło się smutkiem. Nie patrzyła na Jobe'a.

– Rozumiem.

– Chyba że...

– Chyba że..? – Zerknęła na niego.

Jobe nie odrywał spojrzenia od jej warg.

– Chyba że zechciałabyś ze mną zaryzykować

– szepnął.

Oddech uwiązał jej w gardle.

– Jak to... zaryzykować?

– Tak jak próbowaliśmy wczoraj – wyjaśnił.

– Wyszło całkiem niezłe, nie zaprzeczysz. Lepiej niż się spodziewałem. Oboje mamy za sobą sporo nieudanych doświadczeń z płcią przeciwną. Może

sprawdzimy, czy dobrze nam będzie ze sobą?

Poczuła, że serce na moment zatrzymało się w jej

piersi. Takiej propozycji z jego ust w ogóle się nie spodziewała.

– A co z Missy? – wykrztusiła.

– Jak to, co z Missy? – Rysy jego twarzy

stwardniały. – Niczego jej nie obiecywałem.

– O tak, już sobie przypominam. – Wykrzywi-

ła wargi. – Przecież ty nigdy niczego nie obiecu-

jesz kobietom.

– Nie kpij sobie ze mnie – powiedział głuchym

głosem. – Nie żartuję. To poważna sprawa.

Sandy przygryzła wargę i popatrzyła na niego

z lekką obawą.

– Jesteś wolny... z wyboru. Odpowiada ci to.

# JOBIE DODD

269

A ja... Ja nie mam ochoty na krótki niezobowiązujący romans. Przykro mi.

Chciała odjechać, ale Jobe złapał za wodze jej konia.

– Przecież ja wcale nie mam na myśli romansu,

Sandy. – Uśmiechnął się z widocznym wysiłkiem.

– Ted by mnie zabił za taką propozycję. Wiesz, jaki on jest staroświecki...

– Może i ja też jestem staroświecka – prychnęła

z oburzeniem Sandy. – No i co z tego?

– Wcale mi to nie przeszkadza. – Uśmiechnął się

lekko. – Pod pewnymi względami i ja jestem staroświecki, wierz mi.

Poruszyła się niespokojnie w siodle, słysząc

skrzypienie skóry.

– A więc co miałeś na myśli?

– Może na początek poszlibyśmy coś przekąsić,

a potem do kina – zaproponował Jobe. – Czy też dla takiej światowej kobiety jak ty to zbyt plebejska rozrywka?

Sandy oblała się rumieńcem.

– Ja też jestem plebejska – zauważyła.

– Bzdura! – parsknął. – Ty i Ted urodziliście się

z pieniędzmi. Nigdy nie musieliście się o nie starać.

– Przecież teraz sama zarabiam na siebie – przy-

pomniała mu. Postanowiła jednak przemilczeć powody, dla których poszła do pracy, mimo że w dniu dwudziestych ósmych urodzin miała odziedziczyć majątek z funduszu powierniczego.

– Tak, wiem – mruknął. – Wiem również, dlaczego to robisz.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

**270**

*Diana Palmer*

– Naprawdę... wiesz?

Chciał coś powiedzieć, lecz w chwili, gdy otworzył usta, podjechała do nich Coreen.

– Lepiej się pośpieszmy – oświadczyła z pełnym

skruchy uśmiechem, wskazując ręką na piętrzące się czarne chmury. – Musimy uratować zbiory przed deszczem.

– Jasne – przytaknął Jobe. Popatrzył ze smutkiem na Sandy, poprawił kapelusz i odjechał.

– Przepraszam, że przeszkodziłam – westchnęła Coreen.

– Wsamą porę. – Sandy zmusiła się do uśmiechu.

– Bez obaw, wszystko w porządku.

## **Rozdział czwarty**

Jeśli Sandy liczyła w duchu na to, że Jobe z powodu deszczu zapomni o randce, to była

w błędzie. Jeszcze tego popołudnia, po zebraniu siana, zaczął jej szukać.

Deszcz wciąż padał, a Sandy już od dłuższego czasu siedziała na oszklonej werandzie, patrząc z zadumą, jak duże, ciężkie krople uderzają o ziemię.

Tam właśnie znalazł ją Jobe.

– Unikasz mnie? – spytał cicho.

Wyprostowała się i natychmiast zaczerwieniła.

– Nie, skąd – zaczęła się tłumaczyć.

Jobe wszedł na werandę, zdjął kapelusz i przysiadł obok dziewczyny na sofie.

– Lubię thrillery – oznajmił nieoczekiwanie.

– Właśnie grają jakiś w naszym kinie. Chyba że wolałabyś co innego, zdaje się, że leci też jakaś komedia.

– Ja też lubię thrillery.

Jobe skinął głową.

**272**

***Diana Palmer***

– Przed seansem możemy iść na pizzę albo na burgera z frytkami. Albo do kawiarni, jeśli wolisz.

Widziała, że ją sprawdza – chciał wiedzieć, czy nie będzie kręciła nosem na skromny posiłek.

Uważnie popatrzyła mu w oczy.

– Nie muszę iść do najlepszej restauracji, opery

ani teatru, jeśli właśnie to usiłujesz wybadać – powiedziała łagodnie. – Bardzo lubię hamburgery i frytki, chętnie też zobaczę film w kinie.

– Ale nie do tego przywykłaś – westchnął.

– Szczerze mówiąc, zaczynam mieć wątpliwości co do tej naszej randki. – Nerwowo obracał kapelusz w dłoniach. – Może to jednak nie był najlepszy pomysł.

Sandy nie miała pojęcia, co powinna odpowiedzieć. Poruszyła się niespokojnie.

– Będzie jak zechcesz. – Wzruszyła ramionami.

– Czyżby? – Jego szare oczy zaśniły. Jobe cisnął

kapelusz na podłogę, złapał Sandy w pasie i zmusił, żeby się położyła, po czym natychmiast ją namiętnie pocałował.

Nie mogła złapać oddechu ani tym bardziej zaprotestować. Był brutalny, zupełnie jakby jej odpowiedź z niewiadomych powodów go rozwścieczyła. W jego zachowaniu nie było wahania ani czułości. Wkońcu dziewczyna jęknęła cicho, protestując, a on natychmiast ją puścił. Kiedy uniosła głowę, ujrzała jego wściekłe spojrzenie.

– Właśnie to chciałem zrobić – powiedział szorstko, patrząc na nią z nienawiścią. – Właśnie to

# JOBIE DODD

273

chciałem zrobić, odkąd skończyłaś siedemnaście lat, do cholery!

Zbladła, widząc jego gniew. Jobe jej pragnął

i nienawidził się za to. Jeśli kiedykolwiek miała

jakieś złudzenie, że mogliby żyć długo i szczęśliwie, teraz pozostała po nich jedynie kupka popiołu.

Tłumiąc łzy złości i rozczarowania, Sandy położy-

ła dłonie na torsie Jobe'a i odepchnęła go z całej siły.

– Puść mnie, z łaski swojej – powiedziała przez

zaciśnięte zęby.

Ku jej zdumieniu posłuchał. Wstał raptownie

i podniósł kapelusz z podłogi.

– Nie zamierzam się z tobą umawiać, wielkie

dzięki. Masz absolutną rację, że to nie ma sensu

– dodała łamiącym się głosem. Minęła go i gdy tylko znalazła się w bezpiecznej odległości, pobiegła do swojej sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Gorące łzy spływały po jej policzkach, otarła je ze złością. Jobe był najokrutniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Jak mógł ją tak potraktować, po tylu latach znajomości? Swoim brakiem

szacunku złamał jej serce. Była na siebie wściekła, że odsłoniła się aż do tego stopnia.

Po pewnym czasie, gdy złość nieco jej przeszła,

Sandy poszła do łazienki i starannie umyła twarz.

Potem zupełnie odruchowo wyciągnęła z szafy

walizkę i zaczęła wrzucać do niej swoje rzeczy. Nie zamierzała tu pozostawać ani chwili dłużej.

Szybko zmieniła dżinsy i koszulkę na schludny



beżowy kostium, upięła włosy i przerzuciła torebkę przez ramię.

274

*Diana Palmer*

Zniosła walizkę ze schodów i na chwilę przystanęła w drzwiach kuchni, gdzie pani Bird przygotowywała kolację.

– Niestety, muszę wracać do Victorii – poinformowała gospozię. – To nagła sprawa.

– Och, dzwonił telefon, tak? – zapytała pani

Bird. – Byłam na podwórzu, trzepałam dywan.

– Rzeczywiście, nie mogła pani słyszeć – przytaknęła Sandy z kamienną twarzą. – Proszę powiedzieć

Tedowi i Coreen, że zadzwonię do nich później, dobrze?

– Oczywiście, panienko Sandy.

Sandy uśmiechnęła się życzliwie do gospodyni

i wyszła do garażu.

Jobe opierał się o bagażnik jej auta. Zatkaną ją na jego widok, ale po chwili znów ruszyła przed siebie.

– Jeśli się odsuniesz, będę mogła włożyć walizkę do bagażnika – powiedziała lodowatym głosem.

Parzył na jej ściągniętą twarz i zauważył opuchnięte oczy.

– Zawsze uciekasz – westchnął.

– Nie sądzisz, że mam dobry powód?

– Tym razem faktycznie – przytaknął. Uważnie

patrzył jej w oczy. – Ja też mam wątpliwości co do tego związku, podobnie jak ty. Poza tym nie chcia-

łem ci zrobić krzywdy – dodał, krzywiąc się na

widok lekkiej opuchlizny na dolnej wardze dziewcz-

czyny, w miejscu, gdzie ją lekko ugryzł podczas

namiętnego pocałunku.

– Nic się nie stało – odparła sztywno. – Możesz

się przesunąć, z łaski swojej?

# JOBIE DODD

275

Jobe stanął z boku, patrząc z irytacją, jak Sandy wkłada walizkę do bagażnika.

– Nie lepiej byłoby to z siebie wyrzucić? – spytał.

Zesztywniała.

– Czy właśnie to chciałeś zrobić na sofie? – mruknęła z zimną ironią.

– Nie mam zwyczaju ranić kobiet, wierz mi.

– Zacisnął zęby. – Przepraszam.

– Chciałeś, żebyśmy wyjechała.

Westchnął ze złością.

– Może i tak – przyznał bez ogródek. – Jest tyle obiektywnych przeszkód, sama przyznaj...

– Owszem – zgodziła się natychmiast. – Missy jest w twoim stylu, słodka i nieskomplikowana. Na pewno będziecie razem szczęśliwi.

– Równie szczęśliwi jak ty i twój szef? – warknął ponuro.

Popatrzyła na niego.

– Pan Cranson kocha inną kobietę – oznajmiła z godnością. – Bardzo go lubię, ale nie jestem w nim zakochana.

Był zdumiony, że powiedziała mu to wprost, bez złośliwych uwag i komentarzy.

– Wydawałaś się bardzo do niego przywiązana.

– Bo go naprawdę lubię – powtórzyła. – A ciebie

nie – dodała zjadliwie. – Ani trochę.

– Mógłbym nad tym popracować, gdybyś mi

pozwoliła – zaproponował bez przekonania.

Sandy wbiła wzrok w ziemię.

– Nie chcesz mnie tutaj – rzekła. – Może po-

chlebiło ci to, co powiedziałam wcześniej o swoich **276**

### *Diana Palmer*

uczuciach do ciebie, ale wcale mnie tu nie chcesz i to się rzuca w oczy. Nie musisz mieć wyrzutów sumienia z mojego powodu, już dawno mi przeszło.

Nic mi nie jesteś winien.

Jobe ściągnął brwi.

– Na litość boską, przecież ty mnie nawet nie

lubisz – dodała ze smutkiem. – Nigdy mnie nie

lubiłeś. Powiedziałaś, że wiesz, dlaczego wyjecha-

łam z Jacobsville. To chyba wszystko wyjaśnia,

prawda?

– Miałaś siedemnaście lat, kiedy wyjechałaś do

college’u. Wiem, że zrobiłaś to po to, żeby ode mnie uciec. Tylko nie bardzo wiem, dlaczego.

– Chodziłeś z Liz Mason – odparła z ciężkim

westchnieniem. – Wszyscy myśleliśmy, że się z nią

ożenisz. – Wzruszyła ramionami. – Nie byłam tak

ładna jak Liz i zupełnie nie znałam się na bydle.

Wcale mnie nie dziwiło, że wciąż się mnie czepiasz.

Bez przerwy robiłeś mi przytyki. Wyjechałam, bo za dużo mnie kosztowało przebywanie w twoim towarzystwie.

– Ale dokuczałem ci nie dlatego, że nie czułem do ciebie sympatii – powiedział.

Uśmiechnęła się z trudem.

– Teraz to rozumiem – oznajmiła z całą godnością, na jaką ją było stać. – Pragnąłeś mnie, prawda?

Skinął głową, krótko i gniewnie.

– I nadal pragniesz – dodała bezradnie. – Może powinno mi to pochlebiać, jednak wcale tak nie jest.

Takie uniesienia są tanie, można je przeżywać z byle kim.

– Chemia, która nas połączyła, wcale nie jest taka zwyczajna – zauważył. – Sądzę, że jest bardzo rzadka.

– Pragnę czegoś więcej niż kilku nocy z mężczyzną, który ma mi do zaproponowania wyłącznie pożądanie – wyjaśniła szczerze Sandy. – Chyba właśnie dlatego nigdy nie lubiłam randek. Jestem zbyt poważna na niezobowiązujące flirty.

Jobe uniósł brodę. Nawet nie mrugnął. Intensywność jego spojrzenia sprawiła, że jej serce biło jak młotem.

– Mogłem przespać się z tobą w każdej chwili

– powiedział cicho. – Wtedy, kiedy miałaś siedemnaście lat, i teraz także mogę. Nigdy nie miałem co to tego wątpliwości.

Sandy oblała się krwistoczerwonym rumieńcem.

– Ty zarozumiały....

– Przestań się wypierać, do diabła! – warknął.

Wetknął ręce do kieszeni. – Przecież w żaden sposób tego nie wykorzystałem, prawda? A jeśli nawet cię

drażniłem, to tylko dla twojego dobra. Czy ty

naprawdę myślisz, że ja jestem z kamienia? Gdybyś

się na mnie rzuciła, nie wahałbym się ani chwili.

Sandy zesztyniała.

– Nie mam zwyczaju rzucać się na mężczyzn

– odparła z godnością.

– I dobrze – oznajmił Jobe. – Inaczej od razu stanęłabyś ze mną przed ołtarzem. Nie zabawiam się z kobietami, które nie wiedzą, co robią.

– Nie jestem jakąś dziecinną ignorantką!

Jobe odetchnął głęboko.

**278**

*Diana Palmer*

– Doskonale wiem, kim jesteś, Sandy – powiedział cicho. – I to mi wcale nie ułatwia sprawy.

– Popatrzył na nią uważnie. – Jeśli jesteś zdecydowana odjechać, nie będę cię zatrzymywał. Może masz rację. Oboje musielibyśmy się bardzo napracować nad tym związkiem. Nie mam pojęcia, czy potrafiłabyś wieść zwyczajne życie, a ja z kolei nie jestem człowiekiem, który zrezygnowałby z pracy i żył z pieniędzy żony.

– Ja wcale nie zamierzam wychodzić za mąż

– syknęła przez zaciśnięte zęby.

Jobe wiedział, że Sandy tak nie myśli, ale nie skomentował tego ani słowem.

– Wobec tego szerokiej drogi – mruknął i wyszedł z garażu.

Ze ściśniętym sercem patrzyła, jak odchodzi. Tak

naprawdę nie miała pojęcia, czego pragnie Jobe, a on najwyraźniej nie zamierzał jej tego powiedzieć. Jak zwykle oczekiwał, że Sandy będzie czytała mu

w myślach.

– Nienawidzę facetów – mruknęła do siebie.

Wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i od-

jechała. Przez całą drogę do Victorii bardzo głośno słuchała muzyki z radia, jakby chcąc zagłuszyć dręczące ją myśli. Nie powinna była wyjeżdżać.

Należało zostać i zobaczyć, jak potoczą się sprawy.

Bała się jednak, że znów da się zranić. Jobe nie mógł jej zagwarantować, że połączy ich coś poza pożądaniem, a samo pożądanie zdecydowanie jej nie wystarczało.

Rozumiała jednak dobrze, że teraz już nigdy się



nie przekona, co Jobe miał jej do zaoferowania. Za bardzo wystraszyło ją ryzyko. Musiała za to zapłacić.

I płaciła, przez dwa nieszczęsne tygodnie. Rozpaczliwie próbowała zapomnieć o nim, jednak zupełnie bez powodzenia. Wciąż pojawiał się na nowo w rozmowach, zwłaszcza z Coreen.

– Ostatnio nie odzywa się nawet do Missy

– poinformowała ją przez telefon bratowa. – Jest tak ponury, że któryś z naszych ludzi spytał go, czy ktoś mu umarł. Dziwne. Przecież Jobe zawsze był taki

miły i beztroski.

– Może ostatnio dostał jakieś złe wiadomości

– powiedziała sztywno Sandy.

– Nie, to nie to – mruknęła zamyślona Coreen.

– Zachowuje się tak od twojego wyjazdu.

Puls Sandy przyśpieszył.

– Nie kpij sobie – wymamrotała.

– Wcale nie kpię – zaprzeczyła Coreen. – On za tobą tęskni.

Sandy nic nie odpowiedziała. Po chwili zmieniła temat, a Coreen nie wspominała już o zarządcy.

Dwa dni później zadzwonił Ted.

– Mamy pewien problem z komputerem – poinformował siostrę. – Nie mogę otworzyć plików,

a koniecznie muszę je mieć przed aukcją bydła.

Przyjechałabyś i zerknęła na sprzęt?

– Dobrze, przyjadę jutro z samego rana – zapewniła go.

– Kochana dziewczynka.

**280**

*Diana Palmer*

Ted odłożył słuchawkę, a Sandy zamyśliła się głęboko. Wkońcu doszła do wniosku, że interweniowało przeznaczenie. Zastanawiała się, co ją czeka w Jacobsville.

Jobe'a nie było w gabinecie, kiedy przyszła sprawdzić, co z komputerem, za to spotkała tam brata.

– Nigdy nie wierzyłem tym piekielnym maszy-

nom! – ryknął, podczas gdy Sandy przeglądała pliki na twardym dysku. – Widzisz, co się stało? Skasował wszystkie moje cenne informacje.

– Nieprawda – rzuciła. – Rzeczywiście są wykasowane, ale mogę je odzyskać. Przestań wreszcie kląć i daj mi trochę czasu.

Ted wydał z siebie nieartykułowany dźwięk i złapał się za głowę.

– Jesteś tego pewna? – spytał z niepokojem.

– Jasne. – Zerknęła na niego. – Jak to się stało?

– Missy była bardzo przygnębiona i nacisnęła niewłaściwy klawisz. Przynajmniej tak przedstawił

nam to Jobe.

– A cóż takiego przygnębiło Missy? – Sandy

z ciekawością popatrzyła na brata.

– Nie mam pojęcia – odparł sucho. – Pewnie

wkurzyła się, bo Jobe nie chciał iść z nią na jakieś przyjęcie. Kupiła sobie nową sukienkę, specjalnie na tę okazję.

– Dlaczego nie chciał iść?

– Sama go zapytaj. – Ted przysiadł na skraju

biurka. – Ostatnio trudno się z nim rozmawia.

Chodzi wkurzony od twojego wyjazdu. Dziwne,

prawda? – Popatrzył na nią uważnie.

Sandy oblała się rumieńcem.

– Oboje doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie zachować obecne *status quo*.

– Innymi słowy, za bardzo się boisz, żeby dać mu szansę, tak? – Ted trafił w samo sedno.

Oderwała ręce od klawiatury i zakreśliła się na krześle.

– Oboje się boimy – odparła. – On nie sądzi, żebym zadowolili się skromnym życiem, a ja wątpię, by mógł mi zaoferować coś poza fizycznym pragnieniem. Czy to cię przekonuje?

Ted zachichotał.

– Tak właśnie sądziłem. – Skrzyżował ręce na piersi. – Czasem jednak trzeba zaryzykować – dodał cicho.

– Wiem. – Przypomniała sobie, jak bardzo jej brat opierał się uczuciu do Coreen. Jej spojrzenie złagodniało. – Ty i Coreen też chyba musieliście długo się docierać.

– Nawet nie znasz połowy prawdy. – Ted parsknął śmiechem. – Niezła z nas była mieszanka wybuchowa. Właściwie nadal jest, ale już pod całkiem innym względem.

– Rozumiem, co masz na myśli. – Wbiła wzrok

w jego pierś. – Ja jednak uciekłam.

– Wiem.

Sandy założyła nogę na nogę.

– Szczerze mówiąc, moim zdaniem, on też

uciekł. – Chciała to z siebie wyrzucić. – Może zbyt długo skakaliśmy sobie do oczu? Trudno nam teraz

zawrzeć rozejm.

**282**

*Diana Palmer*

– Zwłaszcza taki, jakiego on by chciał? – spytał

zainteresowany Ted.

– Tak – odparła, zarumieniona.

Ted westchnął ciężko.

– Skarbie, nie mogę ci powiedzieć, co powinnaś

robić ze swoim życiem. Nie mogę ci też obiecać, że wasz związek wypali, jeśli się na niego zdecydujecie.

Ale powiem ci jedno: wiem, jak się żyje samotnie

i jak w małżeństwie. Wierz mi, małżeństwo jest

lepsze.

– Wątpię, żeby chciał ślubu.

– Lepiej dla niego, żeby chciał. – Ted mówił

całkiem serio.

– Posłuchaj, Ted, przestań się bawić w starszego

brata...

– A ty nie zaczynaj robić mi wykładów na temat moralności we współczesnym świecie – odgryzł się.

– Nie zapominaj, że Jacobsville to małe miasteczko.

– Chcesz mi powiedzieć, że kobiety żyją wyłącznie ze swoimi mężami i że nie ma tu samotnych matek ani dzieci z nieprawego łoża? – Nie mogła uwierzyć, że jej brat jest tak nieprawdopodobnie staroświecki.

– Jasne, że są. – Skrzywił się. – Ale ty należysz do rodziny.

– Owszem, należę. I uważam, że jesteś wspaniałą, to na wypadek, gdybym o tym nie wspomniała

– mruknęła. – Jednak muszę żyć własnym życiem, czy to ci się podoba, czy nie.

Popatrzył na nią spode łba. Sandy wzruszyła ramionami.

– Właściwie to i ja nie jestem zachwycona

perspektywą luźnego związku. Jednak Jobe nie

należy do entuzjastów małżeństwa.

– Wierz mi, skarbie, że wszyscy stają się jego

entuzjastami, gdy natrafią na odpowiednią kobietę

– rzekł Tom.

– Myślałam, że Missy to odpowiednia kobieta

dla niego.

– Nie pomyślałabyś tak, gdybyś zobaczyła ją

wczoraj. Była wściekła jak osa. – Uniósł z roz-

bawieniem brew.

– Wszyscy się kłócą, a potem godzą.

– Dlaczego wy się nie pogodzicie? – spytał Ted.

Znowu popatrzyła na swoje ręce.

– Nie ma go tutaj.

– Owszem, jest.

Jakiś hałas w korytarzu przyciągnął jej uwagę.

Sandy odwróciła głowę dokładnie w chwili, gdy

w progu stanął Jobe. Nie był to jednak mężczyzna

z jej marzeń. Człowiek stojący przed nią miał zimną, nieprzyjazną twarz. Niemal niedostrzegalnie skinął

jej głową na powitanie, zanim odwrócił się do Teda.

– Sześć koni wy dostało się na drogę. Mamy rozwalone ogrodzenie, pękło od strony Jasper Road.

– Jak do tego doszło? – Ted zerwał się z krzesła.

– Ciężarówce pękła opona, kierowca wjechał w ogrodzenie. Moi ludzie już się tym zajęli.

– Pójdę pomóc. Sandy mówi, że bez trudu odzys-

ka te pliki – dodał. – Możesz z nią posiedzieć, a ja sprawdzę, co z końmi.

Kiedy wyszedł, Jobe zaklął pod nosem.

**284**

*Diana Palmer*

– Mnie to się także nie podoba. – Sandy rzuciła

mu wymowne spojrzenie. – Ale chyba utknęliśmy tu razem.

Stanął przy jej krześle i patrzył, jak zręczne palce Sandy fruują po klawiaturze.

– Co robisz? – spytał z zainteresowaniem.

– Uruchomiłam program, który odzyskuje dane.

Jeśli usunie się coś przez przypadek, zazwyczaj można to przywrócić. Oczywiście, jeśli się wie, jak.

– Zaczęła mu dokładnie tłumaczyć, na czym polega ta sztuczka.

– To niewiarygodne – powiedział.

– Prawda? – Uśmiechnęła się do niego. – Nie

zapominaj, że wychowałam się na powtórkach Star

Treka. Chciałam być specjalistką od komputerów,



jak pan Spock.

– Chyba większość dzieciaków o tym marzy.

– Odwzajemnił jej uśmiech. – Mówisz tak, jakby to było całkiem proste, a przecież nie jest.

– Robię to od wielu lat. Z biegiem czasu idzie mi

coraz lepiej. Przecież ty też świetnie sobie radzisz z końmi i bydłem – dodała, naciskając

klawisze. – A to dlatego, że wciąż masz z tym do czynienia.

Stał za nią, w skupieniu obserwując ekran. Jego

dłoń dotknęła włosów dziewczyny.

– Tęskniłem za tobą – odezwał się nagle.

Wstrzymała oddech.

– Naprawdę? – spytała ostrożnie.

– Ted mówił, że w pewnej chwili miał ochotę

mnie wylać. Podejrzewam, że wiedział, o co chodzi,

# JOBÉ DODD

285

ale nie chciał powiedzieć tego na głos. – Umilkł.

– A jak tam twoje zachowanie, skoro już o tym mowa?

– Nie lepiej niż twoje, zdaniem moich współpracowników.

Jobe zrobił krok do przodu i pociągnął ją z krzesła wprost w swoje ramiona.

– Chyba czas podjąć pewne decyzje – oznajmił.

– Jakie decyzje?

Uśmiechnął się i pochylił głowę.

– Takie – wyszeptał wprost w jej ciepłe usta.

Sandy czuła się tak, jakby po wielu latach wróciła do domu. Przywarła do Jobe'a, w milczeniu rozkoszując się jego ciepłem. Nie zamierzała dłużej protestować.

Kiedy uniósł głowę, z uczuciem popatrzyła mu w oczy. Zawahał się, a w jego spojrzeniu Sandy dostrzegła troskę.

– Co się stało? – zapytała.

– Strach mnie obleciał – wyznał.

– Wiem, co czujesz. – Westchnęła. – Ale i tak mi przykro.

– Wsumie znamy się już całkiem nieźle – zauważył z namysłem. – No i nie jesteśmy dziećmi.

Może spróbujemy krok po kroku i zobaczymy, co

nam z tego wyjdzie.

– Dobrze. – Pokiwała głową.

Pochylił się i znów ją pocałował, tym razem

delikatnie.

– I na razie żadnego chodzenia na całość – dodał.

– Skoczylibyśmy na zbyt głęboką wodę.

**286**

*Diana Palmer*

Westchnęła i oparła policzek na jego piersi. Czowała się teraz całkowicie bezpieczna.

– Pamiętasz, jak zginął mój szczeniak, a ty

znalazłeś mnie w stodole? Ukryłam się tam, żeby

Ted się nie dowiedział, jak strasznie płaczę.

– Nie chciałaś też, żebym i ja cię widział.

– Bo na tobie i Tedzie nic nie robiło wrażenia.

Czułam się jak mięczak. Ty jednak mnie przytuliłeś i czekałeś, aż łzy obeschną. Pamiętasz, co mi powiedziałaś?

– Że łzy leczą złamane serce – mruknął. – I co,

mówiłem prawdę?

– No tak, ale przecież ty tego nie wiesz. – Poki-

wała głową. – Nigdy nie płaczesz.

Objął ją rękami w pasie.

– Płakałem, kiedy mój ojciec popełnił samobój-

stwo – powiedział. – Był dobrym, skromnym

człowiekiem, ale nie dość inteligentnym, by zado-

wolić moją matkę. Mówiła, że potrzebny jej  
mężczyzna o odpowiednim wykształceniu i umy-  
śle geniusza.

– Wiesz, co się z nią stało? – zapytała cicho.

– Nie.

Czuła, że wyraźnie zeszywniał.

– Przepraszam – szepnęła.

– Nie ma za co – zapewnił ją. – Nie przeszkadza

mi, że pytasz. Po śmierci ojca straciłem ją z oczu.

Pewnie nadal prowadzi badania w jakimś ściśle

tajnym laboratorium. Może nawet znalazła odpo-

wiedniego partnera, który jest dość inteligentny, by ją zadowolić. Wątpię jednak, by z nim została.

Widzisz, gdyby był zbyt inteligentny, musiałaby odejść, bo nie cierpiała konkurencji.

– Moja matka nie była aż tak mądra jak twoja, za

to interesowały ją wyłącznie flirty i romanse – wyznała Sandy. – To zupełnie wykrzywiło Teda.

Gdyby na horyzoncie nie pojawiła się Coreen,

pewnie nigdy by się nie ożenił.

– Tak, jest słodka – przytaknął z uśmiechem.

– Ale i ty jesteś urocza. Pod tą maską twardzielki z komputerowym mózgiem kryje się urocza, wrażliwa kobieta.

– Czy to komplement?

Jego usta dotknęły jej warg.

– Tak przypuszczam – mruknął. – Latami wma-

wiałem sobie, że jesteś jeszcze jedną karierowiczką, dokładnie taką, jak moja matka. Kiedy jednak widzę cię z synkiem Teda i Coreen w ramionach, nie

wyglądasz jak kuta na cztery nogi kobieta interesu.

Z ciekawością popatrzyła w jego jasne oczy.

– Nigdy dotąd nie mówiłeś o dzieciach. No,

może raz – przypomniała sobie i mina jej zrzędała.

– Powiedziałeś Tedowi, że nie masz ochoty na

małych komputerowych geniuszy...

– Ciii. – Położył palec na jej ustach. – Nie zawsze mówię to, co myślę. Tego akurat nie myślałem. Od lat z tobą walczyłem i przegrywałem. Ciężko z tym

skończyć.

– Wiem – przytaknęła. – Myślałam, że moje

życie jest dokładnie takie, jakie powinno być. I nagle wróciłam do domu i ujrzałam ciebie...

Jobe pokiwał głową.

**288**

*Diana Palmer*

– Doskonale rozumiem. – Przyciągnął ją do sie-

bie i pochylił głowę, by raz jeszcze pocałować.

– Jakie to miłe.

– Mmm, prawda? – Zachichotała i zamknęła

oczy. – Jednak chyba powinnam skończyć odzys-

kiwanie plików Teda.

– Mogą poczekać.

– Pewnie mogą, ale...

Nagle odezwał się dzwonek do drzwi. Pani Bird

poszła wpuścić gościa, a kiedy zobaczyli, kto nim

jest, oboje zeszywnieli, a Jobe puścił Sandy.

Missy podeszła do nich niepewnie. Wyglądała

bardzo ładnie i świeżo w letniej żółtej sukience.

Wrękach trzymała torebkę i teczkę na dokumenty.

– Pomyślałam, że pewnie przydadzą ci się dane

stada – powiedziała ze słodkim uśmiechem. – Nie-

chcący wzięłam je ze sobą, wychodząc z pracy.

– Popatrzyła wyzywająco na Sandy. – Pewnie

przyjechałaś poszukać tych wykasowanych dokumentów?

– Znalazłam je – obwieściła Sandy.

Zakłopotana Missy zaczęła przestępować z nogi na nogę.

– Nie wiedziałam, że można odzyskać utracone pliki.

– Gdzie ty się uczyłaś? – zapytała ją kpiącym tonem Sandy.

– To dobra szkoła. – Missy oblała się rumieńcem.

– Uczyli nas tego. Po prostu zapomniałam.

– No to kiepsko – powiedziała zimno Sandy.

– Zwłaszcza kiedy tyle zależy od informacji w kom-

puterze. Na szczęście dla Teda umiałam je odzyskać.

W tym miesiącu jest aukcja, Jobe z całą pewnością ci o tym wspominał.

Missy uśmiechnęła się do niej słodko.

– Pewnie wspominał, ale przecież nie rozmawiamy o interesach przez cały czas, prawda, złotko?

– spytała Jobe’a.

Wydawał się bardzo zaniepokojony. Martwiło go, że Sandy może pomyśleć, iż on i Missy tworzą wspólny front przeciwko niej. Widział po minie

Sandy, że nadal nie jest pewna, czy coś go nie łączy z Missy. Zupełnie nie wiedział, jak rozwiązać te wątpliwości.

## Rozdział piąty

Missy dostrzegła niepokój Jobe’a i postanowiła go z nim zostawić, niczego nie wyjaśniając.

– No dobrze, idę. Do zobaczenia w poniedziałek.

– Uśmiechnęła się poufale.

– Jasne – mruknął.

Missy zostawiła dokumenty na biurku. Po jej wyjściu Sandy wzięła je do ręki. Były to te same

brakujące pliki, które Missy miała nadzieję usunąć z komputera. Pewnie liczyła na to, że spędzi cały dzień w towarzystwie Jobe’a, wpisując je z powrotem.



– Że też nie szkoda jej czasu – westchnęła.

– Wstyd.

– Nie zachęcałem jej do tego. – Jobe wydawał się naprawdę przejęty. – Wiem, że kiepsko to wygląda.

Podeszła do niego. Jej wzrok był pogodny.

– Widziałam już Missy w akcji – mruknęła. – Nie jestem zazdrosna. Nie bardzo – przyznała.

– Troszeczkę?

# JOB DODD

291

– Mikroskopijnie. – Wzruszyła ramionami.

Jobe pochylił głowę i delikatnie pocałował Sandy.

– Lubisz chińskie potrawy? – spytał.

– Uwielbiam.

– To dobrze. Bierz torebkę i idziemy.

– Ale pliki Teda...!

– Mogą poczekać, aż zjemy. Nie jesteś głodna?

– Umieram z głodu.

– No to w drogę!

Złapał ją za rękę i poprowadził do swojej czarnej furgonetki. Tam posadził ją z przodu i zapiął pasy.

– Co u diabła...! – usłyszeli zdumiony okrzyk.

Ted właśnie gramolił się z zaparkowanego za furgonetką auta. – Co wy robicie? Co z moimi plikami?

– Jesteśmy głodni – wyjaśnił mu Jobe. – Chcesz zabrać Coreen i dziecko na chińskie żarcie?

Ted westchnął ciężko.

– Nienawidzę chińskiego żarcia. – Popatrzył na zarumienioną siostrę i wyjątkowo zadowolonego

zarządcę. – Ale pewnie prędzej czy później będziecie musieli coś zjeść. No dobrze, uciekajcie stąd – wymamrotał. – Pliki mogą trochę poczekać.

– Dzięki, braciszku. – Sandy uśmiechnęła się do

niego.

Ted odpowiedział jej uśmiechem.

– Problem rozwiązany? – zapytał.

– Dopiero zaczęliśmy go rozwiązywać – wtrącił

Jobe, zanim zdążyła odpowiedzieć. – Ale nie jesteśmy mięczakami, prawda?

– Ależ skąd – zaprzeczyła gorąco Sandy.

– Na pewno damy sobie radę.

**292**

***Diana Palmer***

Pomachali Tedowi i ruszyli ku bramie.

Przez kilka następnych dni życie Sandy przypominało sen. Nie pojechała do Victorii, postanowiła wykorzystać zaległy urlop i wzięła sobie tydzień

wolnego.

Ku irytacji Missy, Sandy i Jobe prawie się nie rozstawali. Razem jeździli konno, któregoś dnia

wybrali się nad jezioro Turnera. Było to bardzo

popularne miejsce wśród mieszkańców Jacobsville.

Ludzie płacili za możliwość zarzucania tam wędek i łowienia smacznych i świeżych ryb.

– Mam nadzieję, że się nie nudzisz. To niezła

zabawa, prawda? – spytał Jobe, zarzucając wędkę.

Sandy siedziała za nim. Wcześniej zdjęła buty

i skarpetki.

– Fantastyczna – zgodziła się. Mówiła poważnie. Nie miała okazji łowić ryb od wczesnego dzieciństwa. Jezioro Turnera było bardzo spokojnym miejscem, mimo obecności innych wędkarzy.

– Dotąd nigdy nie zabrałem żadnej kobiety na ryby – zadumał się, zerkając na nią. – Całkiem nieźle ci idzie.

Spojrzała na swoje dwie ryby i jego trzy.

– Jestem o rybę do tyłu – zauważyła.

– Ale i tak nieźle sobie radzisz. Poza tym lepiej wygląda, kiedy mężczyzna złowi więcej.

Sandy odłożyła wędkę i ze śmiechem pociągnęła go na ziemię.

– Ty męska szowinistyczna świnię – zamruczała mu do ucha.

# JOB E DODD

293

Jobe objął Sandy i uśmiechnął się do niej szeroko.

Kapelusz upadł w trawę.

– Lepiej, żebyś do tego przywykła – oznajmił.

– Bo jestem wyjątkowo uparty.

– Zauważyłam. – Dotknęła wargami jego ust.

Przytuleni mocno do siebie, rozkoszowali się tym

gorącym, wczesnym popołudniem. Wpewnym mo-

mentcie komar ukłuł Jobe'a w nadgarstek, ale on

nawet tego nie zauważył.

Nagła radość przeszła Sandy, kiedy Jobe położył

ją w wysokiej trawie, rozsuwając nogą jej nogi. Jego usta nagle stały się natarczywe, serce Sandy biło jak oszalałe. Kiedy dłoń Jobe'a dotknęła jej piersi, Sandy krzyknęła cicho. Nie był to okrzyk protestu, ale Jobe natychmiast przywołał się do porządku. Uniósł

głowę i szybko rozejrzał się wokół siebie, jakby

dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, gdzie się

znajdują.

– Przepraszam – mruknął i ze smutnym uśmie-

chem pomógł jej wstać. – Przyszliśmy tu na ryby.

Całkiem zapomniałem.

– Ja też.

Jobe westchnął głęboko.

– Może powinnaś dostać ode mnie pewien pre-

zent. – Pokiwał głową. – Inaczej ludziom mogą

przychodzić do głowy różne dziwne myśli, kiedy się tak zachowujemy.

Poszperał w kieszeni i wcisnął jej w dłoń małe

pudełeczko obciągnięte szarym aksamitem.

– Proszę – dodał. – Otwórz.

Zawahała się, gdyż bez trudu mogła się domyślić,

**294**

*Diana Palmer*

co tam jest. Przyjmując od niego taki prezent,

musiała również podjąć bardzo istotną decyzję. Jobe czekał na odpowiedź, a z pewnością nie zamierzał

czekać zbyt długo. Popatrzyła mu w oczy i od razu

zrozumiała, jaka będzie jej odpowiedź. Nie mogłaby być inna.

Ręce Sandy drżały, gdy otwierała pudełeczko. Po

chwili wydała z siebie przeciągły jęk.

– Ty świntuchu! – krzyknęła.

Zamknęła pudełko, w którym znajdowała się

broszka ze świnką, i rzuciła nim w Jobe'a.

– Jak mogłeś? – wrzasnęła z oburzeniem.

– Czekaj, czekaj, Sandy, to nie to pudełko!

Błagam, cierpliwości!

Musiał ją uspokoić, zanim wyjął właściwy pre-

zent z kieszeni.

– Tamto jest dla mojej małej kuzynki... Jutro ma

urodziny. Proszę. To jest dla ciebie.

Włożył pudełko w jej palce i poczekał, aż Sandy je otworzy. Nie odrywał wzroku od jej twarzy.

– Nie jest to brylant Hope – powiedział cicho,

gdy wpatrywała się w pierścionek zaręczynowy

z małym brylantem – niemniej uczucie nie zależy od wielkości kamienia. Naprawdę cię Kocham, Sandy.

Chciałbym z tobą dzielić życie.

Czuła, że łzy spływają jej po policzkach, zo-

stawiając na nich mokre ślady. Pierścionek rozmazał

się przed jej oczami. Słowa Jobe’a całkowicie ją

zaskoczyły. Aż do tej chwili nie przyszło jej do

głowy, że Jobe może ją kochać. Doskonale wiedzia-

ła, że jej pożądał, ale nigdy ani słowem nie wspo-

# JOBE DODD

295

mniał o miłości. Popatrzyła na niego, usiłując go dojrzeć przez mgłę.

– Nie chcesz? – spytał, uważnie patrząc na nią. Był wyraźnie zaniepokojony. – Czyżbym aż do tego stopnia się pomylił w kwestii tego, co do mnie czujesz?

Sandy pośpiesznie pokręciła głową.

– O nie – wyszeptała. – Kocham cię. Po prostu nie miałam pojęcia, że ty kochasz mnie.

– Czyżbyś była ślepa? – mruknął. Słyszała ulgę w jego głosie. Jobe wyjął pierścionek z pudełka

i wsunął go na jej palec. – Gdybym cię nie kochał, po co miałbym cię przez cały czas zaczepiać? Przecież raniłyśmy tylko tych, których kochamy. Nie znasz

mądrości ludowych? Kto się czubi, ten się lubi...

– Wobec tego musisz naprawdę bardzo mnie kochać...

– Ach, nic już nie mów, skarbie...

Pocałował ją raz jeszcze, tym razem namiętniej,

i położył na trawie, nie zwracając uwagi na robaki, komary i ewentualne węże. Sandy nawet nie zauważyła, że być może robi krzywdę populacji

rozmaitych zamieszkujących trawę żyjątek. Myś-

lała tylko o spragnionych ustach Jobe'a, o jego

dłoniach, które ją pieściły.



– Lubię dzieci – wyszeptał nagle.

– Ja również.

– I dobrze – mruknął. – Bo pewnego dnia kupię nam wielkie ranczo i będziemy potrzebowali mnóstwa dzieci, żeby pomogły nam nim zarządzać.

– A moja praca?

**296**

*Diana Palmer*

– Co z twoją pracą? – zapytał. – Mam nadzieję, że w przyszłości będziesz trochę mniej harowała.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym nie rzucała pracy? – Popatrzyła na niego z ciekawością.

Jobe pokręcił przecząco głową.

– To zależy od ciebie, skarbie. Jestem w stanie cię utrzymać. Co prawda nie na poziomie, do którego przywykłaś – dodał niepewnie. – Ale na wystarczającym.

Sandy położyła palec na jego ustach.

– Wystarczy mi to, co zdołamy razem zarobić.

Nasze dzieci mogą dostać pieniądze z mojego funduszu.

– Poważnie? Zrobiłabyś to? – Wyraz jego twarzy złagodniał.

– Wiem, jak dumnym jesteś człowiekiem, Jobe

– wyznała. – Nie chciałabym, żebyś czuł się źle.

Przywykłam do zarabiania na sobie. Szczerze mówię,

nawet to lubię. Jeśli uda nam się stworzyć coś wartościowego własnymi rękami, to wolę to od wszystkich pieniędzy świata.

– Za mało ci ufałem – westchnął.

– Ja tobie również – zauważyła. – Myślałam, że mnie jedynie pożądasz.

– Bo pożądam – powiedział cicho. – I to bardzo.

– Tak, ale nie miałam pojęcia, że również mnie kochasz. – Popatrzyła z czułością na jego przystojną twarz. – A to dla mnie najważniejsza rzecz na świecie.

– Dla mnie również. – Pokiwał głową. – Boże, Sandy, nie każ mi zbyt długo czekać. – Objął ją

mocniej. – Chcę, żebyś przez cały czas była przy mnie.

Zamieszkamy w domku zarządcy, będziesz mogła

zasadzić sobie wszystkie kwiaty, jakie tylko zechcesz, i gotować dla mnie... – Uniósł głowę i strasznie się skrzywił. – Boże drogi, umrzemy z głodu. – Powiedział to tak żałośnie, że wybuchnęła śmiechem.

Wtuliła uśmiechniętą twarz w zagłębienie na

jego szyi.

– Bądź spokojny, skarbie. Zapisalam się na kurs

gotowania do jednej ze szkół w Victorii. Na twoim

miejscu nie liczyłabym na *cordon-bleu*, ale już umiem przyrządzić stek i go nie spalić, a także ugotować ziemniaki.

– Poważnie? – oparł się na łokciu i popatrzył jej

w oczy. – A ja umiem upiec ciasto.

– Poważnie?

– Zwyczajne ciasto drożdżowe, nic wielkiego.

– Przejechał palcem wzdłuż jej brwi. – Więc pewnie mimo wszystko nie umrzemy z głodu. Chociaż

– dodał przewrotnie – nie sądzę, żebyśmy na

początku małżeństwa szczególnie przejmowali się

jedzeniem.

Dotknęła jego ust.

– Naprawdę będziemy z tym czekali aż do

ślubu? – zapytała, nie patrząc mu w oczy.

Jobe zeszywniał.

– Jasne, że tak! – odparł z oburzeniem. – Na

Boga, kobieto, czy ty próbujesz mnie uwieść?

– Kto, ja? – Uniosła wysoko brwi.

– To dobrze – mruknął. – Ja nie jestem takim facetem. Chcę włożyć biały frak na nasz ślub...

**298**

*Diana Palmer*

– Już to widzę. – Klepnęła go ze śmiechem.

– Poważnie – nalegał.

– Pewnie dlatego, że jesteś dziewicą – oznajmiła z przekąsem.

Wcale się nie uśmiechnął.

Sandy szeroko otworzyła oczy.

– Przecież masz trzydzieści sześć lat!

Nadal się nie uśmiechał.

Serce podskoczyło jej do gardła.

– Chyba żartujesz! – wykrztusiła.

– Pojawiłaś się w dosyć traumatycznym okresie mojego życia – powiedział powoli, zamykając jej drobną dłoń w swojej wielkiej. I dopiero teraz

uśmiechnął się do Sandy. – Zakochałem się w tobie

od pierwszego wejrzenia i nigdy nie chciałem żadnej innej. – Wzruszył ramionami. – Mam nadzieję, że

startujemy z tej samej pozycji, prawda, skarbie?

Przytuliła się do niego i pocałowała go z całego

serca. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Jeszcze uwierzysz – westchnął. – Obawiam się, że na początku sprawi nam to trochę kłopotów.

Ale skoro ptaszki i pszczołki nie mają z tym szczególnych problemów, to my pewnie też nie będziemy.

– Jasne – roześmiała się przez łzy. – Och, Jobe.

Słyszac ciężkie kroki, w końcu oderwali się od siebie. Jobe popatrzył z ciekawością na dużego, niedźwiedziowatego mężczyznę, który trzymał w dłoni wędkę.

– Przychodzę tu od niepamiętnych czasów, ale

# JOBIE DODD

299

dotąd jeszcze nigdy nie złapałem żadnej ryby,  
nawet najmniejszej – oznajmił gniewnie nieznajomy. – Za to wasze wędkę pływają sobie po całym jeziorze. Niektórzy ludzie mają niewiarygodne szczęście.

Po tych słowach odszedł bez pożegnania. Jobe

i Sandy niechętnie podnieśli się z trawy i popatrzyli na swoje odpływające wędkę.

– Równie dobrze możemy iść do domu, chyba że chcesz za nimi popłynąć – mruknął Jobe.

Sandy pokręciła głową i zadrżała.

– Za nic nie wskoczę do tej wody – odparła.

– Wcale ci się nie dziwię.

Wzięli złowione przez siebie ryby i niespiesznie powędrowali do furgonetki, kilkakrotnie przystając po drodze, żeby się pocałować.

Rozpromieniona Coreen zajęła się przygotowaniami do wesela. Sandy z wielką niechęcią musiała na pewien czas zostawić narzeczonego i wrócić do Victorii, żeby dokończyć pracę.

Jej szef, pan Cranson, podarował im w ślubnym prezencie przepiękną kryształową wazę, współpracownicy Sandy zaś zrzucili się na zastawę i sztuce. Coreen i Ted z kolei wybrali na

prezent ręczniki i drobne sprzęty kuchenne. Dodatkowo w ramach niespodzianki Ted zapłacił fachowcom za niewielki remont łazienki w domu zarządcy, do którego zamierzali jak najszybciej się wprowadzić.

Missy ani słowem nie skomentowała decyzji

**300**

*Diana Palmer*

Jobe'a o ślubie. Mimo to Sandy czuła niepokój, gdyż wiedziała, jak zaborcza i mściwa jest jej rywalka.

Wycofanie się w cień po utracie mężczyzny, na którego wcześniej ostrzyła sobie zęby, zupełnie do niej nie pasowało.

Niestety, podejrzenia okazały się słuszne. Ostatniego dnia, który Sandy spędzała samotnie w swoim mieszkaniu w Victorii, ktoś nagle zapukał do drzwi.

Sandy spodziewała się Jobe'a, jednak na progu zobaczyła zalaną łzami Missy.

– Wejdz, proszę – westchnęła ciężko, niezadowolona z tych dziwnych odwiedzin.

– Bardzo dziękuję – chlipnęła Missy i osuszyła chusteczką oczy. – Przepraszam, że przychodzę i niepokoję cię w takim ważnym dla ciebie momencie. – Hałaśliwie wydmuchała nos. – Jednak jest coś, co koniecznie musisz wiedzieć, zanim wyjdiesz za niego za mąż. Nie mogłam z tym

dłużej zwlekać.

– Usiądź.

Missy przycupnęła na sofie.

– Naprawdę cię przepraszam – powtórzyła.

– Już to mówiłaś – mruknęła Sandy.

Missy odchrząknęła i poprawiła się na sofie, po czym przybrała zbolaną minę.

– Od razu powiem ci, o co chodzi. – Nabrała powietrza w płuca. – Jestem w ciąży.

Sandy uniosła brwi.

– Gratuluję – powiedziała z uśmiechem.

Missy popatrzyła na nią ze zdumieniem.



# JOBÉ DODD

301

– Nic nie rozumiesz – wyjąkała. – To dziecko

Jobe’a.

Sandy uważnie wpatrywała się w twarz dziew-

czyny. Przez jedną krótką chwilę – której później

bardzo się wstydziła – pomyślała, że to prawda, że Missy rzeczywiście będzie miała dziecko z Jobe’em.

Potem jednak przypomniała sobie to, co on mówił

i wszelkie wątpliwości błyskawicznie zniknęły.

– Koniecznie mi o tym opowiedz. Masz ochotę

na mrożoną herbatę? – zaproponowała i podniosła

się z krzesła, żeby iść do kuchni i przygotować napój dla gościa.

– Dobrze to przyjmujesz – zauważyła zdumiona

Missy.

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami. – Chodź

ze mną, wtajemniczysz mnie w szczegóły.

– To nie moja wina. Uwiódł mnie. – Missy

demonstracyjnie załkała.

– Biedactwo – westchnęła Sandy. – Co za po-

twór z tego Jobe’a.

Missy otworzyła szeroko oczy.

– Wierysz mi? – zapytała.

– Oczywiście, że ci wierzę – skłamała Sandy.

– I bardzo mi ciebie szkoda. Jobe to straszna świnia.

Jak mógł zrobić coś takiego równie uroczej dziewczynie?

Missy popijała mrożoną herbatę, zerkając na Sandy. Z trudem ukryła uśmiech. Wnajsmielszych marzeniach nie przypuszczała, że pójdzie jej tak dobrze.

– Jobe powiedział, że mnie kocha – ciągnęła.

**302**

*Diana Palmer*

– Zabrał mnie na kolację, a kiedy dojeżdżaliśmy do restauracji, zaparkował na małej, zupełnie pustej uliczce. Pocałował mnie, a potem... no wiesz, to się po prostu stało.

– Oczywiście nie bierzesz tabletek antykoncepcyjnych?

– Jak... – Missy popatrzyła na nią z osłupieniem.

– Skąd wiesz?

– Jak to skąd? Przecież jesteś w ciąży.

– A, no tak. Nie, nie biorę. Jestem w szóstym tygodniu – dodała. – Przynajmniej tak mi się wyda-

je. Nie byłam jeszcze u lekarza. Ale z całą pewnością zaszłam w ciążę. Chyba rozumiesz, że teraz Jobe się ze mną ożeni, skoro dziecko jest w drodze. Jacobsville to małe miasteczko, a oboje musimy dbać

o swoją reputację.

– Oczywiście – przytaknęła raz jeszcze Sandy.

Missy odstawiła herbatę na stolik.

– Ale zdajesz sobie sprawę z tego, że nie może być mężem nas obu? – spytała podejrzliwie.

– Przecież nie jestem głupia.

– No tak. I co teraz zrobisz?

– Od razu pojedę do Jacobsville, razem z tobą,

i powiem Jobe'owi, co myślę o takim zachowaniu

wobec młodych, niewinnych dziewcząt – oznajmiła

głuchym głosem i wstała. – Jedźmy.

Missy aż jęknęła ze zdumienia.

– No jedźmy – powtórzyła Sandy.

– Co? Teraz?

– Od razu. Przyjechałaś swoim autem, prawda?

– No tak, ale....

# JOBÉ DODD

303

– Możesz jechać tuż za mną – przerwała jej

Sandy. – Poczekaj, tylko wezmę torebkę...

Razem wyszły z mieszkania. Sandy wcale nie

była zasmucona, właściwie całkiem dobrze się bawi-

ła. Nie mogła się doczekać chwili, w której oznajmi Jobe'owi, co powiedziała Missy. Była bardzo ciekawa, jaką minę zrobi jej narzeczony. Pomyślała, że

przynajmniej będą mieli o czym opowiadać wnu-

kom. A beczelna Missy wreszcie zrozumie, gdzie

jest jej miejsce.

Missy zaparkowała blisko drzwi wejściowych do

domu Teda i Coreen, ale nie śpieszyła się z wy-

chodzeniem z auta. Tuż obok jej samochodu stała

czarna furgonetka. Pewnie Jobe siedzi w biurze

i przeklina komputer, pomyślała z rozbawieniem

Sandy.

Ruszyła prosto do domu, a Missy powlokła się za

nią niechętnie.

Gdy weszły do gabinetu Teda, zobaczyły, że Jobe

siedzi na skraju biurka i rozmawia przez telefon. Na widok obu kobiet zmarszczył brwi i natychmiast zakończył rozmowę.

– Co za niespodzianka – powiedział. – Nie

spodziewałem się was.

– Na pewno nie. – Sandy uśmiechnęła się do niego. – Hm, Missy ma ci coś ważnego do powiedzenia. No już, mów, moja droga.

Zachęciła dziewczynę gestem ręki, po czym usiadła na najbliższym krześle, założyła nogę na nogę i przygotowała się na niezłą rozrywkę.

**304**

*Diana Palmer*

Missy odchrząknęła. Z zaczerwienionymi policzkami wodziła spojrzeniem od Sandy do Jobe’a.

– Jestem w ciąży – wykrztusiła w końcu.

Jobe wydawał się zaniepokojony. Jego spojrzenie natychmiast powędrowało do Sandy, zmarszczył czoło. Najwyraźniej domyślał się, co za chwilę usłyszy i interesowała go reakcja narzeczonej.

Sandy nie uśmiechnęła się do niego. Uniosła tylko brew i popatrzyła groźnie.

– Powiedziałam, że jestem w ciąży! – powtórzy-

ła Missy. Skrzyżowała ręce na piersi, uśmiechając się triumfalnie do Jobe’a. – Co ty na to? Ona już wie

o wszystkim – dodała, wskazując głową Sandy.

– I co powiedziała na twoje rewelacje? – spytał z napięciem Jobe.

– Oczywiście rozumie, że musisz się ze mną ożenić.

Kąciki ust Jobe'a uniosły się w lekkim uśmiechu.

– Chyba będziemy musieli zawiadomić dziennikarzy z gazet i telewizji – oświadczył kpiąco.

– Przejdziesz do historii, jeśli okażę się ojcem twojego dziecka.

– Nie rozumiem. – Missy drgnęła niespokojnie.

Jobe wziął do ręki słuchawkę.

– Oczywiście, jestem pewien, że prawdziwy

ojciec dziecka chętnie dowie się o potomku. Pozwól, że umówię cię po południu na wizytę w klinice doktora Coltraina. Pobiorą krew, żeby sprawdzić,

czy faktycznie jesteś w ciąży, a po urodzeniu

dziecka mogą przeprowadzić test DNA. To dowie-

dzie, że z całą pewnością nie jestem ojcem.

# JOBE DODD

305

Missy oblała się rumieńcem.

– Nie... Nie mogą zrobić czegoś takiego!

– Jasne, że mogą – zapewnił ją. – Coltrain ma

w Houston zaprzyjaźnione laboratorium. Zdziwisz

się, co potrafią wykazać nowoczesne testy. Jeśli

jesteś w ciąży, powinnaś jak najszybciej skontak-

tować się z lekarzem, dla swojego dobra i dobra

dziecka. – Umilkł na moment. – Betty? Mówi Jobe

Dodd. Chciałbym, żebyś umówiła na dziś...

– Nie! – krzyknęła głośno Missy.

Rzuciła się przed siebie i gwałtownie wyrwała

mu słuchawkę, dysząc głośno.

– Nie... Ja... wcale nie chcę.

– Dlaczego nie? – spytała Sandy. – Myślę, że jak

najszybciej powinnaś wykonać test ciążowy.

Missy wydawała się przestraszona. Patrzyła ze

strachem na Jobe'a, a on skrzyżował ręce na piersi. Nie uśmiechał się. Jego spojrzenie powędrowało ku Sandy.

– Skoro już jesteśmy przy tym temacie, chcę

wiedzieć, czy jej uwierzyłaś. – Ruchem głowy

wskazał Missy.

Sandy uśmiechnęła się łagodnie.

– Nie bądź niemądry – powiedziała cicho.

– Przecież mówiłaś, że mi wierzysz! – wykrzyknęła Missy.

Sandy wstała.

– Chciałam sprawdzić, jak daleko się posuniesz

– odparła. – Przestań wreszcie udawać i powiedz

prawdę, Missy. Przecież nie chcesz zrobić czegoś

takiego Jobe’owi. Nie jesteś złym człowiekiem, nie mogłabyś komuś specjalnie zmarnować życia.

**306**

*Diana Palmer*

Missy buntowniczo wysunęła dolną wargę.

– Kocham go! – oznajmiła.

– Nieprawda – powiedziała Sandy. – Kochająca

kobieta nie próbowałaby go wrobić w małżeństwo.

Jeśli kogoś kochasz, pragniesz, żeby był szczęśliwy.

Wszyscy wiemy, że Jobe nie mógłby być z tobą

szczęśliwy, właśnie dlatego, że cię nie kocha.

Oczy Missy zasły mgłą.

– Kochałabym go za nas oboje – upierała się.

Jobe pokręcił głową.

– To niemożliwe – westchnął. – Kocham Sandy.

Zawsze ją kochałem. Jesteś uroczym dzieciakiem,

skarbie, ale to nie miłość, uwierz mi.

Po tych słowach Missy zapadła się w sobie.



– Chyba zawsze to wiedziałam – wyznała. – Po

prostu nie chciałam przyjąć tego do wiadomości.

– Przygarbiła się jeszcze bardziej. – Brawo. Zrobiłam z siebie prawdziwą idiotkę.

– Wcale nie, przynajmniej nie moim zdaniem

– zapewniła ją Sandy. – I myślę, że również Jobe tak nie uważa. Na pewno mu w pewien sposób pochlebiłaś. Ale już chyba czas przestać udawać,

dziewczyno.

– No dobrze – przyznała pokornie Missy. – Nie

jestem w ciąży. Jobe całował się ze mną, ale to

wszystko. Ja dobudowałam do tego całą resztę.

– Westchnęła ciężko. – Może jednak gdzieś jest ktoś dla mnie. Może pewnego dnia go znajdę.

– Oczywiście, że tak – powiedziała łagodnie

Sandy. – Tymczasem chyba jednak powinnaś po-

szukać sobie innej pracy. Takiej, w której znajdziesz

# JOBÉ DODD

307

przynajmniej jednego atrakcyjnego kawalera do wzięcia.

– Nie tutaj.

– Zdecydowanie nie tutaj – przytaknęła Sandy.

Popatrzyła na Jobe'a. – Ten pan należy do mnie. Na zawsze. – Z rozbawieniem ujrzała, że się zaczerwienił.

Missy także dostrzegła rumieniec Jobe'a. Z trudem zdobyła się na uśmiech.

– Mam nadzieję, że mimo wszystko dostanę od was zaproszenie na ślub – szepnęła nieśmiało.

– Powiedźcie, że nie jestem aż taka okropna.

– Nie, nie jesteś. – Jobe uśmiechnął się do niej.

– Ale na przyszłość nie pakuj się w kłopoty, mała.

– Zrobię, co w mojej mocy. Naprawdę mi przykro – dodała zmieszana. – Wtedy wydawało mi się, że to niezły pomysł. Może faktycznie jestem nie-dojrzała. – Wyszła szybko, zamykając za sobą drzwi.

Jobe z westchnieniem wstał od biurka i podszedł do Sandy, po czym przytulił ją do siebie.

– Chyba nie uwierzyłaś w ani jedno jej słowo, prawda? – spytał z niepokojem.

– Skąd – zaprzeczyła. – Zbyt dobrze cię znam,

Jobe. Nigdy mnie nie okłamałeś. Nawet wtedy,

kiedy byłoby ci łatwiej, a mnie przyjemniej. Od razu wiedziałam, że Missy kłamie. Poza tym nie zapominaj, że cię kocham. – Położyła głowę na jego

ramieniu.

– I ja ciebie – wyszeptał, całując narzeczoną.

## **Rozdział szósty**

Dwa tygodnie później wzięli ślub. Co prawda,

wcześniej wcale nie planowali wyjazdu na miesiąc

miodowy, ale Ted w tajemnicy wykupił im bilet

lotniczy do Nassau i żadne z nich nie miało serca mu odmówić.

Nassau okazało się zupełną niespodzianką dla

Sandy. Mimo bogactwa, jakim od dzieciństwa cie-

szyli się oboje, ona i Ted, nigdy nie była w Nassau.

Po przyjeździe nawet nie poszli do hotelu się

przebrać. W recepcji wręczyli obfity napiwek goń-

cowi, żeby zaniósł ich bagaż do apartamentu na

piątym piętrze eleganckiego hotelu na Cable Beach, a potem pojechali taksówką do śródmieścia Nassau.

Tam spacerowali po wąskich uliczkach, targowis-

kach, mijając po drodze przyjaźnie usposobionych

ludzi i gapiąc się na statki pasażerskie przy na-

brzeżu. Sporo czasu zajęło im również oglądanie

wystaw.

Powietrze w Nassau pachniało oceanem i przygo-

# JOBE DODD

309

dą. Młodzi małżonkowie obejrżeli pomnik pierwszego królewskiego gubernatora wyspy, Woodesa

Rogersa, ustawiony przed jednym z najstarszych

hotelu w mieście, a potem przespacerowali się po Bay Street, rozmarzeni i objęci.

Kiedy w końcu dotarli do swojego hotelu, po-

stanowili wybrać się na kolację. Najpierw jednak

musieli zmienić strój. Wpewnej chwili Jobe od-

wrócił się i popatrzył na Sandy, która stała pośrodku sypialni w koronkowym body, a ciemne włosy opadały jej na ramiona.

Jobe nie miał na sobie koszuli. Jego szeroka pierś, pokryta ciemnymi włosami i opalona, przyciągnęła

ją niczym magnes. Oddech uwiązał jej w gardle, gdy

podeszła do męża i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Zróbmy to teraz – wyszeptała.

Jobe wyciągnął ręce i przytulił ją do siebie.

– Teraz – powtórzył i pocałował ją w usta.

Kilka chwil później leżeli już na łóżku, niecierpliwie ściągając z siebie bieliznę.

– O, Boże... Podarłem to – jęknął Jobe, kiedy

w końcu zdjął z niej body i przywarł wargami do małych, jędrnych piersi.

– I co z tego? – wydyszała. – Och, Jobe!

Jej pełne rozkoszy jęki sprawiły, że całkiem stracił głowę. Szybko ściągnął z siebie bieliznę i położył się między długimi nogami Sandy.

– Przepraszam – wyszeptał. – Przepraszam, jeśli trochę... zaboli. To w końcu pierwszy raz.

– Nieważne!

Przywarła do niego, poruszając się w tym samym

**310**

*Diana Palmer*

rytmie. Pragnęła go tak bardzo, że wszystko inne

przestało się liczyć. Nagle poczuła ból w chwili, gdy w nią wchodził, ale dzięki rozkoszy, która po tym

nastąpiła, Sandy natychmiast zapomniała o całym świecie.

– O tak – jęknął Jobe, szukając jej ust. – Czy

kiedykolwiek myślałaś, że właśnie tak będzie? – wy-chrypiał.

– Nigdy! – Dźwignęła biodra. Drżała z pod-

niecenia. – Nie przerywaj! – szepnęła, gdy znieruchomiał i popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Nareszcie jesteśmy małżeństwem – wyszeptał

drżącym głosem. – Dwie najstarsze dziewice w Stanach Zjednoczonych... Dobry Boże!

Przywarł do niej z cichym jękiem i nagle

poczuł, że nie może tego dłużej ciągnąć. Musiał

jak najszybciej się rozładować. Zatonął w dziew-

czynnie, rozkoszując się jej słodyczą. Gdy wygięła grzbiet, krzycząc w ekstazie, poczuł, że przyszedł czas i na niego. Miał wrażenie, że zaraz straci przytomność.

Po kilku minutach, spocona i drżąca Sandy uniosła głowę, by popatrzeć na nowo poślubionego małżonka. Dyszał ciężko, jakby właśnie pokonał długi dystans. Uśmiechnęła się do niego.

– Chyba warto było poczekać, co? – zapytała żartobliwie.

Przetoczył się na brzuch. Jego twarz jaśniała szczęściem i miłością.

– Jasne, skarbie. – Zaśmiał się cicho. – Pewnie, że warto było. – Nachylił się i ją pocałował. – Kocham

# JOB DODD

311

cię do szaleństwa. A na wypadek, gdybyś nie pojęła tego za pierwszym razem, uważaj...!

Najwyraźniej miał zamiar raz jeszcze dowieść jej swojej miłości. Sandy westchnęła radośnie, zamykając oczy. Ostatnia świadoma myśl Sandy dotyczyła tego, że małżeństwo z Jobe'em jest nieustającą, wspaniałą przygodą. A przecież dopiero się zaczęło!